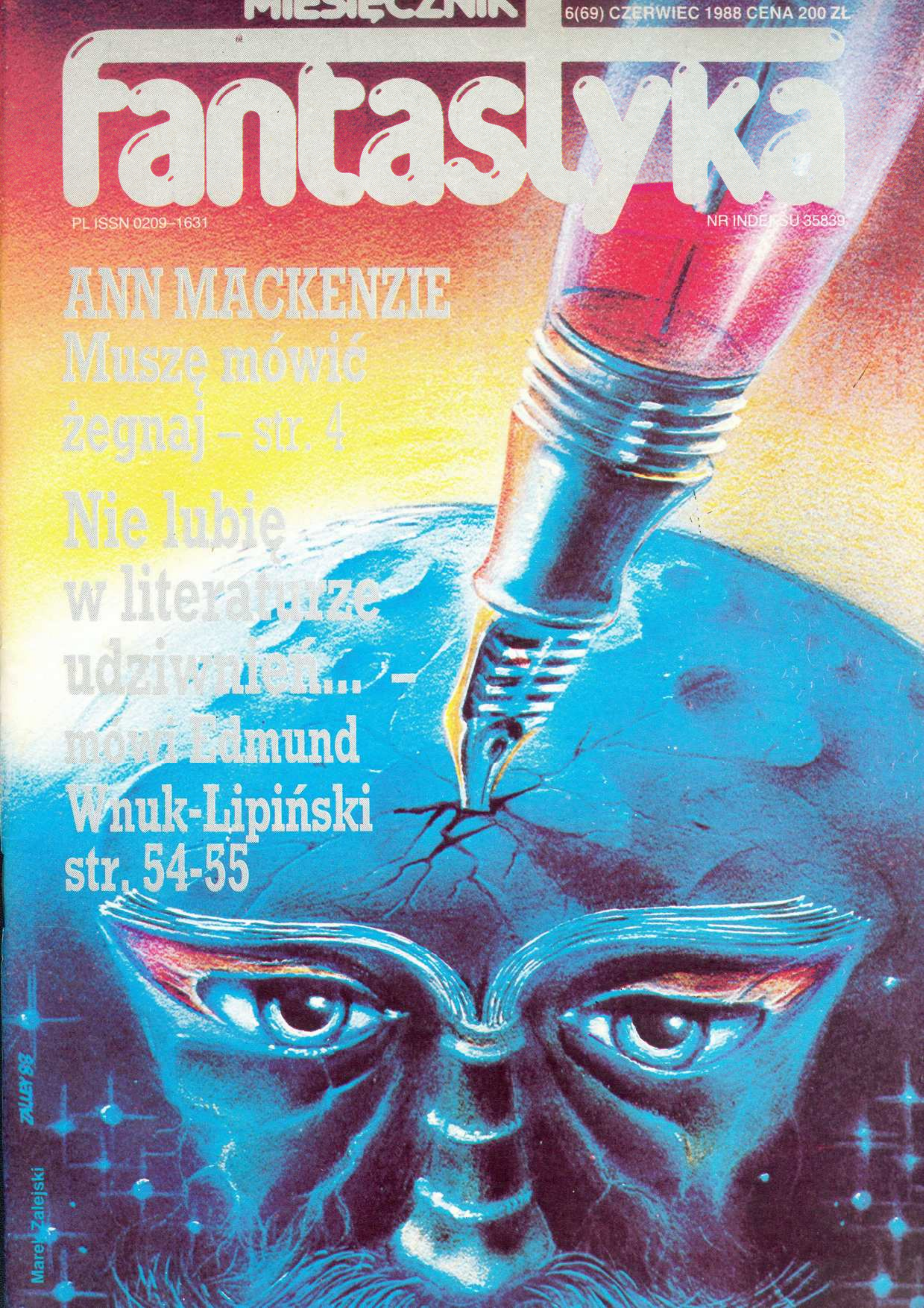

MIESIĘCZNIK
6(69) CZERWIEC 1988 CENA 200 ZŁ
fantastyka
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839
ANN MACKENZIE
Muszę mówić
żegnaj – str. 4
Nie lubię
w literaturze
udziwnień... –
mówi Edmund
Wnuk-Lipiński
str. 54-55
Marek Zalejski

x 3

Robert Pawlicki

Ur. 5 X 1960 r., Pobiedziska.
W 1980 r. ukończyłem Liceum Sztuk Plastycznych w Poznaniu, po czym rozpocząłem kolejny etap pracy w tym mieście w Telewizyjnym Studio Filmów Animowanych. Pracując jako animator miałem możliwość poznania kina od kuchni. Jednak znudzony żmudną pracą nad tworzeniem ruchu zacząłem interesować się scenografią filmu animowanego. W tym samym okresie mnóstwo mojego czasu pochłaniał rysunek i malarstwo, nawet hiperrealistyczne. Tak w ogóle, lubię czasem usiąść i coś zrobić.

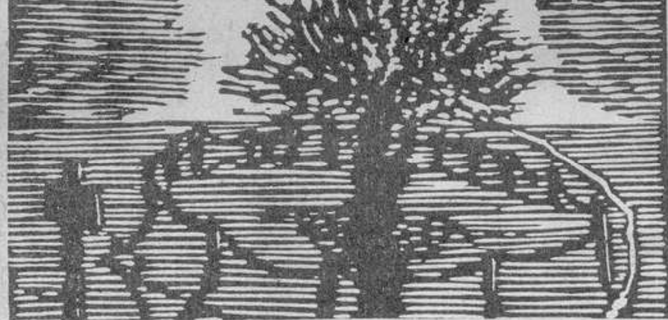
Jerzy Kurczak

Urodziłem się dawno, bo 27 IX 1952 r. Po ukończeniu różnych szkół, między innymi wyższej technicznej, pracowałem w różnych śmiesznych instytucjach, aby w 1984 r. zająć się na poważnie bardzo zabawną sprawą – rysowaniem i malowaniem różnych różności (film rysunkowy, grafika wydawnicza itd.). Niestety, nie ukończyłem żadnej szkoły plastycznej, a więc mogę powiedzieć: „nie umiem, ale lubię" i to jest najśmieszniejsze.

Maciej Krzywicki

Ur. 17 IV 1955 r., Warszawa.
Po ukończeniu Wydziału Architektury PW w 1978 r. rozpocząłem nieapetyczną i niewdzięczną pracę architekta w różnych instytucjach i na różnych stanowiskach. W 1982 r. ręce opadły mi ostatecznie i postanowiłem zająć się rysunkami i obrazkami. Znalazłem w tym upodobanie. Robię ilustracje do różnych pism, maluję obrazy, niekiedy nawet olejne. Uczestniczyłem w produkcji ślicznego filmu rysunkowego. Mam nadzieję na kontynuację tej pracy.




Janusz Gutkowski

43

Z przyjemnością drukujemy kolejne opowiadanie Macieja Gałaszka, autora jednej z prac wyróżnionych w 1983 r. w I Konkursie „Fantastyki". Jak pisze Maciej Parowski, opowiadanie to „stanowi brawurową obronę tezy, że laureaci naszego pierwszego konkursu nie powiedzieli w science fiction ostatniego słowa".

Maciej Gałaszek: „Plantator wydm"



Gdyby mnie ktoś zapytał czego najbardziej nie lubią fantaści, czego nie chcą oglądać lub czytać, albo co widzą bardzo niechętnie, a takie pytania nie należą do rzadkości, nie zastanawiałbym się ani sekundy. Praktyka redaktora „Fantastyki" nauczyła mnie właściwej, w gruncie rzeczy jedynej odpowiedzi.

Prawdziwy fantasta nie znosi wszelkiej normalności, tego co niesie zwyczajne, codzienne życie, dlatego żąda, aby nawet bajki dla niego pisywać specjalne, w których nie byłoby cienia, odbicia świata oglądanego codziennie. Jeśli więc spotyka się teraz dość często jak gdyby powroty tych samych mitów, które już bardzo dawno wyhodowała wyobraźnia i tradycja, to muszą one zostać radykalnie przerobione i dostosowane do współczesnych gustów, wymagających bardzo ostrych przypraw. Im bardziej więc literatura czy plastyka fantastyczna będzie przypominać to, co nas faktycznie otacza, tym większe wywoła niechęci czy wręcz niezadowolenie.

W jaki sposób może pisarz czy artysta plastyk sprostać gustom miłośników science fiction? I tu chwila zastanowienia, wydaje mi się bowiem, że określenie fantastyka naukowa brzmi w tym kontekście wręcz anachronicznie. Pisarze tacy jak Lem czy Clarke lubią utrzymywać swoje opowieści w granicach prawdopodobieństw dzisiejszej nauki. W żadnej książce autora „Astronautów" nie pojawiają się zjawiska, mogące wychodzić poza te ramy, mówi zresztą o tym otwarcie w rozmowach, które przeprowadził z nim Bereś. Clarke jest natomiast chyba jeszcze bardziej ortodoksyjny, oburza go na przykład nawet scena z „Gwiezdnych wojen", w której do ścigania się po lesie użyto jakiegoś rodzaju pojazdów. Ich przyśpieszenia, szybkości maksymalne i – określmy to – zręczność manewrowania przekraczają wszelkie możliwości nauki i techniki. Tymczasem coraz to większa liczba miłośników fantastyki znajduje się – chyba tak można to powiedzieć – w kolizji z ortodoksyjnością naukową, woli czytać i oglądać to, co niemożliwe i zaskakujące, co wymyka się niejako z ram przeciętnej człowieczej wyobraźni. Nauka przestała bowiem być wielką przygodą i niespodzianką, jak za czasów Verne'a, przeciwnie stała się wręcz niebezpieczna ze swymi próbami manipulacji genetyką i swoimi atomowymi groźbami. Z tego wynikałoby, że człowiek chce zachować siebie jako *constans*, jako coś co nie powinno ulegać zasadniczym przemianom, natomiast pragnąłby sprawdzać się w najbardziej dramatycznych sytuacjach. Dlatego horror bywa tak często stosowany w fantastyce. To jedna z głównych metod wypróbowywania ludzkich bohaterów powieści, nowel czy obrazów w nadzwyczaj drastycznych, budzących grozę sytuacjach. Sądzę, że tego rodzaju stosunek do sztuki w ogóle wywodzi się z samej natury ludzkiej, stanowiąc jej immanentną cechę. W ciągu biegu historii przychodziło nam jako społeczności i ciągle przychodzi – potykać się na różnego rodzaju przeszkodach i trudnościach, zagrażających instynktowi życia, istnienia, to samo zresztą dzieje się w egzystencji każdej jednostki, stres uderza za stresem, a my jednakowi, jak gdyby niezmienni, musimy to wytrzymywać, musimy lub staramy się tylko wychodzić z tego cało.

Sztuka zawsze operowała horrorem. Mamy go w opisach wydarzeń w każdej świętej księdze ludzkości, mamy w mitach i baśniach, u Homera, Szekspira, u Goethego, Mickiewicza czy Słowackiego, u współczesnych pisarzy „wojennych", np. u Hemingwaya, a także i u Conrada, którego poczucie przerażenia ma raczej rodowód moralny niż spowodowane jest bezpośrednimi zewnętrznymi czynnikami.

Nic nowego pod słońcem. Im silniejsze kryzysy przeżywa ludzkość, tym bardziej nasilają się elementy romantyzmu w sztuce wszelkiego autoramentu. Od początku swego istnienia wykorzystuje to pisarstwo fantastyczne, operując horrorem na wszelkie sposoby. Był on jeszcze w gotyckiej, typowo romantycznej powieści Mary Shelley o Frankensteinie. Lem pragnął obudzić wielkie przerażenie ostrzegawcze, ukazując niegdyś w „Astronautach" skutki katastrofy jądrowej, a ostatnio, we „Fiasku", jeszcze chyba tragiczniejszą i bardziej wstrząsającą wizję niemożności porozumienia się istot rozumnych. Nie ma przecież gorszej męczarni niż istnienie ze świadomością ciągłej, totalnej klęski intelektualnej i etycznej. Posługiwał się oczywiście tymiż metodami i Poe, i nasz Grabiński, i Dick (jak mocno reagujemy na jego drastyczności, uwidocznione w filmie z czołówki światowej SF „Blade Runner"), horrorem były też perypetie światów i społeczności opisywanych przez Zajdla, chociaż trzeba by tu dodać, że może najmniej horroru, najmniej emocjonalnych elementów, dawała czytelnikowi fantastyki współczesnej polska, zajdlowska szkoła political fiction. Działano bowiem w niej raczej na intelekt niż na grę uczuć, zwracano bardziej uwagę na to co człowiek czyni i przeżywa w zbiorowości, niż jako jednostka. Niemniej ruch ten odegrał dużą rolę zarówno w rozwoju samego gatunku, jak i w umiejętnościach bezbłędnego trafiania do czytelników. Ale to przede wszystkim – polskich, za granicami w większości political fiction nie budzi większego rezonansu, zdobywając naszej literaturze fantastycznej opinię trudno przetłumaczalnej. Na marginesie tych rozważań warto przypomnieć, że horror trafił w swej historii nie tylko do pisarstwa czy sztuk plastycznych, lecz również i do muzyki. Z najbardziej popularnych dzieł, których autorzy wykorzystali elementy horroru, należałoby wymienić tu takie opery i balety, jak Delibesa „Copelia", jak Offenbacha „Opowieści Hoffmana", jak naszego wielkiego, współczesnego Pendereckiego „Diabły z Loudun". Nawet patriotyczny i klasycyzujący Moniuszko spróbował dawki horrorowego zaskoczenia w swej komicznej operze, tak bardzo polskiej, jaką jest niewątpliwie „Straszny dwór". Tak, tak, człowiek lubi być straszony. I woli, gdy ta potrzeba wyżywa się w sztuce niż w rzeczywistości.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz.
Zam. 1100/88 U-78.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 28 marca 1988 r.

Lądowanie LXIV

Niektórzy moi koledzy, krytykując listy nadsyłane do „Fantastyki” twierdzą, że przeważnie je pisują (zresztą nie tylko do nas, lecz do wszystkich czasopism) maniacy, rozrabiacy, słowem nietypowi czytelnicy i oni to pragną przeprowadzić swoje postulaty i dezyderaty, narzucić je redaktorom. Opinia taka wydaje mi się zupełnie niesprawiedliwa. Każdego z nas, gdy przywiąże się do jakiegoś pisma, z którym łączy go wspólnota idei czy tematyki, bierze nieraz chętka na wystąpienie w którejś z poruszanych tam spraw.

Oczywiście takie chętki przerodzone w czyn nie bywają częste, ale się zdarzają, w ten sposób listy odzwierciedlają prawdę sądów czytelniczych o danym piśmie, ale absolutnie nie wyłaniają jakiejś średniej tych poglądów. Tak przyzwyczailiśmy się do krzywego, często nawet bardzo krzywego, więc niesprawiedliwego, zwierciadła różnych statystyk, że łatwo ulegamy manii uśredniania wszystkiego co na drodze. I w taką pułapkę uśredniania właśnie wpadają moi koledzy, oceniając listy nadchodzące do redakcji.

Proszę Państwa k a ż d y z nas jest i n n y, każdy jest odrębny i każdy ma swoje odrębne zdanie w każdej ze spraw. I tylko w tym sensie liczą się opinie Czytelników, do sondażów używamy już sposobów naukowych, ale – szczerze mówiąc – sondaże, ze swym wyciąganiem średnich, ze swą klasyfikacją odzwierciedlanych przez nie rzekomo zjawisk, mniej nieraz pożytku przynoszą niż systematycznie prowadzona korespondencja. Nieprzypadkowo, moim zdaniem, ta rubryka cieszy się od początku jej istnienia sporym powodzeniem. Jest po prostu trybuną wszystkich p o j e d y n c z y c h Czytelników naszej „Fantastyki”! I ja też w ten sposób ją rozumiem. Proszę wybaczyć mi to przydługie zagajenie. Ale od czasu do czasu i mój głos w sprawach korespondencji wydaje się potrzebny.

A jednak romantyzm

Wszelkie „izmy” nie pasują do fantastyki, z romantyzmem włącznie, najbardziej zresztą romantyczna jest chyba fantasy, której u nas na lekarstwo. Coś się pan zagalopował, panie Hollanek.

Robert Dasiewicz z Warszawy

Romantyzm cechuje baśniowość, tajemniczość, szarpanie się jednostki w okowach umów społecznych, a także w okowach prawa boskiego, gdzie tego szukać w polskiej science fiction? Na pewno nie u samego nawet Zajdla, którego znakomite książki korespondują bardziej z traktatami o społeczeństwie niż z wszelkimi romantycznymi zmaganiami. Czy nie nazbyt na wyrost lansujecie panowie romantyzm? Mnie się zdaje, że ważniejsza byłaby walka z prymitywizmem sporej liczby polskich utworów science fiction, niż to pięcie się ku romantyzmowi.

Doc. R.W. z Krakowa

Pani nam mówi, że fantastyka nie ma wiele wspólnego z romantyzmem, a u nas w klasie całkiem inaczej na to patrzymy. Science fiction to jest literatura zapalająca do czynu, do zmian w świecie, ostrzegająca przed uszczęśliwianiem na siłę nas samych i naszych potomków, a także przestrzegająca przed katastrofami, które niesie nauka. Pani, gdyśmy jej to powiedzieli, pokiwała potakująco głową i odezwała się: „żebyście lepiej poznali romantyzm, ten którego się właśnie uczycie, ten wielki, największy, w którym jest Mickiewicz i Słowacki, i Krasiński, i Norwid, a w którym – tak powiedziała – Lema trudno byłoby zmieścić”. Ale ona chyba nie ma pełnej racji.

Uczniowie klasy II
jednego z liceów warszawskich

Ten romantyzm cholernie potrzebny. Dobrze żeście z tym wyszli na łamy, z romantycznym pozdrowieniem

Jan D. z Wrocławia

Adam, jeden z nas

Książka Fiałkowskiego stała się istotnie sławna... Podobnie jak znani muzycy i pisarze poszukał sobie tematu ogólnoludzkiego, w dodatku związanego z religią, z możliwościami wpływu nieznanego na nasz świat istot skądinąd... Właściwie z książki trudno się dowiedzieć czy autor wierzy w Pana Boga, czy jego Pan Bóg to istoty spoza Ziemi o wyższej cywilizacji niż nasza, a może ten Pan Bóg to dla bohaterów Fiałkowskiego sama nauka. On przecież jest uczonym, a o jego teorii pochodzenia inteligencji ludzkiej pisał niedawno w „Fantastyce” nie kto inny jak Maciej Iłowiecki. Znaczyłoby to, że u Fiałkowskiego przeważa przekonanie o nadrzędnych możliwościach nauki...

Józef Grabczyński z Gdańska

Szanowny Panie! Tłumaczyłam utwory Pana Fiałkowskiego dla „Iskatiela”, „Wokrug Swieta”, Wydawnictwa „Mir”. Chciałam przetłumaczyć i zarekomendować w „Mirze” i „Młodej Gwardii” ostatni jego utwór „Adam, jeden z nas”, ale tam odpowiedzieli, że w powieści są bardzo wyraźne wpływy religijne, a nawet klerykalne. Zresztą nie oznacza to, że całkiem nie będzie można jej wydać w ZSRR.

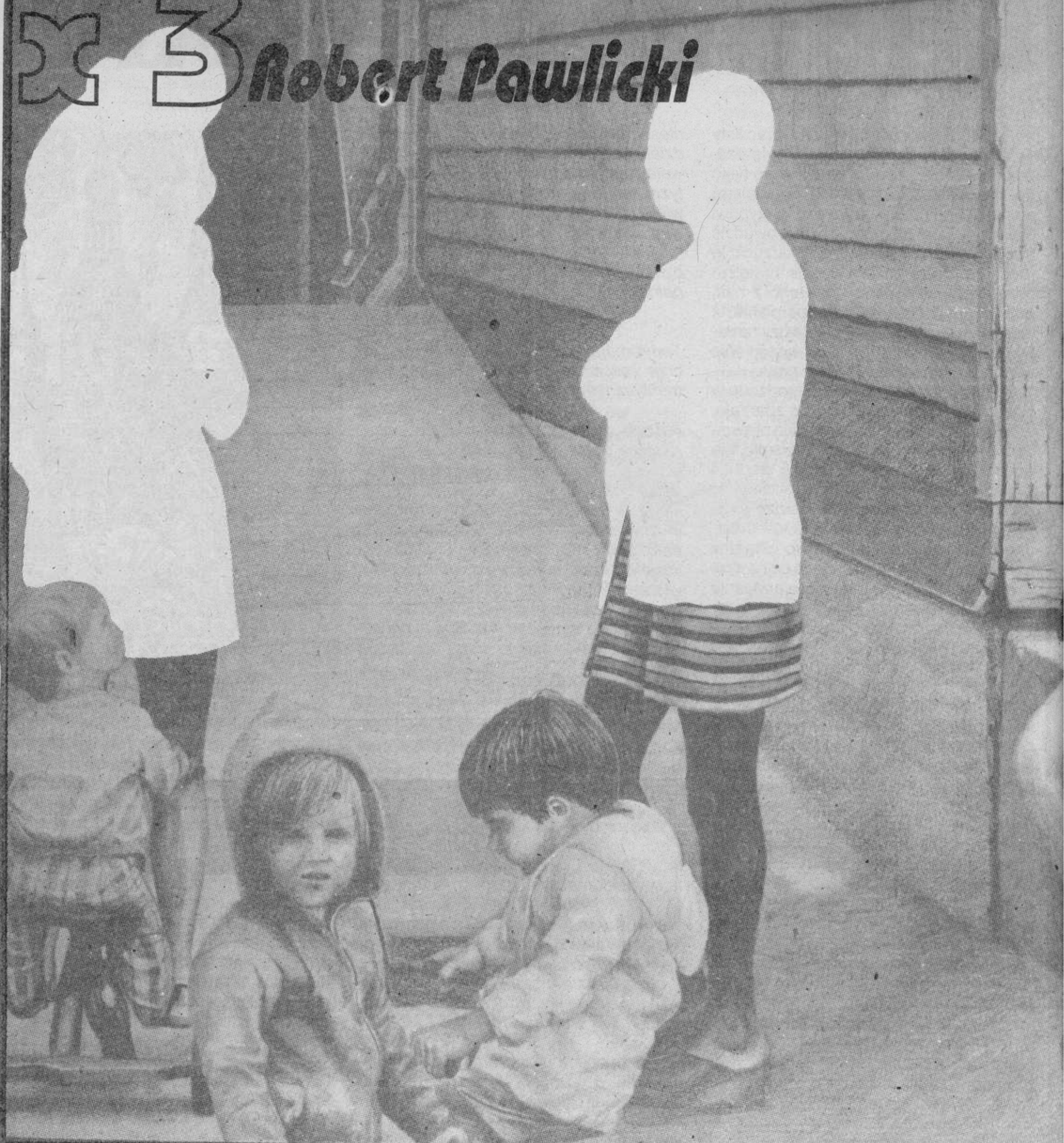
Natalia Stacenko z Moskwy

Już zaledwie dwie zamieszczone wypowiedzi o powieści Konrada Fiałkowskiego „Adam, jeden z nas” świadczą, jak różny potrafi być odbiór literatury, także i literatury science fiction. Umyślnie opublikowałem diametralnie odrębne głosy na ten temat, gdyż wydają mi się znamienne. W dodatku świadczą, podobnie zresztą jak inne, zamieszczone dziś fragmenty listów od Czytelników, o innym stosunku do literatury fantastycznej, niż to się często imputuje. Nie tylko rozrywki lub czystej rozrywki szukają nasi Czytelnicy w utworach tego rodzaju. Jakkolwiek muszę przyznać, że w produkcji zarówno światowej, jak i naszej przewaga lektur rozrywkowych (na bynajmniej nie lemowskim poziomie) jest bardzo duża, nad piśmiennictwem fantastycznym, zakładającym sobie większe, a nawet grubo większe ambicje. Dyskusja trwa, przypominam.

Redaktor



PS. Zamiast listu, zamieszczamy interesujący ekslibris pana Ł.M. Żytomirskiego z ZSRR.



Ann Mackenzie

Muszę mówić żegnaj

(I can't help saying good-bye)

Nazywam się Karen Anders mam dziewięć lat jestem nieduża i ciemna i krótkowzroczna mieszkam z Maxem i Libby nie mam przyjaciół

Max to mój brat on jest ode mnie starszy o dwadzieścia lat ma blisko siebie osadzone oczy i wiecznie zmartwione spojrzenie my Andersonowie zawsze wyglądaliśmy pospolicie ma także astmę

Libby była kiedyś ładna ale przytyła i w swoim nowym bikini wygląda jak zapaśnik chciałabym mieć bikini Lib nie kupi mi myślę że gdybym miała żółte bikini na plażę nie bałabym się aż tak wchodzić do wody

Kiedyś gdy miałam siedem lat mój tata i moja mama poszli razem na zakupy i nigdy już nie wrócili był napad na bank jak pokazują w telewizji Lib powiedziała że jakiś wariat ich załatwił

Wiedziałam że zanim wyjdą muszę się z nimi pożegnać wolno i wyraźnie powiedziałam najpierw żegnaj Mamusiu potem żegnaj Tatusiu ale nikt nie zwrócił na to uwagi widząc że oni wychodzą na zakupy ale potem Max przypomniał sobie i powiedział do Lib dzieciak tak się żegnał jakby wiedział co się stanie

Libby powiedziała na litość boską a skąd by miała wiedzieć kochanie bądź rozsądny ale sądzę że to oznacza że teraz my za nią odpowiadamy czy pomyślałeś o tym

Mówiła tak jakby nie była tym specjalnie uszczęśliwiona

No więc po tym jak zamieszkałam z Maxem i Libby musiałam powiedzieć żegnaj Dickowi bratu Lib Dick grał z nimi w karty w salonie i kiedy Lib krzyknęła Karen do łóżka podesz-



łam do niego stanęłam wyprostowana z rękami luźno splecionymi z przodu tak jak panna Jones każe nam stawać kiedy śpiewamy w chórze szkolnym

Powiedziałam bardzo wolno i wyraźnie żegnaj Dick a Lib rzuciła na mnie takie dziwne spojrzenie

Dick nie podnosząc wzroku znad kart odpowiedział dobranoc mała

Następnego wieczoru zanim ktokolwiek go znowu zobaczył umarł na chorobę która nazywa się zapaleniem otrzewnej wtedy wybucha coś w brzuchu i ma się tam pełno dziur

Lib zapytała Maxa czy słyszałeś jak ona powiedziała do Dicka żegnaj a Max zaczął sapać i dyszeć i powtarzać ja mówiłem ci że w tym jest coś złego to mnie przeraża jestem chory na samą myśl o tym ciekawe komu następnemu ona to powie a Lib na to no już kochanie no już staraj się uspokoić

Wyszłam zza drzwi za którymi stałam i słuchałam powiedziałam Max nie martw się z tobą wszystko będzie w porządku

Miał twarz całą w plamach usta sine zapytał mnie skrzekliwym głosem skąd wiesz

Co za głupie pytanie tak jakbym mu miała powiedzieć nawet gdybym wiedziała

Libby pochyliła się nade mną przybliżyła twarz tak że czułam jej oddech pachnący papierosami alkoholem i sałatą z czosnkiem

Powiedziała ale zabrzmiało to jak syk nie mów nigdy więcej do nikogo żegnaj nigdy tak nie mów

Problem w tym że ja muszę powiedzieć żegnaj

Potem przez jakiś czas wszystko szło nieźle i myślałam że może o wszystkim zapomnieli ale Libby nadal nie kupiła mi nowego bikini

Wreszcie pewnego dnia w szkole musiałam powiedzieć żegnaj do Kimberley i Charlene i Brett i Susie

Złożyłam przed sobą ręce i powiedziałam to do każdej z nich wolno i wyraźnie

Panna Jones powiedziała na Boga Karen dlaczego tak uroczyście kochanie a ja odpowiedziałam no bo widzi pani one umrą

Krzyknęła Karen jesteś złym okrutnym dzieckiem nie powinnaś mówić takich rzeczy to wcale nie jest zabawne zobacz przez ciebie mała Susie płacze chodź Susie kochanie wsiadaj do samochodu zaraz będziesz w domu i wszystko będzie dobrze

Więc Susie otarła łzy i pobiegła za Kimberley i Charlene i Brett i wdrapała się na siedzenie obok mamy Charlene która w tym tygodniu rozwoziła swoim samochodem dzieci do domów

I to był ostatni raz kiedy je widzieliśmy bo samochód ześlizgnął się z szosy do Mountain Heights i przekoziołkował całą drogę w dół zanim stanął w płomieniach

Następnego dnia nie mieliśmy szkoły był pogrzeb śpiewaliśmy pieśni i sypaliśmy kwiaty na groby

Nikt nie chciał stanąć koło mnie

Kiedy już było po wszystkim panna Jones podeszła do Libby żeby się z nią przywitać ale na mnie wcale nie patrzyła i oddychała tak szybko Libby odesłała mnie żebym się pobawiła

No więc kiedy panna Jones poszła Libby zawołała mnie z powrotem i powiedziała czy nie mówiłam ci żebyś już nigdy nigdy nikomu nie mówiła żegnaj

Złapała mnie mocno a jej oczy tak jakoś błyszczały wykręciła mi ramię to bolało krzyczałam przestań proszę przestań ale ona szarpała mnie i szarpała więc powiedziałam że jeżeli mnie nie puści pójdę i powiem żegnaj Maxowi

To był jedyny sposób o jakim pomyślałam żeby mnie puściła

Przestała mnie szarpać ale nadal trzymała za ramię i powiedziała o Boże uważasz że możesz spowodować żeby umarli

Nie mogę oczywiście ale nie miałam zamiaru tego jej mówić bo znowu by mnie zaczęła szarpać więc powiedziałam że tak

Puściła mnie tak nagle że upadłam na plecy i uderzyłam się zapytała czy nic ci nie zrobiłam Karen kochanie odpowiedziałam że tak i lepiej nie rób tego więcej a ona na to że ja tylko żartuję nie mówię tego poważnie

No więc wtedy wiedziałam że ona się mnie boi i powiedziałam że chcę mieć żółte bikini na plażę żółty to mój ulubiony kolor

Dobrze kochanie ale wiesz że musimy być oszczędni zapytałam czy chcesz żebym powiedziała Maxowi żegnaj czy nie

Oparła się o ścianę zamknęła oczy i przez chwilę stała tak nieruchomo zapytałam co robisz odpowiedziała myślę

Potem zupełnie nagle otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko powiedziała hej wiesz co jutro pójdziemy na plażę zabierzemy ze sobą obiad zapytałam czy weźmiemy moje nowe bikini tak twoje bikini powiedziała i wszystko co tylko będziesz chciała

No więc wczoraj po południu kupiłyśmy bikini i dzisiaj wczesnym rankiem Lib poszła do kuchni przygotować pieczonego kurczaka i sałatkę pomarańczową i ciasto czekoladowe i specjalne pączki na piknik i spytała czy jesteś pewna Karen że wszystko jest tak jakbyś chciała odpowiedziałam tak wszystko wygląda wspaniale i teraz kiedy mam już bikini nie będę się bała fal Libby roześmiała się i włożyła koszyk z jedzeniem do samochodu ona ma takie silne brązowe ramiona i powiedziała myślę że już się nie będziesz bała

Wtedy poszłam na górę założyć bikini i podeszłam do lustra żeby zobaczyć jak w nim wyglądam patrzyłam patrzyłam potem złożyłam ręce czułam się trochę śmiesznie i powiedziałam wolno i wyraźnie żegnaj Karen żegnaj Karen żegnaj żegnaj

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Zygmunt Nowak – Soliński

Okiem kamery

(In Camera)

Słońce wzeszło już przed dwiema godzinami, ale wilgoć i mgła w powietrzu nadal lgnęły do wczesnoporannego nieba, rozpraszając się niechętnie. W mieście witał ten nowy dzień wzmagający się szum ruchu ulicznego. Na rogu, z potoku pojazdów odłączył się piętrowy autobus, przystanął przy krawężniku, wypluł kilku pasażerów i odjechał w obłoku spalin dieslowskiego silnika. Od rozpierzchającej się po chodniku gromadki oddzielił się starszy mężczyzna i zdecydowanym krokiem pomaszerował wzdłuż witryn pozamykanych jeszcze sklepów, wtulając głowę w ramiona przed przenikliwym, wiejącym od ciemnych wód Firth of Forth wiatrem. Przeszedł na drugą stronę ulicy i grzebiąc w kieszeniach, zbliżył się do drzwi. „Zimny poranek, jak na tę porę roku", pomyślał, otwierając główne wejście do swojego zakładu. Ta codzienna uwaga na temat kaprysów pogody nie była niczym odkrywczym, gdyż rzadko nie było zimno.

Wszedł do środka, poszedł na zaplecze, zapalił światło, nastawił czajniczek, zgasił światło, wyszedł na zewnątrz, skręcił, jak przez ostatnie dziesięć lat, za róg, kupił tę samą gazetę i wrócił po własnych śladach do swojego królestwa; wszystko to zajęło mu dwie minuty. Jego kawalerskie nawyki były mocno zakorzenione i od lat nie ulegały żadnym zmianom. Szyld nad frontem lokalu głosił: ROBERT HUNTER, FOTOGRAF, a okno wystawowe, chociaż małe i zaniedbane, świadczyło o jego powołaniu. Pan R. Hunter lubił porównywać się czasami do kogoś pośredniego pomiędzy ministrem a lekarzem, do osoby służącej szerokim kręgom społeczeństwa, a jednocześnie wystawionej na jego żer. Wiedział, że pod tym względem jest niedzisiejszy, staromodny i że to nieprzystosowanie odbija sią ujemnie na interesie. Snuł więc niejasne plany wyprzedania się, zanim nie straci całkowicie gruntu pod nogami. Włosy już mu siwiały, a twarz miał pomarszczoną od zmartwień i bladą od zbyt wielu długich szkockich zim. Typowy syn swojego narodu, można by powiedzieć, chociaż nigdy nie założył kiltu. Był energiczny, ale już nie miał sił. Znikł gdzieś dawny zapał, co pociągało za sobą mniejsze powodzenie w interesie i odsunięcie od głównego nurtu fotografiki. Miał nadzieję, że tego lata ruch turystyczny podreperuje jego sytuację finansową i że pogoda na kilku lukratywnych ślubach, które miał odnotowane w swoich księgach, będzie na tyle dobra, że zdjęcia wyjdą bez zastrzeżeń. Ciesząc się reputacją dziwaka miał trudności w utrzymaniu przez dłuższy czas personelu i przeważnie pracował sam, co mu właściwie odpowiadało. Tego lata nie zatrudnił żadnej pomocy, chociaż wiedział, że prawdopodobnie sam sobie nie poradzi.

Hunter schylił się po pocztę, która przyszła przed jego przybyciem i leżała rozrzucona po podłodze. Jego oko przyciągnęła mała paczuszka, resztę rozpoznał jako rachunki i akredytywy. Położył wszystko na kontuarze, oddzielającym kantor frontowy od małego studia na zapleczu. Klienci nie zjawiali się, siorbał więc herbatę i wymrukiwał pod nosem komentarze do artykułów w przeglądanej gazecie. Drzwi były otwarte, znajdował się na posterunku i był gotów na wszystko, a w takie jak ten, spokojne poranki lubił rozmyślać. Trochę później, ciągle nie niepokojony przez klientów, zabrał się do przeglądania skromnej poczty. Paczuszka, którą wcześniej machinalnie odłożył na bok okazała się interesująca, resztę wypełnił lub wrzucił do kosza na śmiecie. Z jakiegoś nieznanego źródła otrzymał dwie rolki kolorowego diapozytywowego filmu 35 mm. Wszystkim, czego można się było dowiedzieć z dołączonej do przesyłki karteczki była czułość filmu i instrukcje jego obróbki. Użytkownikowi doradzano, żeby wywołał film sam lub oddał go do wyspecjalizowanego laboratorium. Nie było tam żadnego znaku firmowego, nie mógł też odnaleźć adresu zwrotnego. Na białej kopercie znajdował się tylko jego, wystukany na maszynie adres i nic więcej. Nie było nawet znaczka pocztowego. Dalsze oględziny przerwane zostały przez otwierające się drzwi zakładu, zgarnął więc oba filmy z lady i umieścił je w stojącej za kontuarem chłodziarce. Jeszcze tego samego dnia zapomniał o nich. Mijały tygodnie i rozpoczął się sezon letni, a filmy leżały tam, gdzie je schował. Przez kilka miesięcy, chociaż zdarzały się po temu okazje, nie mógł się zmobilizować do wypróbowania zagadkowych klisz. Kiedyś już go kusiło, ale otrzymał zlecenie ważne do tego stopnia, że musiał się przerzucić na film o większym formacie.

Krótkie lato dobiegało końca i zimne wiatry wywiały już ostatnich turystów, kiedy dostał zlecenie od stałego klienta, i jednego z nielicznych, których udawało mu się dotąd zatrzymać przy sobie. Robota była prosta; sfotografowanie reprodukcji małych akwarel na diapozytywie 35 mm. Odłożył tę „zabawę", jak lubił nazywać swoje małe zlecenia, na jakiś spokojny wieczór, bo muzeum nie narzucało żadnego określonego terminu.

Poza plamą światła, padającego na mały obrazek studio było pogrążone w ciemnościach. Ciszę mąciło jedynie tykanie wielkiego zegara. Jego podświetlone skale wisiały na ścianie nad głową Huntera. Wiele lat parania się obróbką filmów pozostawiło po sobie w powietrzu leciutki kwaśny odór – zapach, który czasami roztaczał się wokół samego Huntera. Pracował mechanicznie, rozstawiając sprzęt, sprawdzając wskazania światłomierzy



GALE

x 3 Jerzy Kurczak

i regulując kamerę. Jego ruchy były precyzyjne i szybkie; przecież już tyle razy wykonywał te same czynności. Znalazł wcześniej nie naświetlone jeszcze filmy i aparat był teraz załadowany rolką na 24 ekspozycje. Każda scena miała zostać sfotografowana czterokrotnie przy potężnym oświetleniu błyskowym i wreszcie, po zakończeniu przygotowań do zdjęć, z wężykiem spustowym w ręku, Hunter był gotów do utrwalenia na kliszy pierwszego obrazu. Rozległo się znajome pyknięcie lampy błyskowej połączone z gwałtownym wyzwoleniem potężnej dawki energii świetlnej i Hunter, który na czas ekspozycji odwrócił głowę od sprzętu, pochylił się znów nad kamerą, żeby zmienić przysłonę. Upłynęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, że obrazu, który przed chwilą fotografował nie ma na swoim miejscu. Nieco zdezorientowany rozejrzał się wokoło, schylił, omiótł wzrokiem podłogę, spojrzał nawet na sufit. Nie widząc zbyt dobrze w ciemnościach podszedł do kontaktu i włączył górne oświetlenie. W sinym świetle jarzeniówek nadal nie mógł odszukać obrazka. Nie potrafił znaleźć rozsądnego wytłumaczenia tego zagadkowego zniknięcia i złożył je na karb swego roztargnienia. Z początku przyszło mu do głowy, że w ogóle nie ustawił obrazu do sfotografowania, ale w pliku reprodukcji brakowało jednej sztuki. W końcu doszedł do wniosku, że gdzieś go odłożył. Pozostało tylko jedno – kontynuować pracę z innymi reprodukcjami i poszukać zguby później. Wyłączywszy górne światło przebiegł w myślach harmonogram sesji zdjęciowej i umieścił następny obrazek pod lampami błyskowymi. Dokonał niewielkich regulacji i tym razem podczas naświetlania nie spuszczał wzroku z fotografowanego obiektu. Czas ekspozycji nastawiony był na mniej więcej jedną dziesięciotysięczną sekundy. W tak krótkim czasie obiekt, skąpany w powodzi światła, zdaje się znikać, w rzeczywistości oko, niezdolne do dostosowania się do takiej ilości światła w przeciągu tak krótkiego czasu, zostaje chwilowo oślepione. Kiedy po sekundzie Hunter ponownie zaczął widzieć, z zaskoczeniem stwierdził, że tam, gdzie powinien znajdować się obrazek, nie ma nic. Przyjrzał się bliżej temu miejscu, przetarł oczy, pomacał ręką, ale znalazł tylko powietrze. Zanim podjął decyzję minęło jeszcze pół godziny intensywnych dociekań, sprawdzania i poszukiwań. Zanosiło się na to, że już wyjaśnienie zniknięcia jednego albo dwóch – nie był pewien ilu – obrazków będzie trudne i nie było sensu gubić dalszych.

Podczas przetrząsania laboratorium i studia, szperania po kątach i koszach na śmieci znalazł kilka pustych, żółtych pudełek po filmach. Położył je pod lampami błyskowymi, ustawił ostrość i nacisnął spust migawki. Pudełka zniknęły! Rozpłynęły się w powietrzu, pozostawiając po sobie kłopotliwe zaniepokojenie. Usiadł w kącie pomieszczenia, twarzą do rozstawionego sprzętu, wstrząśnięty i przeczuwający nadciągający kryzys. Dawały o sobie znać skutki przepracowania; rodziło się w nim nawet podejrzenie co do stanu jego umysłu. Ale to wszystko nie dawało przecież odpowiedzi na podstawowe pytanie: co się działo? Gdzie zniknęły te przedmioty? Albo, skąd pochodził ten niezwykły film, bo Hunter przypisywał dziwne wypadki, jakie przed chwilą zaszły w jego studio, filmowi który załadował do kamery. Nie potrafił znaleźć żadnego innego sensownego wyjaśnienia.

Zapaliwszy wszystkie światła, przeszukał dokładnie kantor frontowy w nadziei, że znajdzie paczuszkę, w której kilka miesięcy temu przyszły filmy. Jednak po tak długim czasie wszelki ślad po niej zaginął i jedynym pozostałym dowodem był drugi film. Pudełko nie zawierało nic, oprócz informacji o czułości filmu i warunkach obróbki. Ponownie rzuciło mu się w oczy, że był to dość dziwny sposób promocji nowego wyrobu. Spojrzał przez okno na ulicę. Zapadał zmierzch i w szybie zobaczył swoje odbicie na tle wnętrza kantorku. Może mam halucynacje, pomyślał. Tego rodzaju obawy były najbardziej niepokojącymi i żeby dowieść sobie, że tak nie jest, postanowił wypstrykać cały film tu i zaraz, ale w zmieniających się warunkach, wywołać go samemu i znaleźć przyczynę zniknięć. Wrócił do ciemnego studio w kilka minut później z naręczem rozmaitych przedmiotów – książek, czasopism, butelek z chemikaliami, ze starym aparatem fotograficznym, kilkoma piórami i kilkoma filtrami z przeceny – zwalił to wszystko na stolik obok stanowiska do naświetlania. Włączywszy górne oświetlenie jeszcze raz dokładnie przeszukał pomieszczenie, ale nie znalazł nic, co mogłoby wpływać w ten sposób na bieg wydarzeń, powodować znikanie ciał stałych.

Na zewnątrz, w cichej bocznej uliczce ruch był niewielki i żaden z przechodniów nie zwracał uwagi na oświetlony o tej porze sklep. Kiedy Hunter przejrzał ponownie wszystkie pomieszczenia i upewnił się, że na pewno są puste, światło zgasło. Zamknął drzwi pomiędzy kantorem a studio, zdecydowany znaleźć jakieś wyjaśnienie problemu, którego nie potrafił nazwać.

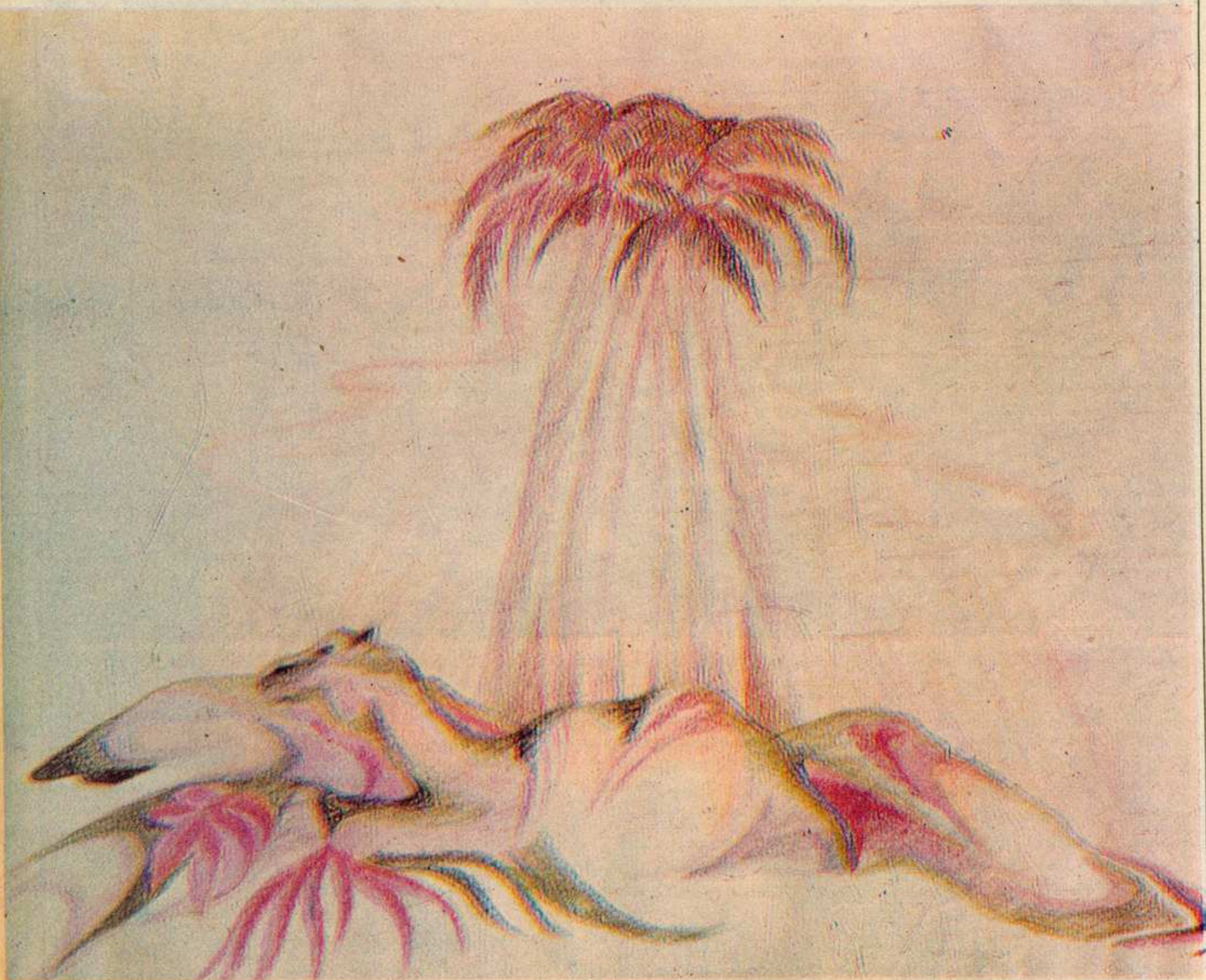
Tego wieczora odpowiedzi nie znalazł. Każdy przedmiot – czy to metalowy, szklany czy papierowy – po naświetleniu znikał i po wykonaniu czternastu zdjęć Hunter dał za wygraną. Obserwował to zjawisko pod różnymi kątami, znalazł nawet ciemne okulary, żeby być naocznym świadkiem aktu rozpływania się przedmiotów w nicość. Zniechęcony i zakłopotany postanowił kontynuować dochodzenie następnego dnia rano bez lamp błyskowych, na zewnątrz, w świetle dziennym. Właściwie wywoływanie filmu przed jego wszechstronnym przetestowaniem we wszystkich warunkach, jakie przychodziły mu na myśl, nie miało sensu. Pozostawiając wszystko jak stało, zamknął zakład i z ciążącym mu na sercu problemem ruszył na poszukiwanie autobusu, który odwiezie go do domu.

Wszedłszy wcześnie następnego ranka do zakładu i ujrzawszy dowody pracy z poprzedniego wieczora w stanie takim, w jakim je pozostawił, Hunter uwierzył dopiero, że to, co zdarzyło się wczoraj było faktem, a nie przywidzeniami. Po zastanowieniu, rozwiewającym wątpliwości, jakie zrodziły się w nocy, zamknął zakład i z kamerą w ręku ruszył w stronę najbliższego parku, gdzie miał nadzieję wreszcie ten eksperyment zakończyć. O tej porze dnia park – wielka, płaska, porośnięta trawą łąka z rozsianymi tu i ówdzie drzewami i krzakami – miał swoje przez nikogo nie uczęszczane zakątki. Od czasu do czasu przemykali tamtędy pojedynczo i grupami ludzie śpieszący na pierwszą zmianę do pracy, ale byli zbyt daleko i zbyt zaspani, żeby niepokoić samotnego fotografa. Poranek był mglisty, oddech Huntera skraplał się przed nim w parę i z miejsca, gdzie stał, słyszał przytłumiony szum ulicznego ruchu. Daleko na północy, ponad widnokręgiem i drzewami, dostrzegał zarys usadowionego na skale zamku, a wokół siebie szare zarysy otaczającego park miasta. Gdy, szukając odpowiedniego tematu, rozglądał się po parku, zauważył, że trawa jest ciemnozielona i pokryta rosą. Miał tremę. Niepokoił się, że to, co za chwilę zrobi nie przyniesie spodziewanych rezultatów. Sytuacja wyglądała na absurdalną, nie posiadającą racjonalnego wytłumaczenia i wyobrażał już sobie, jak skierowuje obiektyw aparatu na odległy obiekt i... i co, pomyślał, dokąd go ten pomysł zaprowadzi? Część parku, w której się właśnie znajdował, nie była szczególnie inspirująca. Szukając dalej czegoś bardziej odpowiedniego, dostrzegł ławkę, ukrytą przed wzrokiem ewentualnych przechodniów na tyle dobrze, żeby nie było sensacji, gdyby mimo wszystko „zniknęła".

Podszedł do ławki, obejrzał ją ze wszystkich stron, a potem, żeby do końca upewnić się, że naprawdę istnieje, usiadł na niej. Siedział tak przez jakieś piętnaście minut, czekając, aż światło będzie na tyle dobre, żeby móc przystąpić do eksperymentu.

Problemy techniczne, wynikające z warunków świetlnych, panujących tego ranka w parku, nie były nie do rozwiązania. Prawdę mówiąc, w tym świetle scena nabierała

pewnego odcienia tajemniczości. Aparat zapamiętał wszystkie informacje i Hunter wybrał odpowiadający mu czas otwarcia migawki oraz otwór przysłony. Pełen wątpliwości, skierował celownik dokładnie na ławkę. Patrząc na nią z góry, nie musiał przejmować się zbytnio tłem i nie potrzebował zbyt dużej głębi ostrości. Spłowiała biała ławka na zielonym tle. Nacisnął spust migawki... i ławka zniknęła. Z lękiem i lekkim zakłopotaniem rozejrzał się szybko wokół. W pobliżu nie było nikogo. Podszedł ostrożnie do miejsca, w którym przed chwilą stała ławka, okrążył je, przekroczył i zatrzymał się. „Działa, działa", pomyślał, starając się zapanować nad ogarniającym go podnieceniem. „Działa, ale czy działa tylko dla mnie? Przypuśćmy, że jestem jedynym, który nie widzi, nie wyczuwa tych przedmiotów?" Z tej galopady wątpliwości i domysłów rodził się nowy, obwarowany niezdecydowaniem plan. Trzeba było sfotografować coś, co mógł początkowo widzieć każdy, ale nie tu, nie w tej mało uczęszczanej części parku. Było takie miejsce oddzielające park od ulicy, gdzie znajdowały się ruiny starej budowli, niegdyś wykorzystywanej, a teraz chylącej się ku upadkowi. Mały placyk otoczony wybujałymi dziko krzewami, cierń w oku wszystkich, którzy tamtędy przechodzili. „Społeczeństwo na pewno nie poniesie żadnej straty, jeśli ta ruina zniknie", pomyślał. Problem polegał na tym, jak tego dokonać nie będąc zauważonym. Cokolwiek było robione, musiało być robione w tajemnicy, żeby sprawca nie został wykryty w przypadku, gdyby rzeczywiście się udało. No cóż, nie był całkowicie pewien, ale takie podejście wydawało się rozsądniejsze. Mając to wszystko na uwadze, wycofał się powoli do upatrzonego miejsca.



Elżbieta Kołaczkowska-Frańczuk

Znalazł odpowiednio osłonięty zakątek i czekał tam na jakąś lukę w potoku ludzi i pojazdów. Już zawczasu wyregulował ostrość i przełączył aparat na automatykę, a kiedy nadszedł odpowiedni moment, podniósł go do oka, wymierzył i nacisnął spust. Natychmiast odwrócił się, nie patrząc na skutki, nie chcąc być pierwszym, który je zauważy... albo nie zauważy. Przez kilka sekund na ulicy nie było żadnej reakcji, ale potem słysząc narastający hałas i zamieszanie, Hunter zmusił się do odwrócenia i spojrzenia w stronę, gdzie stał mały budyneczek. Przestał zwracać uwagę na otaczający go tumult i stał pośród niego oszołomiony tym, co nawyprawiał. Nie było go, znikł. Krzaki i drzewa zostały gładko ścięte, a w miejscu, które otaczały było... nic, szara nicość. Ludzie ocierali się o niego wrzeszcząc, przejeżdżające samochody zatrzymywały się, blokując ulicę. Ale Hunter tego nie dostrzegał i wycofywał się ostrożnie, żeby znaleźć schronienie w swoim zakładzie. Później przeszło mu przez myśl, że za znikającym budynkiem, albo w jego środku mógł się ktoś znajdować, ale było to raczej mało prawdopodobne i w podekscytowaniu, które go teraz ogarniało nie przywiązywał do tego większej wagi.

Tego dnia zamknął wcześniej niż zwykle i zabrał kamerę z drugą rolką filmu do domu, żeby zaplanować swoje następne posunięcie, ale po całodziennych rozmyślaniach nie wiedział, co robić ani gdzie się zwrócić. Naświetlił już szesnaście klatek filmu, pozostawało więc jeszcze osiem i Hunter chciał wykorzystać resztę kliszy, ale w sposób przemyślany. Nadal był pewien, że nadzwyczajne zdarzenia, których był świadkiem prowokuje film załadowany do kamery; ten film był w jakiś sposób czuły na spektrum zarówno

x 3 Maciej Krzywicki

świetlne, jak i „fizyczne". Wytłumaczenie trudno było znaleźć czy zaakceptować, a najbardziej zagadkowe było to, co się stało ze sfotografowanymi obiektami, gdzie one się podziały? Słyszał gdzieś, że jakieś prymitywne plemiona wierzą, iż magia kamery wysysa fotografowanemu człowiekowi część jego duszy, ale Hunter potrzebował wytłumaczenia bardziej naukowego. Jego problem był bardziej złożony, bo dotyczył znikania i duszy, i ciała. Wieczorne gazety przyniosły opowieść o „niewidzialnych ruinach", ale nazywały to żartem, chociaż bardzo wyrafinowanym.

Około południa, na drugi dzień po incydencie w parku, nie doszedłszy do żadnych zadowalających wniosków i w miarę wypocząwszy po emocjach poprzedniego dnia, Hunter zjawił się z powrotem w swoim zakładzie. Powitał go leżący na podłodze stos listów. Przypomniał sobie tę pierwszą paczkę z filmami i skrupulatnie przejrzał całą pocztę, ale nie znalazł nic interesującego. W kilka godzin później ciekawość kazała mu udać się do parku. Przechadzał się jakiś czas jak gdyby nigdy nic, żeby w końcu znaleźć się w miejscu, gdzie wczoraj stała ławka. Rejon, w którym zrobił swoje drugie zdjęcie na wolnym powietrzu otoczony był kordonem i trwało tam chyba coś w rodzaju śledztwa. Wokół stały grupki gapiów, przyciągniętych przez wydrukowany w prasie artykuł, a ich liczba raczej nie usprawiedliwiała obecności policjanta na służbie. Huntera kusiło, żeby podejść i trochę popytać, ale zamiast tego odwrócił się i z rękoma w kieszeniach ruszył wolnym krokiem z powrotem do zakładu. Podchodził już do drzwi wejściowych, ściskając pod pachą torbę z zakupami ze sklepu spożywczego, kiedy spostrzegł tego kota. Półdzikie stworzenie, uliczny weteran, którego karmił przy rzadkich okazjach, kiedy kot go odwiedzał. Kocur wszedł za nim do środka. Hunter zamknął drzwi i wywiesił tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE.

W środku było zimno i nieprzytulnie, a frontowy kantor sprawiał wrażenie nie umeblowanego, brak mu było elegancji, jaką widział w zakładach swoich konkurentów. Prowadził mały zakład i wszystko, co się w nim znajdowało wyglądało na przestarzałe. Wzruszył ramionami i przeszedł do studia na zapleczu. Wszędzie leżały stosy sprzętu, a w powietrzu unosił się znajomy zapach stęchlizny. Hunter podszedł do stanowiska pod elektroniczną lampą błyskową, ale nic się tam nie zmieniło. Wyglądało na to, że proces jest nieodwracalny, że obiekty, które raz zniknęły, już nie powracają. Pocierając policzek i kark zastanawiał się przez kilka minut co robić. Z zadumy wyrwały go ruchy i miauczenie kota. Znalazł trochę mleka, nalał do miseczki i usiadłszy w kącie studia, zabrał się do spożywania własnego lunchu.

Gdy patrzył jak kot chłepcze mleko, przyszło mu do głowy, że nie fotografował jeszcze żywej istoty. Wszystkie obiekty, które do tej pory zniknęły, były przedmiotami martwymi. Nie był jeszcze świadkiem, a już na pewno nie z bliska, jak znika coś żywego. A tutaj, tuż przed sobą, na podłodze studia, miał doskonałego kandydata na królika doświadczalnego. Pomysł był świetny, ale kot, przywykły do niczym nie skrępowanej wolności, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Wszystko było już gotowe i miał nawet zwierzaka pod światłami, ale chwila nieuwagi i kot zeskoczył na podłogę i skrył się w jakimś zakamarku. Chociaż wabił go jak potrafił, kot nie dał się nabrać i w końcu Hunter rozwścieczony otworzył drzwi studio. Kot wypadł do kantoru i kiedy Hunter uchylił drzwi wejściowe, czmychnął na wolność nie oglądając się za siebie. Hunter patrzył za nim roztrząsając w myślach ten incydent, kiedy usłyszał jak ktoś stojący obok pyta:

– Czy robicie zdjęcia do paszportów?

Pytanie to było najwyraźniej skierowane pod jego adresem, bo w pobliżu nikogo więcej nie było. Odwróciwszy się ujrzał starszą, siwowłosą kobietę wspierającą się na lasce i uśmiechającą do niego.

– Tak – odparł i jakby chcąc dodać wagi swojej raczej lakonicznej odpowiedzi, dodał: – Oczywiście, robimy – i zaprosił staruszkę do środka. Zamykając drzwi sprawdził jeszcze, czy tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE znajduje się nadal na swoim miejscu. To, czy Hunter rzeczywiście nie miał na myśli niczego innego, jak tylko wykonać serię zdjęć do paszportu, co nie trwa długo, czy od początku zamierzał doprowadzić do skutku eksperyment z żywą istotą, jest pytaniem, które w dramacie, jaki nastąpił pozostało bez odpowiedzi. Staruszce wyraźnie się nie spieszyło i to dało Hunterowi czas na zastanowienie. Buzia jej się nie zamykała. Usadowiwszy się na wysokim stołku poczuła się jak na scenie i zaczęła opowiadać historię swojego życia. Hunter wymrukiwał pod nosem komentarze tam, gdzie było to stosowne i instrukcje, kiedy to było konieczne, cały czas bawiąc się pomysłem, który zakiełkował w jego głowie już w chwili, gdy staruszka przekroczyła próg zakładu. Zrobiwszy zdjęcie przerwał jej monolog pytaniem, czy nie mogłaby mu pomóc w małym eksperymencie. Pociągałoby to za sobą zmianę oświetlenia, pozycji, ale nie zajmie wiele jej cennego czasu. Zgodziła się i Hunter błyskawicznie dokonał niezbędnych poprawek, trzeba było wprowadzić kilka zmian, odczytać wskazanie światłomierza, a gdy to zrobił był już zdecydowany. Wahał się, ale krótko. Jeśli się nie uda, nie stanie się nic takiego. Uśmiechnął się do swej posuniętej w latach modelki. Starsza pani, wniebowzięta wzbudzanym swą osobą zainteresowaniem i niewątpliwą powagą sprawy, zamilkła. Wciąż się uśmiechając, Hunter powiedział:

– Proszę o przyjemny wyraz twarzy! – i przytknął oko do wziernika aparatu.

– Gotowa? – spytał i nie czekając na potwierdzenie nacisnął spust migawki w wężyku. Rozległo się normalne w takich chwilach pyknięcie, któremu towarzyszył rozbłysk światła. Ciągle trzymając w dłoni wężyk spustowy, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, Hunter gapił się osłupiały na nieruchomą postać kobiety. Paplanie bez wątpienia ustało na dobre. Tam, gdzie powinny się znajdować jej głowa i tors ziała pustka! To, co z niej pozostało, siedziało nieruchomo – ręce skrzyżowane na kolanach, stopy złączone. Przez chwilę spodziewał się, że z przeciętego na pół ciała trysną strugi krwi, ale nic takiego nie nastąpiło. Obszedłszy ciało z daleka, zapalił w studio górne światło. Widok był makabryczny i Hunter, krążąc dokoła tego, co pozostało z kobiety odczuwał zarówno fascynację, jak i mdłości. Trzeba gdzieś usunąć te szczątki, pomyślał stając przed niepełnym tułowiem. Z początku zastanawiał się, gdzie ukryć ciało, ale nie potrafił się przemóc i dotknąć lekko drgających szczątków. Nagle przyszło mu do głowy, że najlepszym sposobem usunięcia dowodu, będzie po prostu sfotografowanie go. W pośpiechu i zdenerwowaniu nie objął stóp i klął swoją własną głupotę i marnowanie filmu. Gdy w końcu studio było zupełnie puste, na filmie pozostało mu tylko pięć klatek, pięć klatek na coś jeszcze bardziej widowiskowego. Dlaczego widowiskowego, skąd ta odmiana? Hunter nie znajdował na to wyjaśnienia. W końcu dał sobie spokój z poszukiwaniem odpowiedzi na to pytanie. Później się nad tym zastanowi. Być może była to swego rodzaju nagroda za te zmarnowane lata, podczas których jego

Zygmunt NOWAK-SOLIŃSKI

Syn pary polskich emigrantów, mieszka we Francji, pisze po angielsku. Typowe. Z zawodu jest fotografem „przemysłowym i prasowym", jak stwierdza nagłówek jego listu, nic więc dziwnego, że jego debiutanckie opowiadanie wykorzystuje temat fotograficzny. Z przyjemnością przedstawiamy ten polski debiut angielskiego, bądź co bądź, autora, wkrótce zamieścimy następne jego opowiadanie, tym razem nie związane z zainteresowaniami zawodowymi („Śmierć przez powieszenie").

zapał przerodził się w rozczarowanie. Musiał zademonstrować odkrytą, a raczej podarowaną mu moc. Była to pokusa nie biorąca pod uwagę konsekwencji, droga, która, jeśli się zapomni, mogła wieść tylko do katastrofy. Ponieważ jednak nadal istniał pewien element niepewności – film nie został jeszcze wywołany – czuł potrzebę kontynuacji. Nie mógł się doczekać kolejnej okazji do wykorzystania nadzwyczajnego zjawiska, na jakie się natknął. Nie chciał wyrządzić nikomu krzywdy i nie szukał zemsty; nie był psychopatą, chociaż przyznał w duchu, że ci, którzy mieli pecha i w nieodpowiednim momencie „weszli mu w kadr" nie byli tym zbytnio zachwyceni. W rzeczywistości cała sprawa mogła być skomplikowanym i zawikłanym szachrajstwem. Skrzywił się na tę myśl, bo był już zbyt głęboko zaangażowany, zbyt pewien tego, co widział, żeby dopuścić do siebie podobne rozwiązanie sprawy.

Pół godziny później, wychodząc przed swój zakład, nadal nie miał jasno sprecyzowanej koncepcji, co by tu sfotografować. Kiedy wycelowywał aparat w fasadę domu naprzeciwko było to działanie pod wpływem nagłego impulsu, najprostsze, jakie akurat przyszło mu do głowy. Żaden z przechodniów nie zwracał na niego większej uwagi. Ustawił ostrość, wykadrował i nacisnąwszy bez namysłu spust aparatu schował się szybko w kantorze, oparł plecami o drzwi i czekał z niesprecyzowaną nadzieją. Przez chwilę z zewnątrz nie dochodziły go żadne odgłosy reakcji. Potem, niczym podmuch gigantycznej wichury, rozpętała się wrzawa okrzyków i wrzasków. Hunter uchylił drzwi kantoru. Wystawiwszy głowę na zewnątrz myślał z początku, że jest świadkiem zamieszek ulicznych. Ludzie biegali ze wszystkich stron w kierunku... w kierunku wielkiej dziury w sklepie po przeciwnej stronie ulicy. Znowu się udało i Hunter uśmiechnął się w duchu zadowolony z ogromnego sukcesu, jakiego on i wielu innych byli świadkami. Zamknął powoli drzwi. Przez dwie godziny, nie zwracając uwagi na piekło rozgrywające się na zewnątrz, siedział w kantorze i konspirował, obmyślając jeszcze bardziej sensacyjny wypad, mający na celu zużycie ostatnich czterech klatek, jakie pozostały mu na filmie. Wiedział, że jest jeszcze w zapasie druga klisza, ale nad jej wykorzystaniem zastanowi się później.

Nie spodziewał się takiej sensacji, jaką wywołała jego ostatnia akcja. Siedząc tego wieczora przed telewizorem wysłuchiwał niepewnych komentarzy i strasznych gromów miotanych na głowy sprawców dzisiejszych zajść. Kiedy kamera pokazała szczegółowo rozmiary wyrządzonych szkód miał czas, żeby przyjrzeć się z bliska swojej robocie. Budynek stojący naprzeciwko jego zakładu został przecięty gładko na pół jak masło, przecinane gorącym nożem.

– Za wcześnie jeszcze na stwierdzenie, jak to zostało zrobione – tłumaczył reporter – ale policja jest pewna, że winni zostaną wkrótce zatrzymani. – Po tych słowach program zajął się omawianiem innych aktualnych wydarzeń. Hunter wyłączył telewizor i zamyślił się nad położeniem, w jakim się obecnie znalazł. Czuł się zobowiązany do wykonania jeszcze jednego zdjęcia, żeby być już całkowicie pewnym, a potem, po wyeliminowaniu wszelkich wątpliwości, będzie mógł wywołać film.

Następnego ranka miał czas, żeby zmienić zamiary. Dzień wydawał się tak spokojny, a leżący na stole aparat tak niewinny, że zaprzeczało to wypadkom poprzedniego dnia. Włączył radio, żeby wysłuchać porannych wiadomości i dowiedział się, że wzrosła liczba spekulacji i skażony rejon, jak go teraz nazywano, został odizolowany. Hunter słuchał tylko jednym uchem, bo pilno mu było do kontynuowania eksperymentu. Pojechał autobusem linii 33, swoją zwykłą trasą, do centrum miasta. W autobusie trwała ożywiona debata. Zaspani zazwyczaj pasażerowie wymieniali między sobą najprzeróżniejsze przypuszczenia. Każdy miał własną teorię na temat tajemniczych zniknięć i Hunter, czytając gazetę, rozmyślał co też wstąpiło w ten spokojny tłum, jeżdżący każdego ranka tą trasą. Wysiadł na wschodnim końcu Prince's Street i ruszył w kierunku ogrodów pod Pomnikiem Scotta. Ogarnęła go nagle nieprzeparta chęć porozmawiania z kimś, zwierzenia się, ale, siedząc sam na ławce w spokojnym parku, uspokoił się. Było za zimno na długie spacery i po chwili opuścił swoje sanktuarium i przeszedł z powrotem na północną stronę ulicy. Na szerokiej, otwartej alei panował duży ruch i ludzie mijali go nie zauważając. Szedł wolnym krokiem w kierunku zachodnim, podziwiając po drodze budynki, ogrody i zamek, przystając co chwilę i ruszając znowu. Żaden z oglądanych widoków mu nie odpowiadał. Trzymany pod płaszczem aparat uwierał go boleśnie w pierś, jak gdyby przypominając mu o jego misji. Przystanął i ocenił, że zmieniające się wciąż warunki świetlne są teraz prawidłowe. Po kilku przymiarkach wybrał wreszcie stanowisko do zrobienia ostatniego zdjęcia. Zerkając cały czas na boki rozpiął płaszcz i wydobył spod niego kamerę. Nikt z tłumu przechodniów nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Spojrzał na swój cel. Nad tym odcinkiem ulicy dominowała sylwetka zamku, obramowana ciemnozielonym listowiem i szarobłękitnym niebem. Hunter odczytał wskazania światłomierza, wyregulował aparat. Wykadrował zamek w wizjerze i... zawahał się. To był normalny odruch zawodowy – nie zadowalała go ani kompozycja, ani światło. Przyjrzał się lepiej swojemu obiektowi. Ludzie spacerowali po blankach, gołębie krążyły wokół jego szarych murów, a z wieży zwisała leniwie flaga. Odwrócił się, szukając słońca, ale było schowane za chmurami. Musiał trochę zaczekać na odpowiedni moment, na lepsze oświetlenie. Spacerował po ruchliwej ulicy jak wyspa w morzu mijającej go ludzkości, pełen pogardy i dumy, że poważył się na taką niezależność, taką inność i nagle zaczęły się w nim rodzić wątpliwości. Czy sztuczka uda się tym razem?

Udała się. I to z efektem o wiele bardziej oszałamiającym, niż się tego spodziewał. Cały odcinek alei zamarł w bezruchu. W tych pierwszych chwilach zatrzymało się całe miasto; wszyscy ci, którzy normalnie widzieli zamek, stanęli jak wryci, przestali oddychać, zamarli. Zamek znikł i zapadła wielka cisza. Było tak, jak gdyby ograbiając obywateli miasta z ich symbolu, ograbił ich jednocześnie z ich woli. Katastrofa była tak przerażająca, że sparaliżowała jakikolwiek bezpośredni okrzyk bólu. Starożytny zamek przestał istnieć!

Przedzierając się z trudnością przez gęstniejący tłum, Hunter czuł jak przenika go dreszcz obawy. Zewsząd słyszał rosnący gwar gniewnych głosów. Pomagając sobie łokciami, wydostał się ze zbitej masy ludzkiej, skręcił w pierwszą lepszą boczną uliczkę, gdzie przewinął film i wyjął go z aparatu. Wokół niego gromadzili się ludzie, a gdzieś daleko wycie policyjnych syren mieszało się z podnieconym gwarem tysięcy głosów, wznoszącym się pod niebiosa i wlewającym w pustkę, jaka powstała w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał zamek. Starczy, więcej nie wytrzyma. To, co uczynił napełniało go przerażeniem. Czuł strach, że tłum rozszarpie go na strzępy, jeśli wyjdzie na jaw, że to jego sprawka. Miasto wrzało, ludzie opuścili miejsca pracy i przelewali się zaniepokojeni po ulicach. Wieść rozeszła się szybko i kiedy Hunter dotarł z powrotem do swojego kantoru, zmachany długim marszem, tych którzy koczowali od poprzedniego dnia przed jego zakładem już nie było, bo pognali do nowego wydarzenia. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Obróbka filmu była dla Huntera fraszką, nie zmarnował więc ani chwili przygotowując wszystko, co było mu potrzebne. Nigdy w życiu nie czekał na rezultat z taką niecierpliwością, chociaż podczas poszczególnych etapów procesu zachowywał spokój, ściśle przestrzegając instrukcji. Po godzinie umieścił wywołany już film w suszarce i odprężył się trochę. W dwadzieścia minut później, nie włączając żadnego innego światła oprócz lampy przeglądarki, obejrzał efekty swej pracy. Z początku nie wierzył własnym oczom i zamrugał kilkakrotnie powiekami, żeby się upewnić, czy

go nie zwodzą. Wszystkie obiekty, które dotąd sfotografował, stały przed nim jak żywe – z głębią, wymiarem i w tak wiernych, wyrazistych kolorach, jakich do tej pory nie oglądał. Obraz, ławka w parku, ruiny w parku, staruszka, fasada budynku z przeciwka i zamek były namacalnymi, miniaturowymi wersjami rzeczywistego świata. Przyglądając się uważniej twarzy staruszki pomyślał, że można by wprowadzić niewielkie poprawki w wyrazie jej zastygłej twarzy. W przypadku zamku odnosiło się wrażenie ruchu, falowania, jakie obserwuje się patrząc na określony obiekt poprzez mgiełkę rozgrzanego powietrza. Film drgał życiem, życiem zachowanym, ale uwięzionym w celuloidzie. Hunter opadł ciężko na krzesło, pozostawiając film na przeglądarce. To chyba nie było możliwe, wątpliwości prześladowały go przez cały czas, ale ostateczny, pozytywny dowód leżał teraz przed nim wbrew wszelkim prawom fizyki, optyki i chemii. „Wszelkim znanym prawom, oczywiście", dodał w myślach. Jeśli oczy mamiło mu jakiegoś rodzaju szaleństwo, to szalony był też cały świat. Może coś wywoływało u mieszkańców miasta zbiorowe halucynacje? To była niewyobrażalna sytuacja. Niecałe sto jardów od miejsca, w którym teraz siedział, tam, gdzie przedtem stał mocno zakorzeniony fundamentami w ziemi budynek, ziała pustka. Teraz ten budynek z kamienia i drewna przeistoczył się w 35-milimetrowe, kolorowe przeźrocze, w slajd, który można wyświetlać na ścianie!. A trzeba było jeszcze odpowiedzieć na inne pytania: Czy ludzie znajdujący się w tym budynku nadal żyją? Czy może być postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem ich uprowadzenia albo nawet zamordowania? Im więcej nad tym rozmyślał, w tym większą popadał konfuzję. I wreszcie – co zrobić z tym odkryciem? Było zbyt niebezpieczne, żeby je wykorzystywać, a jeszcze bardziej niebezpieczne było komuś je przekazać, a jak już, to komu? Hunter był zbyt pogrążony we własnych myślach, żeby zauważyć zapadającą na zewnątrz ciszę i tak, niezauważone, mijały godziny, a on nie potrafił podjąć decyzji. Obejrzał film jeszcze kilka razy: twarz staruszki, której oczy zdawały się śledzić jego ruchy przerażała go, ale jednocześnie przyciągała hipnotycznie, zmuszając do wpatrywania się w jej zastygłe rysy. Czując się uwięziony, chodził tam i z powrotem po małym, ciemnym studio i w końcu wypędził go stamtąd głód. Hałasy dochodzące z ulicy przycichły; kręcili się tam jeszcze gapie, ale większość miasta zajęta była teraz szukaniem zamku w śródmieściu.

W ciszy studio, kiedy porządkował swoje sprawy szykując się do pieszego powrotu do domu, bo nie wątpił, że służby transportu publicznego przerwały pracę, usłyszał nagle cichy, odległy dźwięk. Sądząc, że na ulicy ponownie zbiera się tłum, otworzył drzwi studio. Dźwięk przycichł. Kiedy się odwracał, jego wzrok padł na film, leżący na przeglądarce. Gdy podszedł bliżej, do jego uszu dotarł odległy rozgwar ludzkich głosów, szum ulicznego ruchu, poszum wiatru, odgłosy maleńkiego, dalekiego świata, uwięzionego na kliszy. Podniósł ją i przyłożył do ucha. Film żył cichutkimi dźwiękami i nie dającymi się rozpoznać okrzykami. Staruszka krzyczała coś do niego słabym głosem, ale jej słowa były przytłumione, nie mogły się przebić przez żelatynę. Odrzucił film z przerażeniem, żeby się przekonać, iż wydobywający się z niego hałas przybrał na sile. Podniósł ostrożnie kliszę, zwinął ją i włożył do pudełka z przykrywką; cichutkie odgłosy ulicy ustały. To było dla niego za potężne, za silne przeżycie, to była trucizna, która, dostawszy się w niepowołane ręce, może zniszczyć wszystko wokół siebie. Jutro, pomyślał, będzie czas, żeby zrobić coś z filmem, bo doświadczenia tego dnia całkowicie go wyczerpały i nie był już w stanie trzeźwo rozumować. Zamknął szybko zakład i ruszył pieszo przez bardzo teraz wyludnione miasto w kierunku swojego domu. Zabrał ze sobą aparat; drugi film ukrył już wcześniej w mieszkaniu.

Decyzję, co do dalszego postępowania pomogły mu podjąć nadawane tego wieczora w telewizji wiadomości, całkowicie poświęcone niewiarygodnym wypadkom minionego dnia. Postanowił nie wyjawiać tajemnicy. Miasto opanowała panika, rząd starał się opanować sytuację i wysłano już żołnierzy. Wiadomości o tajemniczych zniknięciach podawano na całym świecie na pierwszych miejscach, a odpowiedzialni za zbrodnie byli ścigani i niebawem spodziewano się ich ujęcia. Hunter wcale nie miał ochoty ujawniać się i przyznawać do wszystkiego. Ponieważ nie uważał się za kryminalistę, był przeciwny wymyślaniu rodzaju kary, którą tak bardzo straszono. Dokonał tylko eksperymentu naukowego, ale chociaż starał się do późna w nocy, nie mógł do końca przekonać siebie samego o całkowitej niewinności swych poczynań.

Następnego ranka obudził się z ulgą, uchodząc w końcu przed tysiącami rąk, wyciągającymi się za nim z koszmarnego snu. Był mokry od potu i porządnie wystraszony, bo wiedział, że nie potrwa długo, zanim śledztwo naprowadzi na jego trop. Istniał sposób na wykrycie punktu, z którego zainicjowane zostało zniknięcie budynku. Tak jak idąc za promieniami światła, rzucanymi przez pochodnię na jakiś obiekt można dojść do punktu, w którym te promienie powstają – do pochodni. Wyrysował kilka szkiców sytuacyjnych i z rosnącym zaniepokojeniem wykreślił plan terenu, sąsiadującego z fasadą znajdującego się naprzeciwko jego zakładu budynku. Robiąc zdjęcie stał w swoich drzwiach i zbiegające się linie wskazywały jak strzałki na winowajcę. Pocieszał się, że wśród autorytetów powstanie na pewno jakaś różnica zdań na temat tego, co i jak naprawdę zaszło. Mógł się upierać, że o niczym nie wie, ale wiedział, że wzięty w krzyżowy ogień pytań załamie się... Pamiętał, że zostawił w sklepie wywołany film – dowód i świadectwo w przypadku rewizji, a na pewno do niej dojdzie. Nie można się było dalej wylegiwać w łóżku. Ubrał się powoli jak skazaniec i zszedłszy po schodach, zapadł w niespokojną drzemkę w fotelu w ciemnym pokoju wypoczynkowym. Na stoliku przed sobą położył aparat i nieużywany film.

Gdy się obudził, po okiennych szybach spływał deszcz. Zdziwił się z początku, znajdując siebie w tak dziwnej pozycji, połamanego i zziębniętego, ale błysk światła w obiektywie kamery przypomniał mu szybko o wypadkach poprzedniego dnia. Jęknął, przejechał dłonią po twarzy i podźwignął się z fotela, czując swoje sześćdziesiąt lat w każdym trzasku zastałych stawów i w zesztywniałych mięśniach. Kamera odbijała jego ruchy niczym zimne, martwe oko. Przeszło mu przez myśl, że może od razu rozwiązać problem, fotografując siebie samego w lustrze. Być może, ale ostateczny rezultat, życie w dwuwymiarowym, statycznym świecie nie był raczej zachęcający. Odrzucił szybko ten pomysł i rozsunął zasłony, żeby przyjrzeć się nowemu dniu. Bolały go plecy i odwracając się od okna, skrzywił się z bólu. Ku swemu zaskoczeniu stał oko w oko z obiektywem kamery. Był pewien, że kiedy podchodził do okna, aparat leżał zwrócony w przeciwną stronę. Teraz zdawał się śledzić go i jednocześnie przywoływać, ale ostatnio wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że Hunter niezbyt się tym incydentem przejął. A jednak aparat przyciągał go powoli przez cały pokój, aż Hunter stanął, patrząc prosto w obiektyw, opętany jego mocą. Dotknął zimnego metalowego korpusu. Wprawnie otworzył tylną ściankę aparatu i wyjąwszy film z opakowania wkręcił go w ciemne wnętrze. Cząstką siebie był pewien, że chce załadować aparat, ale jednocześnie miał wrażenie, że przygląda się całej procedurze z boku; jego ręce wykonywały kolejne czynności automatycznie – ślepe, ale pewne swoich ruchów. Delikatnie odłożył załadowany i przygotowany do wykonania zdjęcia aparat na stolik i udał się na poszukiwanie śniadania. Gdzieś w zakamarkach jego umysłu rodziła się wątpliwość co do ostatnich działań, jednak świadomość pełnej kontroli nad biegiem wypadków, pewność, iż jest panem sytuacji, podnosiła go na duchu, wyzwalała poczucie bezpieczeństwa. A może tylko tak mu się wydawało.

Tego dnia pojechał do pracy swoim samochodem. Zaparkował dwie przecznice od uliczki, przy której znajdował się zakład, ale w takiej od niej odległości, żeby nie musiał daleko iść. Przechodniów było niewielu, a ruch uliczny praktycznie nie istniał. Zbliżając się do zakładu i czekając na sposobność wślizgnięcia się doń niezauważonym, zobaczył na drugim końcu ulicy obok „dziury", którą zrobił, trzech żołnierzy, grzejących się nad małym koszem z rozżarzonym koksem. Znajdowali się za daleko, żeby wezwać go do zatrzymania się i z pewną ulgą Hunter wszedł do swojego kantoru, zamykając za sobą drzwi. Spojrzał na zegar, wiszący nad ladą. Wskazywał godzinę 6,30 rano – wcześnie jak na zjawienie się w miejscu pracy, nawet według jego norm. Może, pomyślał, popełniłem błąd. Przyjście do pracy o tak wczesnej porze mogło nawet wzbudzić podejrzenia, chociaż był pewien, że nikt go nie widział. Jakby w odpowiedzi na to pytanie usłyszał zatrzymujący się na zewnątrz samochód. Otworzyły się drzwiczki i w kierunku zakładu zaczęły się zbliżać czyjeś kroki. Jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, Hunter wpadł szybko do studia na zapleczu, żeby znaleźć film. Szukając jakiejś dodatkowej asekuracji natrafił ręką na kamerę, przewieszoną przez ramię i przestawił przełącznik czasu ekspozycji w położenie pracy automatycznej. Ktoś zapukał do drzwi. W tej samej chwili Hunter otworzył pudełko z wywołanym poprzedniego dnia filmem i pociął go scyzorykiem na odcinki po sześć klatek każdy. Wsunął je szybko do koperty, a tę włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki. Pukanie do drzwi stało się natarczywe i ktoś zaczął szarpać za klamkę. W oknie wystawowym pojawiła się czyjaś twarz.

– Już idę – krzyknął Hunter. – Idę, idę – powiedział otwierając drzwi.

Młody policjant był sam, jego kolega siedział w radiowozie i mówił coś do mikrofonu.

– Dzień dobry panu – powiedział i nie czekając na odpowiedź Huntera ciągnął dalej. – Czy to pański zakład? Widzieliśmy, jak ktoś tu wchodził.

– Tak – odparł Hunter zastanawiając się, gdzie się chowali, bo on widział tylko żołnierzy. – Wie pan, zwykle zaczynam pracę bardzo wcześnie.

Policjant zerknął na zegarek. Nad jego ramieniem Hunter zauważył, że drugi oficer siedział teraz w wozie studiując mapę i wciąż mówiąc coś do mikrofonu.

– Przypuszczam, że wie pan o wypadkach wczorajszego dnia, sir? – powiedział policjant, błądząc wzrokiem po wnętrzu kantoru. Było to pytanie retoryczne, ponieważ o „wypadkach wczorajszego dnia" wiedział już cały świat. Hunter wszedł z powrotem za ladę.

– Tak, tak, oczywiście, to straszne – powiedział, zdejmując aparat z ramienia i kładąc go na przedzielającym ich kontuarze. Policjant spojrzał na kamerę i wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale Hunter uprzedził jego zamiar, chwytając aparat.

– Wie pan, jestem amatorem – powiedział policjant uśmiechając się lekko. Hunter nie był pewien, co odpowiedzieć, bo uwaga została wygłoszona w tak poufny sposób, że zadał sobie pytanie, czy hobby policjanta nie jest aby tajemnicą, którą zna jedynie niewielu. – Ciekawe zjawisko tam, za pańskimi drzwiami – ciągnął policjant wskazując za siebie kciukiem. Na jego twarzy nadal malował się uśmiech. Patrzył Hunterowi prosto w oczy.

– Tak, to bardzo dziwne – mruknął pod nosem Hunter, zerkając przez okno. Był pewien, że jest oskarżony i że za chwilę zostanie aresztowany. Ścisnął mocniej aparat w rękach. Policjant, nie spuszczając z niego wzroku, podszedł do drzwi, żeby zawołać kolegę. Hunter nie myśląc wiele podniósł w panice aparat do oka. Policjant zaskoczony tym nagłym odruchem spojrzał w obiektyw obojętnie, ale z iskierką zrozumienia. W tym czasie Hunter nastawił ostrość, po czym nacisnął spust migawki. Ponieważ sklep był mały i obaj mężczyźni stali blisko siebie, Hunter objął tylko górną połowę człowieka i kawałek sufitu. Nieszczesny policjant nigdy nie powiedział tego, co chciał i teraz przejście blokowała tylko jego dolna połówka. Hunter zamarł, przerażony tym widokiem. Dobiegł go odgłos otwieranych drzwiczek samochodu, krzyk, tupot stóp.

– Nie zbliżaj się – krzyknął – przepuść mnie. Wychodzę! – W drzwiach pojawiła się głowa drugiego policjanta i szybko się schowała, a Hunter trzymając aparat w wyciągniętych rękach jak broń, prześlizgnął się obok przepołowionego ciała i wypadł na chodnik. Drugi policjant siedział już w radiowozie i wrzeszczał coś do mikrofonu krótkofalówki. Żołnierze stojący po przeciwnej stronie ulicy odwracali się w ich stronę. Hunter zdecydowanym krokiem ruszył ulicą w kierunku swojego samochodu.

– Hej ty, zaczekaj. Stój! – krzyknął za nim policjant z radiowozu.

Hunter odwrócił się na pięcie.

– Daj mi spokój – odkrzyknął. – Nic mi nie możesz zrobić! – Podniósł kamerę do oka, wyregulował ostrość i nacisnął spust. To było proste, problem został rozwiązany w ułamku sekundy i teraz Hunter patrzył na miejsce, które jeszcze przed chwilą zajmowali policjant ze swoim radiowozem. Żołnierze byli teraz rozmazanymi, niewyraźnymi sylwetkami w tle, uchwyconymi gdzieś pomiędzy rzeczywistym, fizycznym, trójwymiarowym światem, a światem z kliszy znajdującej się w jego aparacie. Podniósł rękę do twarzy, żeby otrzeć ją z potu i zastanawiał się przez chwilę, co zrobił. Kilka przecznic dalej zawyła samotnym krzykiem policyjna syrena, odpowiedziały jej dwie inne, a potem następne syreny. W drzwiach i w oknach pojawili się ludzie, ale Hunter, nie zwracając uwagi na ich wołania, ruszył w kierunku swojego samochodu.

Skonfundowany nagłym obrotem sprawy i przygnębiony tym, co zrobił młodemu policjantowi, nie miał żadnego sensownego pomysłu, co teraz począć. Odnalazł swój samochód i wyjechał z miasta, kierując się na północ z silnym postanowieniem ucieczki przed jakimkolwiek pościgiem. Trzymał się uparcie szosy. Wszystko nie poszło tak jak trzeba, bieg wypadków wymknął się całkowicie spod kontroli, jechał więc, jak gdyby powiększająca się odległość między nim, a tym, co zrobił miała wymazać niedawne zajścia z jego pamięci. Ogarniała go straszna panika, panika tak silna, że nie był w stanie logicznie myśleć. Prowadząc samochód wściekał się co chwila na własną głupotę, ale w miarę upływu czasu i przejechanych mil uspokoiło go zmęczenie. Raz, przyszedłszy trochę do siebie, roześmiał się przypominając sobie dziwaczną sytuację, w jakiej się znalazł. Jest niepokonany, przekonywał siebie samego, niedotykalny i może targować się o swoją wolność, gdyby go schwytano. Po raz pierwszy tego dnia uwolnił się od dręczących go ponurych myśli i zaczął zauważać przesuwający się za oknami samochodu krajobraz. A ten zmienił się bardzo – zniknęły gdzieś pola i lasy, a na ich miejsce pojawiły się obłe, porosłe wrzosem wzgórza Wyżyn. Wokół rozciągała się dzika i pusta kraina i cieszył się, że tu zabłądził. Tego popołudnia Hunter wymknął się pościgowi – jeśli taki zorganizowano – a pogoda pomogła mu się ukryć pod chłodnym kocem mgły. Wyczerpany psychicznie i fizycznie, ściskał aparat chłonąc z niego pewność siebie i siłę, których potrzebował, żeby jechać dalej. Późnym wieczorem, w zapadającym zmroku zjechał z drogi i wyłączył silnik. Wyjrzał w otaczające go ciemności. Był zbyt zmęczony, żeby dalej uciekać, żeby myśleć o czymś więcej niż tylko o spaniu. Daleko od głównych dróg, ukryty przez ociekające wilgocią gałęzie i mroczne cienie, zapadł w niespokojny sen.

Obudził się wcześnie następnego ranka – spragniony, głodny i obolały na całym ciele, bo chociaż pod pledem, którym się okrył było ciepło, nie była to wygodnie spędzona noc dla mężczyzny w jego wieku. Zimne powietrze na zewnątrz orzeźwiło go i wjechał na główną drogę w nadziei znalezienia jakichś ludzi zanim skończy mu się benzyna albo wyzionie ducha ...

ry mile dalej wjechał w płytki parów, który nagle otworzył się na rozległą, pustą równinę. Droga wiła się w dali jak cienka, czarna linia w rozległym, zielonopurpurowym krajobrazie i nie licząc smugi dymu wznoszącej się w niezbyt dużej odległości spoza rzadko zalesionego zbocza, pejzaż pozbawiony był jakichkolwiek śladów życia czy ruchu. Po przejechaniu mili, Hunter spostrzegł znak na poboczu drogi: ZAJAZD CARINDO – PEŁNY WIKT – 2 MILE – ... Reszta napisu została zamazana. Po niespełna pół godzinie, udzieliwszy wymijających odpowiedzi na dociekliwe pytania podstarzałej recepcjonistki, Hunter napełnił żołądek śniadaniem i znalazł się w swoim pokoju w pustym

(zgodnie ze swoimi obliczeniami spał około pięciu godzin), kiedy domem wstrząsnął głośny, dochodzący z parowu huk. Z początku siła eksplozji go oszołomiła. Rozejrzał się w panice po pokoju. Drzwi były zamknięte na klucz, kamera leżała nietknięta przy łóżku, tak jak ją zostawił, a jego ubranie walało się rozrzucone po podłodze. Wycofawszy się od okna usiadł na łóżku i wciąż nie mogąc dojść do siebie, schylił się po spodnie i koszulę. Za oknem znowu rozległ się huk, ale tym razem był już na to przygotowany; ktoś do niego przemawiał. Nie było to przesłanie z zaświatów, ale zwykły, ziemski głos i bezsprzecznie zwracał się do niego. Wciągał właśnie marynarkę, kiedy usłyszał go ponownie.



Elżbieta Kołaczkowska-Frańczuk

poza tym Zajeździe Carindo. Jego ciało domagało się odpoczynku, zamknąwszy więc drzwi na klucz i umieściwszy kamerę w zasięgu ręki, położył się i zasnął. Spał głęboko, przespał lunch, który i tak odwołano po wiadomościach nadanych tego dnia w radio o pierwszej po południu. Po krótkiej, ale znaczącej rozmowie telefonicznej Zajazd Carindo pozostawiono jego jedynemu gościowi, a cały personel w liczbie dwóch osób wyniósł się cicho hotelowym samochodem w kierunku parowu. Hunter ocknął się w tej pustce trochę później po południu. Zwlókł się powoli z łóżka i podszedł do okna. Widok miał wspaniały. Nisko sunące chmury nad szczytami odległych, obłych wzgórz, a w przednim planie wrzosowisko falujące w podmuchach lekkiego wietrzyku. Ale oprócz ptasiego wrzasku nie było słychać nic, żadnego ruchu w domu, żadnych głosów.

Podniósł się właśnie ze stojącego przy oknie krzesła z zamiarem zejścia na dół i przeprowadzenia rekonesansu, jak również pozbycia się przykrego uczucia pustki w żołądku

– Panie Hunter, panie Robercie Hunter, słyszy mnie pan? – Łagodne, perswazyjne, może tylko zbyt głośne wezwanie. Nie można go było nie słyszeć. – Panie Hunter – ciągnął głos – jest pan w domu sam. – Nastąpiła krótka pauza, żeby to stwierdzenie dotarło do niego. – Chcielibyśmy z panem porozmawiać, panie Hunter. Chcielibyśmy porozmawiać. – Żadnych gróźb, żadnych rozkazów.

Hunter odpowiedział cicho, siedząc pochylony na łóżku i sznurując buty:

– Dajcie mi spokój, nie mam nic do powiedzenia.

Zaraz potem odezwał się drugi, spokojniejszy głos:

– Panie Hunter, nie jesteśmy tu po to, żeby wyrządzić panu krzywdę. Wiemy coś niecoś o tym, co pan potrafi, ale nie możemy zrozumieć, jak pan to robi. Może mógłby nam pan to wyjaśnić? – To się Hunterowi nie spodobało. Powiedział już wcześniej, że nie ma nic do powiedzenia, nie życzył sobie indagacji.

– Boicie się podejść bliżej, co? – powiedział z większą pewnością siebie.

– Tak – padła odpowiedź – tak, ale może o tym porozmawiamy. Może się pan swobodnie poruszać po domu. Nie widzimy pana, ale słyszymy. Dysponujemy superczułymi mikrofonami wycelowanymi w okna. Odbierają bardzo wyraźnie pański głos. – Hunter spojrzał na okno sypialni, spodziewając się zobaczyć te niewidzialne mikrofony przyciśnięte do szyby. Tyle dziwnych rzeczy zdarzyło się ostatnio, że to – głos, mikrofony – zdawało się mieć związek z dziwacznymi wypadkami ostatnich trzech dni. Siedział tak na łóżku, patrząc na odległe wzgórza i zastanawiając się, co powiedzieć. W końcu odezwał się:

– Co chcecie wiedzieć?

Nastąpiła krótka przerwa, jak gdyby potężny, boski głos, bo takim się on jawił Hunterowi, prowadził konsultacje, jak gdyby jego zgoda wymagała czasu na sformułowanie dalszych pytań. Ale zanim odezwał się ponownie, Hunter powiedział:

– Schodzę na dół, żeby coś zjeść. – Urwał, wpatrując się w okno i już mniej pewny siebie dodał: – Zabieram ze sobą aparat.

Głos odpowiedział natychmiast:

– Oczywiście, panie Hunter, ma pan całkowitą swobodę poruszania się. Musi pan być bardzo głodny. A co do aparatu, to właśnie o nim chcemy porozmawiać.

Hunter był już na schodach i głos docierał do niego przytłumiony, nie usłyszał więc ostatniego zdania. Zszedł do małego holu, z którego prowadziły drzwi do jadalni i świetlicy. Tu na dole jest pełno szyb, pomyślał Hunter. Na pewno nie tylko mnie słyszą, ale i widzą. Przeszedł przez drzwi oznaczone napisem „Kuchnia", a potem dalej, do jadalni. Była pusta. Popychając wahadłowe drzwi wszedł do środka. W sali widać było ślady pośpiesznej ucieczki – kilka przewróconych krzeseł, pozostawione na stoliku talerze z jedzeniem i trzeszczące radio tranzystorowe leżące na przykrytej dywanem podłodze. Za oknami roztaczał się widok na rozległe moczary i góry. Gdzieś tam znajduje się mój niewidzialny rozmówca, pomyślał. Ustaliwszy, że naprawdę jest sam w hotelu, wrócił do kuchni i podszedł do wielkiej lodówki. Wyjął z niej, co mu się nawinęło pod rękę i popił posiłek kilkoma filiżankami kawy z bulgoczącego wciąż ekspresu. Zaspokoiwszy głód stanął w otwartych drzwiach frontowych hotelu i wyjrzał na zewnątrz, zastanawiając się, czy odważy się wyjść, czy czekają tam, gotowi się na niego rzucić i obezwładnić go, żeby wydrzeć mu kamerę? Przerywając nagle ciszę, czystszy teraz i wyraźniejszy Głos powiedział:

– Panie Hunter, dobrze się pan czuje, zjadł pan?

– Tak, teraz czuję się świetnie – odparł automatycznie i zawrócił do schodów, wspinając się na nie najszybciej, jak potrafił.

– Panie Hunter – kontynuował przytłumiony przez ściany Głos – chcielibyśmy kogoś do pana posłać, o ile obieca nam pan, że nie wyrządzi mu żadnej krzywdy.

Hunter był już w swoim pokoju i zamykał drzwi. Usłyszał tylko ostatni fragment tego komunikatu. Położył się na łóżku, przyciskając kamerę do piersi. Poczuł się nieco bezpieczniej i dalej od natrętnego molestowania.

– Dajcie mi spokój – wyszeptał – dajcie mi wreszcie spokój. – „Naciskają na ciebie Hunter", pomyślał. „Chcą cię mieć, ciebie i twoją tajemnicę". Uniósł głowę z poduszki. – Nie chcę nikogo widzieć. Nie chcę rozmawiać – krzyknął do niewidocznych mikrofonów.

– Ależ panie Hunter – nalegał bezcielesny Głos – musimy znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu. Dalej tak nie może być. Czy pan rozumie, co pan tam ma, panie Hunter? Dysponuje pan ogromną mocą. – Głos przybrał na sile, zirytowany odmową, ale Hunter niewzruszony leżał na łóżku, nawet nie słuchając. Znowu nastąpiła pauza, z parowu nie dochodzi żaden dźwięk. Odczekawszy chwilę, Hunter wstał z łóżka i ostrożnie podszedł do okna. Oczywiście otoczyli mnie, pomyślał, chociaż nieprzyjaciel jest niewidoczny i boi się ujawnić. Klasyczny przypadek pata. Ale on ma broń doskonałą, on tu jest górą, a nie tamci, kryjący się w parowie.

A może by tak po ciemku... Hm, mruknął cicho pod nosem i uśmiechnął się chytrze. To jest plan, pomyślał, to wszystko jest najprawdopodobniej snem, koszmarem i na pewno wkrótce się obudzę daleko od tego wszystkiego, od tego dziwnego pokoju i jeszcze dziwniejszego Głosu. Miał się właśnie odwrócić i położyć z powrotem na wygodnym łóżku, kiedy jego wzrok przyciągnęło jakieś poruszenie w parowie, błysk odbitego światła.

– Nadciągają – powiedział półgłosem – nadciąga nieprzyjaciel – a potem krzyknął na cały głos: – Kiedy wielki Las Birnam podejdzie pod wysokie Wzgórze Dunsinane... – urwał, dalej nie pamiętał.

– Co pan mówi, panie Hunter? – spytał łagodniej Głos, tym razem kobiecy. Ale Hunter nie zauważył zmiany.

– Nic, nic nie powiedziałem – krzyknął, zdenerwowany, że mu przeszkadzają i że nawet myślenie nie jest już jego prywatną sprawą. Zdjął kamerę z ramienia i położył ją na okiennym parapecie. Sprawdziwszy, czy jest ustawiona na automatykę spojrzał przez wizjer. Nic, czyste i puste wzgórza pod zachmurzonym niebem. Skryte za chmurami słońce rzucało w obiektyw słabe refleksy. Hunter ziewnął i przetarł ręką oczy. Znowu chciało mu się spać, pragnął zapomnieć o tych nierozważnych czynach, których się dopuścił. A może się poddać?

„Padnij na kolana, Hunter, błagaj o litość". Bawił się przez chwilę tym pomysłem. Nie, nie, jutro, pomyślał. Może jutro sprawy będą wyglądały trochę lepiej... Czuł jak gdzieś odpływa, senny po zbyt obfitym i zbyt szybko spożytym posiłku. Niestrawność przerodziła się w zgagę. Pomasował sobie lewą stronę piersi.

– Spojrzę jeszcze jeden raz i zobaczę jak są daleko – powiedział spokojnie w kilka chwil później. Sięgając prawą ręką po kamerę uniósł głowę ponad niski parapet. Jego palec dotykał odruchowo przycisku spustu migawki, gładząc go pieszczotliwie. Spojrzał na moczary i na parów. Zerknął na to samo przez obiektyw.

– Wyszłoby niezłe zdjęcie – mruknął do siebie i uśmiechnął się do własnej głupoty. Blask przybrał na sile, ale nadawał scenie dramatyzmu. Jeszcze jakaś godzina i byłoby świetne zdjęcie zachodu słońca, pomyślał. Pogrążył się we wspomnieniach o takich jak ta chwilach, dawno temu w jego płomiennej, fotograficznej młodości. Odsunął na chwilę głowę od wziernika aparatu nie spuszczając palca ze spustu migawki.

Pocisk trafił go w lewe oko, nie dając nawet czasu na zastanowienie się, skąd nadleciał, ani na usłyszenie wizgu, z jakim się zbliżał. Hunter zapadł w czerń. Uderzenie pocisku odrzuciło mu głowę do tyłu i palec, spoczywający na przycisku, drgnął. Kamera przechyliła się ku górze, mierząc prosto w słońce i pełna siła jego promieni padła na ogniwo światłomierza. Obliczenie i wykonanie ekspozycji trwały zaledwie 1/1000 sekundy... I słońce zgasło!

Przełożył **Jacek Manicki**

András Gáspár

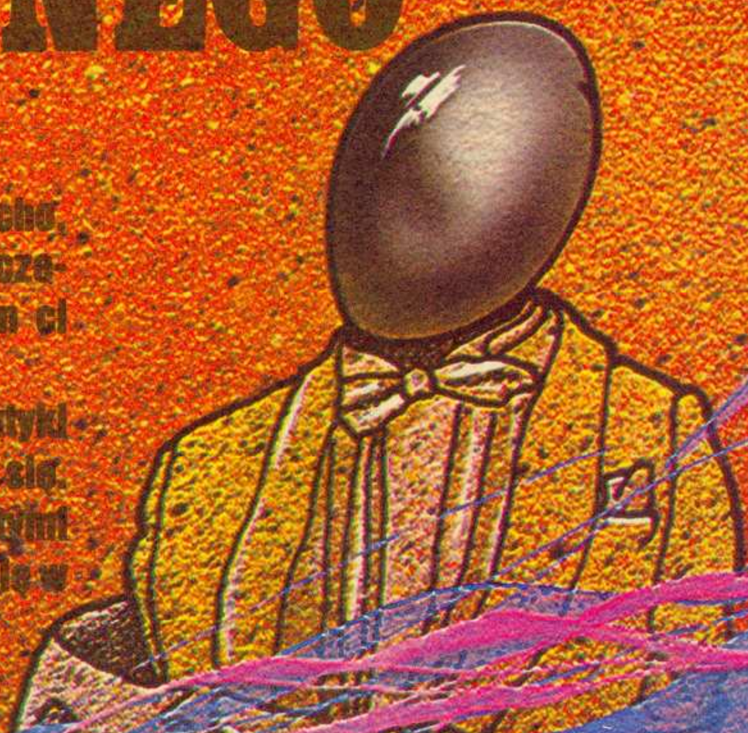
ZABAWA W CHOWANEGO

(Aki bújt, aki nem)

UNO – 1

Młoda kobieta płakała. Cicho, uporczywie, z goryczą. – Dlaczego mi to robisz, Šargo? Czym ci zawiniłam?...

Dostrzegłszy fiasko tej taktyki otarła łzy, lecz nie poruszyła się. Siedziała jedynie z zaciśniętymi kolanami bacznie wpatrując się w w mężczyznę.



Andrzej Brzezicki

W blasku reflektorów wpadającym przez okno biura wirowały drobinki pyłu. Na całej planecie nie było miejsca, gdzie mogłaby się przed nimi ukryć. Ciężki zapach polerowanej miedzi i ołowiu wniknął w tkaninę jej kostiumu i jedwabne pończochy. Buty z krokodylej skóry też nie prezentowały się tak znakomicie, jak dzień wcześniej, gdy przechodziła w nich z nowiutkiego, sportowego samochodu na pokład swego statku. Czuła się poniżona, nieczysta. Wiedziała, że tak będzie. Domyślała się tego już tam, na dole, lecz całkowitą pewność zyskała dopiero w momencie, gdy jej statek doleciał do UNO, prywatnego systemu należącego do Koncernu Przemysłu Mieszanego. Tu, w kuli o średnicy roku świetlnego bezustannie pulsowało czarne serce zbadanego wszechświata. W polu grawitacyjnym gigantycznej gwiazdy węglowej, stosu atomowego klasy widmowej RN unosiły się światy rud, ropy i węgla kamiennego. Ponad pięćdziesięcioma wieżami wiertniczymi UNO-3, ponad olbrzymią kopalnią płonęły dwa tuziny piekielnych pochodni gazowych rozrywając na strzępy ciemność sześćdziesięciogodzinnych nocy. W sieci rurociągów pięćdziesięciu ogromnych zakładów petrochemicznych UNO-2 płynęła gęsta jak smoła ropa. Pięćdziesiąt sekcji pompujących przyjmowało tankowce, przybywające po benzynę o najwyższej liczbie oktanowej w całym wszechświecie. Na powierzchni UNO-1 dudniło pięćdziesiąt potężnych stalowni zaopatrujących zakłady zbrojeniowe Koncernu w stopy wysokiej jakości.

Mężczyzna, w wieku lat czterdziestu siedmiu – czterdziestu ośmiu, z typu wcześnie starzejących się, o pooranym bruzdami czole, siwiejącej czuprynie i przenikliwym spojrzeniu, smętnie potrząsnął głową. Na Ziemi dawaliby mu jeszcze pięćdziesiąt – pięćdziesiąt pięć lat życia. Lekarze UNO-1 uśmiechali się doń szeroko i obiecywali mu dwadzieścia – dwadzieścia dwa. Nie musieli się tłumaczyć. Każdy akceptował warunki w chwili, gdy sprzedawał Koncernowi duszę i ciało. Dowodem na to były kopie umów, z których jedną mężczyzna przesunął po stole w kierunku dziewczyny.

– David Cameron Mulgrave, inżynier hutnictwa... – głośno przeczytała młoda kobieta. – Rozwiedziony, ojciec dwójki dzieci. – Zaśmiała się. – Ale przecież to kłamstwo. Nazywasz się Sarge. Sarge Esperance. Nigdy nie byłeś inżynierem hutnictwa. I nie masz więcej jak trzydzieści pięć lat, niezależnie od tego, jak wspaniały jest ten makijaż. – Niepewnie uśmiechnęła się do mężczyzny. – Co ci jest, Sarge? Nie chcesz mi powiedzieć? Nie chcesz mnie widzieć? Jeśli mogę coś dla ciebie uczynić, jeśli mogę ci pomóc, zrobię to, tylko mi powiedz!

– Pani Esperance, proszę mi pozwolić kontynuować moją pracę. To jest wszystko, co może pani dla mnie zrobić w tej chwili.

Oziębły ton zrobił swoje. Dziewczyna znowu zalała się łzami. – Chcesz mnie wykończyć, prawda? O co ci chodzi, braciszku, może mam cię błagać, żebyś skończył tę swoją grę? Nagle o wszystkim zapomniałeś? Nie potrzebujesz swoich milionów? Znudziły ci się przyjęcia w ogrodzie, golf, wycieczki na nartach, piękna żona? Znudziły ci się i zmieniłeś je na to? – Spojrzała dokoła i wstrząsnęła się. W oddali zawyła syrena oznajmiająca koniec zmiany. – Przecież nie znasz się na maszynach. Praca nigdy nie była twoją najmocniejszą stroną. Ten pył niezbyt ci pomoże przy twojej astmie, Sarge. Tu nawet atletę rozłożyłaby silikoza. Alergia zniszczy twoją delikatną skórę. Skończ to, Sarge, póki nie jest za późno!

W czystych, szarych oczach Mulgrave'a widniały współczucie i smutek.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, pani Esperance, pani brat przebywa obecnie w systemie UNO. I to nielegalnie. Radzę, by poszła pani do szefa służby bezpieczeństwa naszego zakładu. Na zewnątrz każdy wskaże drogę, jeśli pani o niego zapyta. Nie ma się czego obawiać: jest jednakowo kompetentny zarówno w sprawach szpiegostwa przemysłowego, jak i w kwestiach personalnych. Jeśli pan Esperance ukrywa się tutaj, szybko go odszukają. Wszyscy będziemy uspokojeni, choćby dlatego, że w tym małym świecie włóczędzy... no, narażają się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Widziała pani nasze maszyny, prawda? Niektóre z nich to prawdziwe maszynki do mięsa. Ale to najdoskonalsze, najpewniejsze urządzenia w całej republice. To, do czego są zdolne...

– Sarge, na miłość Boską! Mnie nie musisz się bać! Niezależnie od tego, co jest powodem takiego zachowania, na pewno potrzebujesz pomocy. Masz kłopoty finansowe? Przecież wiesz, że firma...

– Z całym spokojem mogę stwierdzić, pani Esperance, że nie mam trosk natury materialnej. Ta posada, jak pani wie, daje mi niezły dochód. Moi synowie są już niemal dorośli. Jeden walczy w LMG. Zapewne czytała już pani w gazetach o tej lokalnej wojnie. Zgłosił się na ochotnika i w zeszłym roku awansowano go na chorążego. Jego matka przez całe miesiące zasypywała mnie listami: „Pogadaj z chłopcem, Dave!" Z dwudziestodwuletnim mężczyzną, który już wkrótce będzie oficerem! No cóż, moja żona zawsze postępowała dziwnie. W szczególny sposób. Apolitycznie. Rozumie mnie pani, prawda?

Dziewczyna szlochała. Łzy spływały po jej opalonej twarzy i szyi. – Nie cierpię cię! Jezu, żebyś ty wiedział, Sarge, jak ja cię nienawidzę! Teraz odchodzę. Nie wrócę więcej, skoro tego sobie życzysz. Nigdy już o nas nie usłyszysz. Twoja żona, to znaczy twoja prawdziwa żona, przesyła ci wiadomość. Przyjęła zaproszenie od swoich przyjaciół z Kalifornii. Prosiła, żebym ci powiedziała, że od tej pory będzie cię zdradzać codziennie, w każdej chwili. Prosiła, żebym ci to dała na pamiątkę... Niech Bogu będą dzięki, że mi to ułatwiłeś!... – Błyskawicznie sięgnęła do twarzy mężczyzny, perłowo błyszczące paznokcie wbiły się w skórę zostawiając cztery wąskie krwawe bruzdy. Palce zacisnęły się na krótko ostrzyżonych włosach inżyniera. Nie bronił się. Jego twarz uderzyła o krawędź biurka. Z pękniętej wargi spłynęła na brodę krew. Roztarł ją i podniósł wzrok. – Pani Esperance...

Dziewczyna z przerażeniem cofnęła się. Dwa kroki, trzy. Obie pięści przycisnęła do ust, żeby nie krzyknąć. Bowiem nie udało się jej zdrapać makijażu. Na twarzy mężczyzny nie było makijażu. Inżynier zwilżył wargi i spoglądał na dziewczynę z charakterystyczną miną, z jaką mężczyźni zbliżający się do pięćdziesiątki zwykli patrzeć na młodsze o dwadzieścia lat, niezrozumiale zachowujące się kobiety.

– Pani Esperance...

Dziewczyna odwróciła się na pięcie, wybiegła szlochając, zatrzasnęła drzwi. Mężczyzna przez chwilę czekał, nasłuchiwał, po czym powlókł się do umywalki. Opłukał czoło, przemył rany. Nagle dostał czkawki. Cztery małe różowe strumyczki przebiegły po podrapanej szczęce.

*

Następnego dnia dotarł do stołówki niewyspany, jako jeden z ostatnich. Ledwo zdążył zdjąć płaszcz i zająć swoje miejsce, a już po obu stronach otworzyły się okienka wydające jedzenie. Dookoła nad stołami pochylał się z tuzin mężczyzn głęboko wciągających mocny zapach zupy.

– Wszystko w porządku, Dave? – ktoś z rzędu naprzeciwko pochylił się jeszcze niżej. – Tak na oko, to bym powiedział, że miałeś paskudny dzień i noc. Jeśli chcesz, wezmę twoją zmianę. Masz jeszcze czas, żeby odrobić przed koń-

cem kwartału. W porządku? – Mulgrave pokręcił głową. Jego sąsiad z prawej strony podsunął mu puszkę piwa: – Dajcie mu teraz spokój! – Ciszej ciągnął dalej: – Kto to była ta kobieta, Dave? Córka?

Mulgrave chrząknął. – Siostra. Tak przynajmniej twierdzi.

Inżynier nie dopytywał się więcej. Przez następne pół godziny zmagali się ze swoimi porcjami. Mulgrave skosztował bawarskiego piwa (raz na pół roku przychodził transport tylko tego gatunku) i wysłuchał kilku rozmów o funkcjonowaniu pieców martenowskich, o nadmuchu tlenu i o stosowanych metodach prasowania na zimno. Pozwolił, by jego umysł przemełł informacje na zdania, słowa, sylaby. Dzięki obiadom i kolacjom nie musiał w ciągu ostatnich tygodni sięgać do podręczników. Jego współpracownicy okazali się znakomitymi znawcami teorii, a jeśli to możliwe, jeszcze lepszymi praktykami. Byli bardziej godni zaufania niż literatura zawarta w całej bibliotece. Poza tym byli przenikliwi, spokojni i pewni siebie – prawdziwie godni miana towarzyszy pracy. Gdy skończyli kolację, stos RN, słońce systemu zaszło już, a na zewnątrz zawyły syreny. Noc otworzyła nad UNO-1 swoje płonące oczy i wpatrywała się w twarz Mulgrave'a wracającego do swego biura przez unoszące się opary i popioły. UNO-2 stało wysoko, UNO-3 w pełnym zaćmieniu ciemniał pięć stopni powyżej linii horyzontu: czarna dziura o przepalonych brzegach w przestrzeni. Inżynier poczuł, że podłoga pod jego stopami zadrżała. Do hali terminalu zakładu wpłynął statek. Mały statek, czerwone i zielone światła pozycyjne. Czyżby dziewczyna wróciła?... Możliwe. Naprawdę kocha brata. Choć nie potrafi mu pomóc, tak jak nigdy nie potrafiła. Na biurku rozjarzył się ekran osobistego komunikatora. Mulgrave usiadł.

– Dave? – Twarz szefa służby bezpieczeństwa zakładu zdradzała niezadowolenie. – Tylko chwila, Dave! – krzyknął przez nasilający się hałas. – Przykro mi, że ci przeszkadzam, ale jest tu ktoś, kto przybył z daleka i upiera się, żeby natychmiast z tobą rozmawiać...

Nie musiał tego mówić. Mulgrave wyczuwał przybysza – wiedział, że jest mężczyzną, wiedział, że jest słabo umięśniony i dlatego czuje teraz w plecach rwący ból. Nawet widział go jak jakiś niewyraźny, rozmazany szkic ołówkiem. Dosyć! – rozkazał sobie twardo.

– Będę tam za dziesięć minut – obiecał i gdy tylko wstał, by założyć marynarkę, poczuł w gardle gorycz. Cokolwiek przedsięwzięła ta dziewczyna, nie mógł już zrobić nic, żeby to zatrzymać.

*

Przybysz miał około czterdziestki, jego rozpięta marynarka i poluzowany krawat stwarzały intymny nastrój w pustym biurze szefa służby bezpieczeństwa.

– Dr Teil – powiedział szef ze zmieszaniem – przybył do nas na polecenie pani Esperance. Prosto z Ziemi, żeby z tobą porozmawiać. Jeśli chodzi o mnie, to nie wiem...

– Prosiłbym – wtrącił doktor aksamitnym głosem – żeby zostawił nas pan samych na kilka minut.

Szef bezpieczeństwa rzucił inżynierowi pełne współczucia spojrzenie i zamknął za sobą drzwi. Dr Teil przysunął się bliżej. Uśmiechnął się do Mulgrave'a. – Dobry wieczór, Sarge!

Starszy mężczyzna zamknął oczy. – Tak sądziłem, że dziewczyna nie odleci stąd zanim nie naśle na mnie psychologa. – Zapalił papierosa. – Biedna. Komplikacje rodzinne musiały ją solidnie wyczerpać.

– Solidnie – dr Teil skinął głową. – Lecz jeśli chodzi o mnie, panie Esperance, to jest pan w błędzie. Nie jestem psychologiem, tylko fizjonomistą. Wie pan, co to takiego, prawda?

– Bada pan rysy twarzy, grymasy i na tej podstawie wyciąga pan wnioski o pewnych procesach psychicznych. A więc jednak psycholog. Co mogę dla pana zrobić, doktorze Teil?

– Dla mnie nic, prawie nic, panie Esperance. Zrobiłby pan dobrze dla siebie, swej siostry i żony, gdyby zdecydował się pan lecieć jutro rano ze mną.

– Nazywam się David Cameron Mulgrave. Jestem inżynierem hutnikiem; rok urodzenia...

– Jak pan sobie życzy – powiedział dr Teil. – Może jednak pozwoli mi pan chociaż opowiedzieć pańską historię. Sarge Esperance jest młodym człowiekiem pochodzącym z dobrej rodziny. Nie ma nawet trzydziestu lat, gdy dziedziczy olbrzymi majątek. Porzuca studia w Eton i przez trzy lata pędzi żywot złotego młodzieńca. Później żeni się z Claire Esteira, przez co wchodzi w więzy powinowactwa z szefem Unii Korsykańskiej, starej organizacji przestępczej. W wieku trzydziestu trzech lat jest właścicielem największego na świecie przedsiębiorstwa importowo-eksportowego, jednym z głównych udziałowców Koncernu Przemysłu Mieszanego UNO. Życie stoi przed nim otworem. Później nagle znika. Mija rok, nim jego teść, siostra i żona ze zdumieniem stwierdzają, że żyje w systemie UNO, i to pod przybranym nazwiskiem. Być może szuka romantycznej przygody w mysiej dziurze, w której nie ma nic do szukania. Może zbzikował. Obie wersje są dopuszczalne. Jego siostra nie szczędząc sił i czasu leci na UNO-1. Jednakże pod przybranym nazwiskiem widzi nie swojego brata, ale pięćdziesięcioletniego inżyniera hutnika, sumiennego i ograniczonego fachowca. Czy jego twarz jest dziełem chirurgów? To niemal niewiarygodne! Niewyobrażalne, non plus ultra irracjonalizmu!

Co mogło skłonić jednego z najbogatszych w świecie młodych przemysłowców do tego, by na zawsze się oszpecił? I to nie tylko twarz, lecz – jak stwierdzają tutejsi lekarze – także ciało... Bo inżynier hutnik jest od stóp do głów, na zewnątrz i w środku, pięćdziesięciolatkiem. Czary. I po co to wszystko?

Mulgrave zgasił papierosa. Dr Teil spojrzał nań marszcząc czoło.

– Rothmans International. Trzyma pan styl, wciąż jeszcze trzyma pan styl, Sarge. Jednakże w obecnej sytuacji radzę, by nie ciągnął pan tego dalej. Nikotyna szkodzi pańskim płucom. Tu dookoła jest wystarczająco duzo dymu...

– Tak pan sądzi? My to inaczej odbieramy. Dlatego w kwietniu systematycznie palimy zeschłe liście i śmieci.

Doktor nie obraził się. – Co pan myśli o mojej historyjce?

Mulgrave uśmiechnął się ze złością. – Wzruszająca. Absolutnie. To mógłby być szlagier filmowy: pełno w niej intryg, pieniędzy i miłości. Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Dr Teil pstryknął palcami.

– Pańskie słowa, Sarge, pańskie zdania! Musi pan bardziej na nie uważać, bo wszystko pan psuje! A może nie wspomniałem o tym? Zajmuję się też frazeologią. Zaczyna pan wypadać z roli.

Mulgrave naprężył mięśnie szyi. Dość! Ani jednego dźwięku więcej. Gdy jednak po dłuższej przerwie odezwał się, jego wyczerpanie było wyczerpaniem pięćdziesięcioletniego inżyniera hutnika:

– No a moje rysy? Czy wyczytał pan też coś z mych rysów, doktorze? Może właśnie sygnaturę mojego chirurga?

Młodszy z mężczyzn pokręcił głową. – Nie byłem zmuszony uciekać się do czegoś takiego, Sarge. Pańska siostra szczegółowo zrelacjonowała mi wasze spotkanie. Z tego, co mi opowiedziała wywnioskowałem o operacji plastycz-

nej. Sztuczki z makijażem dawno już zostałyby wykryte przy badaniach lekarskich. A przecież pan nie pragnie sensacji, Sarge! – Pochylił się bliżej. – Och, wcale pan nie pragnie! Gdzie pan podział świeże blizny, Sarge? Gdy pan tu wszedł, widziałem je jeszcze na pańskiej twarzy. Gdzie znikły? Może mi pan na to odpowiedzieć?

David Mulgrave z wahaniem dotknął czoła.

*

W ostatnich minutach trwającej do rana zmiany Mulgrave utkwił spojrzenie w szeregu młotków parowych. Nienawidził doktora Teila. („Niech się pan zastanowi, Sarge! Niech się pan zastanowi! W każdej chwili znajdzie mnie pan w mojej kwaterze. Jeśli sobie pan życzy, może pan opowiedzieć swą historię z najdrobniejszymi szczegółami. Może pan odsłonić swoje triki. To była naprawdę duża gra, Sarge, ale już się skończyła. Niech się pan nie przejmuje. Jeśli pan sobie życzy, zostanie to pomiędzy nami. W ostatecznym efekcie przez dłuższy czas mogę być pańskim prywatnym psychiatrą. Dobranoc, miłej pracy, Sarge!")

Mulgrave myślał teraz o Ziemi jak o rozdzieranej wojną prowincji. Nie miał ochoty tam wracać. Nie miał ochoty kryć się w powłoce wewnętrznej samotności, przez którą od czasu do czasu przedzierają się potoki pustych słów. Miał nadzieję, że jeszcze będzie okazja wyjaśnić dziewczynie, na co zamienił to wszystko. Wskazującym palcem prawej ręki przeciągnął po bliznach. Były tam i boleśnie piekły. Rzecz jasna, za późno. Popełnił błąd i dlatego, że go popełnił, musi umrzeć.

Natychmiast.

Rozejrzał się po hali. Umrzeć można tu na tysiąc sposobów. Jednakże tylko jeden jest doskonały. A w tym celu potrzebuje pomocy.

Przez otwór nowego pieca Natwicha dokładnie co trzydzieści minut wylewało się dziesięć ton roztopionego metalu, by w stojących na dole formach stężeć w metrowej grubości słupy. Mulgrave czekał na mostku, ściskał poręcz, wpatrywał się w rozciągnięte pod nim, nieco zniekształcające niklowe lustro. Bóg z tobą, Dave. Bóg z tobą, Sharon, Bóg z wami, chłopcy. Cholernie was pokochałem.

Syk pary zagłuszył pierwsze ostrzegawcze okrzyki: kilka metrów wyżej otwarły się klapy. Rozżarzone gardło Natwicha rozdziawiło się na oścież. Inżynier hutnik przeszedł przez barierkę. Dziesięć – piętnaście osób widziało, jak jego ciało runęło w dół z roztopionym metalem. Kilku ludzi krzyknęło. Wyrostek z Brazylii przeżegnał się. Ktoś poleciał po doktora Teila.

Przeciągłe wycie syreny. Nocna zmiana dobiegła końca.

UNO-2

– Gus... – mruknął główny księgowy z szerokim uśmiechem stanowiącym własny patent Koncernu Przemysłu Mieszanego. – Gus Cernik. Wystąp, przyjacielu!

Przed nim stanął mężczyzna o płowych włosach, rzadkich brwiach i wnikliwym wejrzeniu. Świrusy zbzikowane na punkcie wojskowego wyposażenia z demobilu z pewnością byłyby skłonne oddać cały majątek za jego strój. – Gustav Cernik, technik brygadzista melduje się, proszę pana. Pozdrawiam pańską rodzinę!

Główny księgowy uniósł głowę. Na jego twarzy widniała odraza. – Cernik, technik, płaca podstawowa cztery dziewięćdziesiąt, z potrąceniami cztery dwadzieścia trzy. Ubezpieczenie i składka na obronę interesów dwanaście. Podpisz tu, kowboju. I bez żadnych szeptów, słyszycie? Co do diabła może być ważniejsze od tej cholernej pensji? Jedno słowo i wezmę ją za was. Powiem więcej: zrzekniecie się jej na piśmie. No, co będzie, Cernik?

Mężczyzna oparł się na stole międląc między zębami gumę do żucia. Nabazgrał swoje nazwisko i czekał. Główny księgowy odliczył do koperty osiem pięćdziesiątek, dziesięć srebrnych monet i trochę drobnych. – W porządku, kowboju. Ale nie domagaj się, żebym ci na dodatek życzył szczęścia. Nie będziesz go miał, jeśli nadal będziesz pyskować. – Zwrócił się do ludzi. – Idziemy, jeden po drugim, cała cholerna, zbuntowana banda! Chambers!...

Cernik przygotował się do odejścia. Zarzucił na ramię sprzęt do zimnego spawania i przyłączywszy się do większej grupy techników zszedł po schodach. Doszedłszy do swej szafki w szatni zapalił papierosa, zarzucił kitel i pogrzebał w kieszeni szukając klucza.

Ciężkie buty, rękawice, kufajkę i maskę ułożył na desce ławki. Na górnej półce znalazł coś jeszcze – od góry, przez szczelinę grubości palca wsunęli mu do szafki wyświechtaną broszurę.

Le mouvement sindical international. Jego wzrok machinalnie przebiegł po linijkach tytułów, aż wreszcie natrafił na słowa we własnym języku: *Międzynarodowy ruch związkowy*.

Zaśmiał się.

– O, do diabła! – Do tyłu: – Hej, hej, popatrzcie tutaj! Wiadomość z Ziemi.

W ciągu dziesięciu minut z górnych półek w szafkach zebrano siedemdziesiąt broszur. Ten sam tani papier, ten sam nierówny druk. Efekt pospiesznej pracy. Tekst sformułował i opatrzył wyjaśnieniami niejaki Marteau. W końcu dziesiątej minuty pojawił się szef służby bezpieczeństwa.

– Znowu... – szepnął pobladły z wściekłości. Nakazał zrzucić broszury na stos na dziedzińcu i własnoręcznie oblał je olejem. Niektórzy, między innymi Cernik, w porę ukryli swoje w kieszeniach. Z wyrazem wahania na twarzach stali w blasku płomienia.

– Czy wyście oszaleli?! – pienił się szef wdrapawszy się na stos rur. – Nie widzicie, nie rozumiecie, co tu się dzieje? Chamski sabotaż! Za tym, do cholery, stoją czerwoni! Zrobią wszystko, żeby ogłupić uczciwych pracowników. A co wy sobie myślicie? Po tym łajdactwie z całą pewnością nastąpi kontrola. Obiema nogami wykopią stąd tego nędznika, który w zeszłą sobotę nasmarował NIECH ŻYJE 1 MAJA na kopule olefinu. Oprzytomnijcie, prędzej czy później wszystko się wyda! Co się zaś tyczy rozbieżności poglądów...

– Prawa dla kobiet! – ryknął ktoś byczym głosem w tylnym szeregu. – Prawa dla kobiet! – Huragan głosów w mgnieniu oka zagłuszył wściekłe okrzyki szefa służby bezpieczeństwa. Cernik wrzeszczał i śmiał się razem z innymi. Nie żałował nawet tego, że później musiał żłopać piwo, choć nie znosił nawet jego zapachu. Szaleli do późnej nocy niszcząc wiele ukrytych kamer. Około północy znudziło się to tym na górze. Głośno zawyły syreny; ciśnienie w sieci rurociągów gwałtownie spadło. Gorący olej zniszczył uszczelki zaworów w siedmiu miejscach naraz. Cernik i jego towarzysze przeklinając zerwali się z krzeseł, narzucili na siebie płaszcze, maski, buty. Z sykiem sprężonego powietrza dywizja maszkar wybiegła w noc UNO-2.

*

– Niech skonam, jeśli nie przeciążyli tego celowo... – powiedział o świcie jeden z majstrów kopiąc rzucone na ziemię, zepsute części zaworów. – Oczywiście zrobili to na polecenie z góry. Oto sabotaż! Idziemy, chłopaki!

Gus Cernik pracował stojąc na rozstawionych nogach. W ulewie niebieskich i złotych iskier. We wczesnym mrozie, pośród błyszczących potem twarzy. Pracowaliście kiedyś zimną spawarką w ocieplanej kufajce? Pot z miejsca pokrywa skórę cienką warstwą, utrudniając oddychanie i torując drogę świądowi atakującemu kark i skórę głowy. Cernik spojrzał w górę – gwiezdne pole przesuwało się z hipnotycznym spokojem, UNO-3 skrył się w półcieniu – i odetchnął.

Ludzkie oko nie mogło dostrzec, że w swej pracy pozostaje za towarzyszami w tyle o tysięczne części sekundy. W ciągu tygodnia – pomyślał – mogę opanować do perfekcji tę metodę. Być może czterysta dziesięć i trochę drobnych jest nawet wygórowaną zapłatą za to drobne oszustwo.

Pierwszy blask świtu zastał go samotnego w hali montażowej. Brygada odeszła, technicy rozbiegli się, by łyknąć piwa. Cernik zwinął kable, wyjął przegrzane rurki i wsunął je do pokrowca. Usiadł na ziemi i wpatrywał się przed siebie zmęczonym wzrokiem. W czaszce pulsował mu ból. Męczyła go wizja. W jego wyobraźni pojawiło się niebieskie morze, szara, zakurzona szosa, odkryty samochód sportowy. Dokładnie naprzeciw niego? Zdawało mu się, że słyszy pisk hamulców. Rozpoznał swą żonę siedzącą na przednim siedzeniu w objęciach mężczyzny w okularach przeciwsłonecznych.

Oczywiście, Claire na ogół dotrzymuje obietnic.

Gus Cernik zerwał z twarzy maskę i splunął. Niech i tak będzie!

– Dzień dobry, Sarge!

W górze, na wysokości dobrych trzydziestu metrów, oparty o barierkę stał psycholog, dr Teil. W rozpiętej marynarce, kasku, z aktówką. Cernik poznał go nie po twarzy, lecz po głosie – słońce właśnie wschodziło za plecami Teila rzucając niepewne błyski przez chmury sadzy wirujące w atmosferze. Cernik osłonił oczy.

– Na Boga, człowieku! Po to wstał pan dziś tak wcześnie, żeby mnie śmiertelnie wystraszyć? – Podniósł się. – A poza tym nazywam się Cernik. Miałem paskudną noc i nie mam ochoty na żarty. Kim pan u diabła jest? Hej, jeśli węszy pan za związkowcami, to jest pan na złym tropie! – Czekał. – Miałby pan dla mnie papierosa?

Psycholog kucnął i pogrzebał w otwartej aktówce. Cernikowi wydało się, że się uśmiecha. W chwilę później do jego stóp spadła z góry garść papierosów. Rothmans International! – krzyknął dr Teil. – Muszę zmienić zdanie, Sarge! Nikotyna wywiera na pański organizm zdecydowanie korzystny wpływ. Jest pan we wspaniałej formie. Szkoda tylko, że nie jest pan w stanie zmienić swych nawyków. To, że jako Mulgrave nie dopalał pan tych papierosów do końca, mogło jeszcze uchodzić za rozrzutność. To samo jednak w przypadku robotnika jest głupotą i jako taka zdarza się nadzwyczaj rzadko. Naprawdę mógłby pan uważać na te drobiazgi. Śledząc pańskie pety można za panem dotrzeć choćby na Ziemię. To poważny błąd. Ze strony tak zapobiegliwego młodego człowieka...

Szczęknął zamek. Gus Cernik spostrzegł karabin w dłoni psychologa. Z celownikiem optycznym i tłumikiem. Dr Teil zamknął aktówkę czubkiem buta. – Niech pan zostanie tam, gdzie pan stoi, Sarge! Tylko chwilka i zaraz skończymy.

– Terapia wstrząsowa? – spytał Cernik z ciekawością. – To niezbyt oryginalna metoda. Tak poważny specjalista...

Dr Teil uśmiechnął się i strzelił w ramię Cernika.

– Niezbyt mi się podoba sposób, w jaki pan ze mną rozmawia, Sarge. Już wcześniej chciałem to panu powiedzieć. Wstać!

Cernik wstał. Z rękawa płynęła na beton krew, pierś zalała mu fala paraliżującego zimna. Zacisnął zęby: dosyć! Ból złagodniał.

– Pomijając papierosy – usłyszał głos psychologa – działał pan naprawdę uważnie. Niemal udało się panu mnie zmylić. Nie przypuszczałem, że w ciągu jednej zmiany potrafi pan skaptować wszystkich kolegów. Jednogłośnie twierdzili, że tego ranka przed tygodniem widzieli, jak runął pan do roztopionego metalu. Ale pan nie miał najmniejszego zamiaru umierać. Pańska droga wiodła przez halę montażową do szatni, gdzie pan odsapnął i otworzył paczkę papierosów. Następnego peta znalazłem w poczekalni portu promów. Czwartego i piątego w męskiej umywalni. – Pochylił się. Godzina to nawet dla najbardziej wykwalifikowanego chirurga za mało, by znowu uformować mężczyznę z wraku człowieka, Sarge. Człowiek nie jest do tego zdolny. Ale musiał pan przystąpić po południu do pracy na UNO-2 jako Gustav Cernik, więc uczynił pan to. Nie, niech pan nie zaprzecza! Wiem, z kim mam do czynienia. Jeśli już o tym mówimy, to do samego końca miałem nadzieję, że się mylimy. Pan jest potworem!

– Tak pan myśli? – Cernikowi kręciło się w głowie.

– Nawet gorzej – ciągnął dr Teil. – Odwaliliśmy kawał roboty, zanim nie przekopaliśmy się przez pański życiorys, Sarge, ale było to warte zachodu. Tak czy inaczej planowaliśmy morderstwo. Ale w obecnej sytuacji jest ono racjonalnym środkiem zaradczym, o którym możemy nawet poinformować rząd. Zwierzchnicy UNO będą mogli legalnie odzyskać zawłaszczone przez pana akcje. Wszyscy będą szczęśliwi i zadowoleni. To lepiej, że tak się to potoczyło. Po morderstwie popełnionym na Ziemi zawsze wszczyna się gruntowne śledztwo. Cień podejrzenia wcześniej czy później padłby na pańskich współudziałowców. A tego za wszelką cenę należy uniknąć.

A więc nasłali go na mnie moi wspólnicy, a nie żona czy siostra – pomyślał Cernik – i poczuł wielką ulgę. Kawałek ołowiu wytoczył się z jego rękawa i upadł na ziemię. – Przez jakiś czas mogę się tak bronić. Dopóki Teil nie zrani mnie śmiertelnie. – Spojrzał na doktora. Cicho spytał: – Nawet tu stoję im na drodze?

– Wszędzie. Dopóki pan oddycha. Jaka jest gwarancja, że już jutro pan nie wróci? Jest pan wyjątkowym zjawiskiem. Nie ma pan ludzkiej twarzy. Tę czy inną nosi pan jedynie z przyzwyczajenia. A jednak w wieku dwudziestu sześciu lat stał się pan jednym z najmajętniejszych ludzi na świecie. W wieku trzydziestu trzech lat wybrano pana do Senatu. W wieku trzydziestu pięciu zaraził się pan wywrotowymi ideami. Być może w wieku lat czterdziestu wróci pan na Ziemię i w dwa lata później wybiorą pana na prezydenta. Wybiorą potwora. Zabójcę Mulgrave'a i Cernika. Ilu pan ich w sumie zabił, Sarge?

– Doktorze, zna pan Jimmy'ego McDonalda?

– Nie, Sarge, nie znam. Kto to, jakiś czerwony?

Cernik krótko się roześmiał. – Żaden czerwony. Był pracownikiem studia filmowego starego Walta Disneya. Prawdziwy cudotwórca. Woził ze sobą w walizce cały świat. Cały świat najróżniejszych dźwięków. Grał, wygłupiał się, a wieczorem szedł do domu i rzucał walizkę na łóżko. I nie otwierał jej do następnego poranka. A jednak nikt go nigdy nie oskarżył o zabójstwo myszki Miki czy stu jeden dalmatyńczyków. Tak jak i ja nie zabiłem Mulgrave'a, Cernika, ani nikogo innego. Jeśli zechcę, mogę znowu być inżynierem hutnikiem. – Ojcem dwojga dzieci – dodał głosem Mulgrave'a. Rozgrywka zaczęła go wciągać, nie czuł już lęku. Ani gniewu. – Jeśli pan sobie życzy, mogę być George'em Washingtonem. Oczywiście jego nędzną kopią. – W lunecie karabinu Teila pojawiło się znane z monet oblicze. – I mam też prawdziwą twarz. Ludzką twarz, taką jak każda inna. Ale jej nie pokażę. Nigdy jej pan nie zobaczy.

– Biedaku – mruknął Teil. Jego rysy stwardniały. – To się musi stać, Sarge. Nie ma dla pana miejsca pośród ludzi. Proszę zostać na miejscu. Schodzę. Ale niech pan uważa! Nawet jedną ręką potrafię nieźle celować... – Chwycił poręcz żelaznych schodów.

– To, co pan właśnie o mnie powiedział – krzyknął Cernik lekko odwracając głowę – jest pańskim własnym poglądem czy moich wspólników?

András GÁSPÁR

Urodził się w roku 1965 w Budapeszcie. Jest studentem IV roku historii i współredaktorem pisma młodzieżowego. Debiutował w roku 1983 (a w „Fantastyce" w numerze 4/87), od roku w wydawnictwie czeka na druk jego pierwsza powieść. Opowiadanie zaczerpnęliśmy z węgierskiego miesięcznika „Galaktika".

L.J.

– Ich – odpowiedział dr Teil przesuwając do przodu prawą nogę. – Ale cieszę się, że mogę to osobiście zaakcentować. Chwileczkę, Sarge. Już idę...

Słońce zabłysło na stalowej lufie, gdy tracąc równowagę runął w trzydziestometrową otchłań. Bo oczywiście nie było tam żelaznych ani żadnych innych schodów. W ogóle nic tam nie było. Mężczyzna, który nazywał siebie Gusem Cernikiem, z drżeniem podszedł do powykręcanego ciała. Dr Teil powinien był się liczyć z jego hipnotycznymi zdolnościami. To o wiele elegantsze od przekupstwa. I pewniejsze. Wystarczy, że człowiek używa tego w granicach przyzwoitości. Oczywiście nie mógł tego powiedzieć na początku, lecz w ostatniej chwili dr Teil także musiał się zorientować. Teraz Cernik obejrzał się za siebie. Krople krwi zmieniły się w olej, dziwnie mieniły się na betonie. Nie może zostawić po sobie śladów. Będzie lepiej, jeśli jego wspólnicy uznają, że najemny morderca wypełnił swą misję. Jak to powiedział doktor? Nie ma takiego chirurga, który w ciągu godziny ponownie uformuje człowieka z wraku. Bo człowiek nie jest do tego zdolny. Zobaczymy więc...

Syknął, opróżnił płuca z powietrza. Zwłoki Teila podniosły się z powykręcanego położenia i skierowały na niego pusty wzrok. Cernik podniósł karabin, aktówkę i dał rozkaz wymarszu. Teil zaledwie lekko się chwiał, gdy prowadził go do jego statku stojącego przy pobliskim złomowisku. Automat strażniczy zidentyfikował przybysza i nie zwrócił uwagi na plamy krwi. Prawa ręka martwego mężczyzny pewnie ujęła kierownicę: UNO-2 szybko otulił się ulatującymi gazami, zniknął w dole.

*

Dzienna strona UNO-3 nie drżała już na ekranach, gdy Cernik opuścił statek. Nie oddalił się jeszcze nawet na tysiąc kilometrów, gdy w plecy uderzył go kosmiczny flesz. Benefis doktora Teila, jego ostatni lot osiągnął punkt kulminacyjny w płomieniach w najwyższych warstwach atmosfery. Cernik runął w dół jak kamień, pod nim szarzał szeroko ciągnący się step planety, dookoła dziko szalała wichura. Z ziemią zetknął się przy blasku błyskawicy, na dnie jakiegoś jaru. Kask pękł, strój ratunkowy otworzył się jak zeschnięta łupina. Cicho jęknął i skulił się. Teraz! Teraz, póki szaleje burza; póki świadkowie jego szaleńczego lotu szukają odpowiednich pojazdów, by przybyć mu na pomoc! Leżąc zaczął rosnąć. Wyciągnął się na sto siedemdziesiąt dziewięć, sto osiemdziesiąt dwa, sto osiemdziesiąt siedem centymetrów, zanim rozkazał tkankom, by się zatrzymały. Wargi zrobiły się cieńsze, po obu stronach w policzkach pojawiły się małe wgłębienia. Oczy wyglądały tak, jakby spryskano je jakimś rozcieńczonym kwasem: na piwnych tęczówkach pojawiły się małe szare plamki, które zaczęły rosnąć i rozjaśniać się. Płowe włosy najpierw całkiem zbielały, a później nabrały niebieskawo-czarnej barwy. Jak pod czarodziejską różdżką z jego prawej ręki zniknęły drobne blizny. Na bladej twarzy zakiełkował dwudniowy zarost. Nieźle, pomyślał Esperance. Nieźle... Zanim stracił przytomność, udało mu się jeszcze wdrapać do połowy śliskiego, gliniastego zbocza.

UNO-3

Był późny wieczór, Sarge Esperance leżał w łóżku z opatrzonymi ranami. W tylnym pomieszczeniu szykowano dlań kolację. Mogło to być gdzieś na skraju jakiegoś większego pola wydobywczego, bo z oddali dobiegały błyski pochodni gazowych.

Przy stole siedział ogolony na łyso stary człowiek, w ciszy porządkował rękopisy.

– Pozbierałeś się już? – zapytał.

– Aha... – Esperance usiadł i potarł czoło. – To taka komuna, prawda? Wiele o nich tam mówią. W istocie...

Stary człowiek uniósł wzrok. Ze swą obwisłą skórą twarzy prezentował się tak, jakby niebiosa pokarały go czterema organami wzroku. Jednakże jego spojrzenie było zaskakująco czyste, czoło miał wysokie, poznaczone małymi piegami. W dłoni trzymał wymiętoszoną, przemoczoną broszurę.

– „Międzynarodowy ruch związkowy". No, nie gap się tak, synku, znaleźliśmy to w twojej kieszeni, kiedy cię kąpaliśmy. Jesteś związkowcem, co? Ziemia zaczęła ci się tam palić pod nogami? – Uśmiechnął się. – Jeśli o to chodzi, to i tu jest dość gorąco. Trafiłeś w najlepsze miejsce. Bóg cię tu sprowadził.

– Ja...

– Czyżbym wyglądał, synku, na cholernego agenta Koncernu? Nie jestem nim. Jestem Marc-Ange Tarasco, inaczej Marteau. Wiedziałeś, że to znaczy „młot"?... Nie? Wszystko jedno. To ja skompilowałem tę pracę, którą nosiłeś na sercu. Źródła mają dwieście lat, ale ryzyko jest moje. – Odłożył pióro. – Czytałeś to przynajmniej?

– Jeszcze nie miałem na to... czasu.

– Przeznacz na to jeden dzień – powiedział stary człowiek, podszedł do łóżka i przysunął sobie niskie krzesełko. – Co myślisz o pracy? To cholernie ciężka i nędzna praca, ale staramy się sprawić, by była lżejsza. Tak się złożyło, że jestem szefem związków zawodowych na UNO-3. W każdym osiedlu znają starego Marca-Ange i dopóki zależy to od niego, nie znajdą cię. Musimy ci, synku, wymyślić jakiś przyzwoity pseudonim. I to jak najszybciej. Jeszcze tylko zjemy kolację. Chodź, jeśli jesteś w stanie...

Esperance zapiął czystą koszulę, zarzucił na ramiona marynarkę i poszedł za starym człowiekiem. Myślał o pracy. Dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo to zapewne nie całkiem to samo, co trzydzieści czy czterdzieści dwie. Ale jednak poradzi sobie. Musi sobie poradzić. Nawet jeśli miałaby się spełnić prognoza doktora Teila i następne Boże Narodzenie zastanie go na Ziemi. Nawet jeśli zdecyduje się, że jeszcze wcześniej wystąpi przeciwko swym wspólnikom. Tak czy siak zwierzchnicy UNO w ciągu roku pożałują wysiłków, jakie obrócili na odizolowanie czarnego serca i zlikwidowanie Sarge Esperance'a. Gdy tam na dole nadejdzie pora wyborów prezydenckich, to związek zawodowy kierowany przez Marca-Ange opanuje sytuację. A Marc-Ange będzie wiedział, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

Tak jak i Sarge Esperance nigdy nie zapomni. Oko za oko, jak powiedział kiedyś jego teść, i każdy mógłby być wdzięczny za poznanie tej prawdy. Zawodowi bandyci są na ogół zręcznymi politykami. I na odwrót.

– Moja żona i młodszy syn! – Marc-Ange z ledwo skrywaną dumą zasiadł przy zastawionym do kolacji stole. – Starszy ma właśnie zmianę. Gdy wróci, pomoże przygotować papiery dla ciebie i przydzieli cię do naszych przy którejś wieży... – Czekał. – Moja córka.

Esperance posłał domownikom zmęczony uśmiech. Gdy rzucił okiem na postawiony przed nim talerz, gdy w blasku strzelających w niebo słupów ognia dostrzegł ciągnące się od horyzontu do horyzontu morze szlamu, gdy pomyślał o Claire i o innych rzeczach, ogarnęła go gorycz. Później jednak, kiedy spojrzał w parę oczu o barwie akwamaryny, które błyszczały naprzeciw, uznał, że nie ma czego żałować.

Przełożył **Wojciech Maziarski**

Kiedy wreszcie dotarła do miasta, musiała być już niemal zupełnie szalona. Zamieszkała w siedzibie policji, która bez większych uszkodzeń wylądowała na jednym z placów i po wielu godzinach prób udało się jej unieść budynek w powietrze. Kilka razy niewiele brakowało, żeby straciła panowanie nad skomplikowanym systemem sterowniczym.

– Działały także generatory pola elektromagnetycznego, służącego do wychwytywania pojazdów, które naruszyły przepisy ruchu – zakończył Nessus. – Włączyła je. Ma nadzieję znaleźć w ten sposób kogoś, kto tak jak ona przeżył Upadek Miast. Jeżeli używa latającego pojazdu, to znaczy, że nie jest barbarzyńcą.

– Więc dlaczego zamyka wszystkich w tym złomowisku?

– Na wszelki wypadek. To znak, że wraca do zdrowych zmysłów.

Louis zmarszczył brwi. Ciało ptaka zjechało w dół na jednym z wraków i Mówiący już nim się zajął.

– Moglibyśmy oświetlić ten budynek – powiedział Louis. – Moglibyśmy zmniejszyć jego wagę o prawie połowę.

– Jak?

– Wystarczy odciąć całą dolną część. Ale najpierw musielibyśmy wydostać stąd Mówiącego. Jak myślisz, uda ci się?

– Spróbuję.

Rozdział XVI

Komnata map

O ważności tego pomieszczenia świadczył już fakt, że znajdowało się na samym szczycie zamku. L dyszał ciężko, zmęczony wspinaczką. Musiał zdrowo wyciągać nogi, by nie zostać z tyłu. Kzin co pra nie biegł, ale szedł dużo szybciej, niż zwykle chodzi człowiek.

Kiedy Louis wszedł na ostatni stopień, Mówiący-do-Zwierząt otwierał właśnie duże, podwójne d znajdujące się u szczytu schodów.

Przez powstały w ten sposób otwór Louis dostrzegł poziomy, szeroki na około osiem cali, atrame wo czarny pas, znajdujący się jakieś trzy stopy nad podłogą. Odruchowo uniósł nieco wzrok, w posz waniu takiego samego pasa, tyle tylko, że jasnobłękitnego, z regularnymi, czarnymi cieniami. Zna go.

Stanął w drzwiach i rozejrzał się dookoła. Miniaturowy Pierścień był niemal wielkości samego po szczenia, które mogło mieć średnicę jakichś stu dwudziestu stóp. Wewnątrz makiety znajdował się p żny, prostokątny ekran, zamocowany na obrotowej osi. W tej chwili był zwrócony tyłem do drzwi

Wzdłuż ściany umieszczono dziesięć obracających się kul. Różniły się między sobą rozmiarami i p kością obrotów, ale wszystkie miały ten sam, błękitno-zielono-biały kolor, charakterystyczny dla pl ziemskiego typu. Pod każdą z kul znajdowała się mapa jej powierzchni w projekcji stożkowej.

– Spędziłem tutaj całą noc – powiedział kzin. – Mam ci do pokazania wiele rzeczy. Chodź tutaj

Louis chciał już przejść na czworakach pod miniaturowym Pierścieniem, ale w ostatniej chwili za mał się, tknięty pewną myślą. Ten człowiek o dumnych rysach, którego wizerunek zdobił salę kietową z pewnością nie zrobiłby tego nawet wtedy, gdyby w tym najświętszym z miejsc był zupe sam. Louis ruszył prosto na Pierścień i przeszedł przez niego, nie czując najmniejszego oporu; by tylko projekcja.

Zajął miejsce u boku kzina.

Prostokątny ekran otoczony był urządzeniami sterującymi. Wszystkie pokrętła były duże, masy wykonane ze srebra; wszystkie przedstawiały podobizny głów zwierząt. Wszelkie ścianki i płaszcz przenikały w siebie bogatymi, ozdobnymi łukami. Przeładnione, pomyślał Louis. Czyżby dekadenc

Ekran działał. Obraz przypominał widok, jaki roztaczał się na Pierścień z okolic czarnych prost tów.

– Używałem już tego wcześniej – powiedział kzin. – O ile sobie dobrze przypominam… – dotkn dnego z pokręteł i obraz ruszył im na spotkanie tak szybko, że ręka Louisa odruchowo sięgnęła p istniejący drążek sterowy. – Chcę pokazać ci krawędź Pierścienia. Rrr… trochę w bok… – Musnął nią inną, rzeźbioną główkę i obraz przesunął się. Mieli przed sobą krawędź olbrzymiej konstrukcj

Gdzieś znajdowały się teleskopy, dzięki którym mogli podziwiać ten widok. Ale gdzie? Chyb czarnych prostokątach?

Spoglądali prostopadle z góry na tysiącmilowej wysokości wzniesienia. Obraz cały czas powię się, nie tracąc nic ze swojej jakości. Zaraz za górami otwierała się czarna otchłań Kosmosu.

W pewnej chwili Louis dostrzegł szereg srebrnych kropek, biegnących wzdłuż niebotycznych s tów. To mu wystarczyło.

– Akcelerator liniowy.

– Zgadza się – potwierdził Mówiący-do-Zwierząt. – Przy braku kabin transferowych to jedyny sób, by przemieszczać się na takie odległości. Z pewnością właśnie na tym opierał się główny syster munikacyjny.

– Ale to jest na wysokości tysiąca mil. Windy?

– Tak. Szyby wzdłuż całej krawędzi. O, na przykład tam. – Tymczasem szereg kropek powiększ do rozmiarów małych pętelek, rozmieszczonych w równych odstępach i z pewnością niewidoczn dołu, bo zasłoniętych wyniosłymi szczytami. Przy jednej z pętelek można było dostrzec cieniutką szybu windowego niknącą w rozciągającej się poniżej szczytu warstwie chmur.

– Zwoje są zdecydowanie gęściejsze w okolicy wind – powiedział kzin. – Najprawdopodobnie trzebne są tylko do startu, lądowania i nadawania kierunku. Odbywa się to pewnie tak, że pojazdov daje się szybkość swobodnego spadania, wyrzuca za krawędź Pierścienia ze względną prędkością 7 na sekundę, po czym wyhamowuje się go w następnej spirali.

– W ten sposób dalsze podróże mogłyby trwać i dziesięć dni. Nie licząc przyspieszania i hamowar

– I co z tego? Na dotarcie do Srebrnookiej, waszej najbardziej odległej od Ziemi planety, potrzebu-
jesz sześćdziesięciu dni. Przebycie całego poznanego Kosmosu zajęłoby ci cztery razy więcej czasu.

– To prawda. A tutaj jest więcej miejsca niż w całym poznanym Kosmosie. Zbudowali to po to, żeby
mieć jak najwięcej przestrzeni. Zauważyłeś jakieś ślady aktywności? Używają jeszcze tego akcelerato-
ra?

– To nie ma znaczenia. Patrz uważnie.

Obraz drgnął, przesunął się raptownie, po czym znowu zaczął się powiększać. Była noc. Ciemne
chmury przesuwały się nad pogrążonym w ciemności lądem, a potem...

– Światła. Światła miasta. – Louis przełknął głośno ślinę. Szczerze mówiąc, wcale się tego nie spo-
dziewał. – Więc jednak nie wszystko zginęło. Będziemy mogli uzyskać pomoc.

– Nie byłbym taki pewien. Nie będzie łatwo ich znaleźć, a poza tym...

– Co to? Na czarny umysł finagla!

Zamek, najwyraźniej i c h zamek, szybujący majestatycznie nad morzem świateł. Okna, neony, pę-
dzące we wszystkie strony kolorowe gwiazdki latających pojazdów... Przedziwne budowle... wspaniałe.

– Nieżas! To taśmy. Stare taśmy. A ja myślałem, że to na żywo. – Przez jedną, upojną chwilę wyda-
wało się, że oto ich poszukiwania zostały uwieńczone powodzeniem. Rozświetlone, kipiące życiem mia-
sta... obrazy, które widzieli, musiały być bardzo stare. Kto wie, czy nie tak stare, jak nie istniejąca już
cywilizacja...

– Ja też tak myślałem ostatniej nocy. Zacząłem się domyślać prawdy dopiero wtedy, kiedy nie udało
mi się nigdzie znaleźć bruzdy wyżłobionej przez „Kłamcę". Ma przecież kilka tysięcy mil długości. Powi-
nienem ją znaleźć, nawet tutaj.

Louis bez słowa poklepał Mówiącego-do Zwierząt po nagim, różowym ramieniu. Nawet gdyby chciał,
nie dałby rady sięgnąć ani o centymetr wyżej.

Kzin nie zwrócił uwagi na tę poufałość.

– Kiedy udało mi się zlokalizować nasz zamek, reszta nie przedstawiała żadnego problemu. Patrz. –
Krajobraz zaczął przesuwać się z ogromną szybkością, uniemożliwiając dostrzeżenie jakichkolwiek
szczegółów. Kiedy obraz uspokoił się, na ekranie widzieli ogromny, czarny ocean.

Powiększenie nieco się zmniejszyło.

– Widzisz? Na naszej drodze znajduje się zatoka jednego ze słonych oceanów. Sam ocean jest wielo-
krotnie większy od największych na Kzinie lub Ziemi. Zatoka jest równie duża, jak największe.

– Znowu opóźnienie! Nie damy rady nad nią przelecieć?

– Może i damy. Ale i tak czeka nas zwłoka jeszcze większa od tej. – Kzin sięgnął do pokrętła.

– Poczekaj. Chciałbym przyjrzeć się dokładniej tym wyspom.

– Po co? Sądzisz, że moglibyśmy się tam zatrzymać w celu uzupełnienia zapasów?

– Nie... Zauważyłeś, że są poukładane w małe archipelagi, oddzielone od siebie oceaniczną głębią?
..., tu... – Palec Louisa zatoczył na ekranie małe kółko. – A teraz spójrz na te mapy.

– Nie rozumiem.

– O, t e wyspy w zatoce i t a mapa za tobą, na ścianie. W projekcji stożkowej kształty kontynentów
są trochę zdeformowane, ale... Widzisz już? Dziesięć planet, dziesięć archipelagów. Z pewnością nie są
w skali jeden do jednego, ale założę się, że ta wyspa jest co najmniej wielkości Australii. Sądząc po ma-
pie, w rzeczywistości ten kontynent nie był większy od Eurazji.

– Co za makabryczny żart. Louis, czy to jest typowe dla ludzkiego poczucia humoru?

– Nie, nie. To sentyment. Wspomnienia. Tyle tylko, że...

– Tak?

– Nie pomyślałem o tym, a to przecież oczywiste. Pierwsza generacja musiała opuścić swoje rodzinne
planety, ale chciała mieć coś, co by im o nich przypominało. Trzy pokolenia później było to już tylko
śmieszne. Tak jest zawsze.

Zapadła cisza. Kiedy Mówiący-do-Zwierząt był już pewien, że Louis skończył, zapytał bez swojej
zwykłej pewności w głosie:

– Czy wam, ludziom, wydaje się, że rozumiecie kzinów?

Louis uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– To dobrze – powiedział kzin i zmienił temat. – Ostatniej nocy przez dłuższy czas obserwowałem
najbliższy port kosmiczny.

Stali w środku miniaturowego Pierścienia, zaglądając przez prostokątne okno do jego przeszłości.
A przeszłość ta była doprawdy wspaniała. Mówiący-do-Zwierząt powiększył na ekranie obraz portu
kosmicznego, czegoś w rodzaju listwy wystającej z zewnętrznej strony konstrukcji. Łagodnie zaokrąglo-

– To wcale nie jest niemożliwe, Louis. Jej cywilizacja znała środek dużo skuteczniejszy od waszego „utrwalacza". Dzisiaj nawet najmniejsza jego ilość jest warta dokładnie tyle, ile zażąda za niego właściciel. Jedna pełna dawka oznacza pięćdziesiąt lat młodości.

– Czy może wiesz, ile dawek wzięła?

– Nie, Louis. Ale wiem, że doszła tutaj na piechotę.

Dotarli do klatki schodowej, prowadzącej w dół, do komory więziennej.

– Doszła tutaj, ale skąd?

– Z krawędzi.

– D w i e ś c i e t y s i ę c y m i l?

– Prawie.

– Musisz mi o tym opowiedzieć. Co się z nimi stało, kiedy przedostali się na tę stronę ściany?

– Zapytam ją. Nie powiedziała mi jeszcze wszystkiego.

I lalecznik, krok po kroku, zaczął odtwarzać całą historię. Wyglądała ona mniej więcej tak:

*

Pierwsza grupa barbarzyńców, na jaką natrafili, uznała ich za bogów. Miało tak dziać się zawsze, z jednym generalnym wyjątkiem.

Boskość pozwoliła im na rozwiązanie jednego problemu – nieszczęśnicy, którym źle wycelowany promień osmotyczny uszkodził mózgi, mogli pozostać pod opieką mieszkańców poszczególnych wiosek. Jako osiadli bogowie cieszyli się szacunkiem i uwielbieniem, a ponieważ byli niespełna rozumu, nie mogli wykorzystać swej boskości do żadnych niegodziwych celów.

Pozostała przy życiu i zdrowych zmysłach część załogi „Pioniera" podzieliła się na dwie grupy: siedem osób ruszyło w kierunku obrotu Pierścienia, a reszta, w tym Prill, w przeciwną stronę. Każda grupa miała zamiar wędrować wzdłuż krawędzi, szukając śladów cywilizacji. Każda przysięgła przysłać pomoc, jeżeli taką znajdzie.

Wszyscy brali ich za bogów. Wszyscy, z wyjątkiem innych bogów. Upadek Miast pozostawił po sobie trochę niedobitków; część z nich była szalona, zaś wszyscy zażywali przedłużający życie środek, o ile mogli go znaleźć. Wszyscy szukali enklaw cywilizacji. Nikt nie pomyślał o tym, żeby założyć własną.

W miarę upływu czasu przyłączało się do nich coraz więcej bogów. Tworzyli już cały panteon.

We wszystkich napotkanych po drodze miastach znajdowali roztrzaskane resztki napowietrznych wież. Wieże te zbudowano w pierwszej fazie zasiedlania Pierścienia, tysiące lat przed powstaniem eliksiru młodości. Pokolenia, które już korzystały z jego dobrodziejstw, stały się bardziej ostrożne. Ci, których stać było na to, żeby z niego korzystać, trzymali się z dala od latających budowli, chyba że zostali wybrani na jakieś oficjalne stanowiska. Wtedy instalowali niezliczone urządzenia zabezpieczające lub niezależne generatory mocy.

Część latających budynków unosiła się jeszcze w powietrzu, ale większość runęła na kipiące życiem miasta w tej samej chwili, kiedy urwały się dostawy energii z termoelektrycznych ogniw czarnych prostokątów.

Pewnego razu wędrowny panteon natrafił na zamieszkane jedynie na obrzeżach miasto, w którym tliły się jeszcze iskierki dawnej cywilizacji. Tutaj nie mogli rozegrać gambitu boga. Drogą wymiany za nieprawdopodobną ilość eliksiru uzyskali duży, sprawny pojazd.

Po pewnym czasie pojazd odmówił posłuszeństwa. Nie mieli już sił, a może i nie widzieli sensu w kontynuowaniu podróży. Pielgrzymka bogów zakończyła się w jednym ze zrujnowanych, opuszczonych miast.

Ale Prill miała mapę. Jej rodzinne miasto leżało już niedaleko stamtąd. Przekonała jednego z mężczyzn, żeby jej towarzyszył i razem ruszyli w drogę.

*

Wszędzie występowali jako bogowie. Po pewnym czasie Prill znudziło się towarzystwo mężczyzny i dalej szła już sama. Gdzie nie wystarczyłą jej boskość, sprzedawała niewielkie ilości eliksiru. Gdzie i to okazywało się za mało...

– Jest jeszcze jeden sposób, w jaki podporządkowywała sobie ludzi. Próbowała mi to wyjaśnić, ale nie sądzę, żebym zrozumiał.

– Ja rozumiem – uspokoił go Louis. – To coś w rodzaju taspu.

– Nić z czarnych prostokątów! – krzyknął.
Do sypialni wszedł jakiś cień.
Louis zamarł w bezruchu. Wejście było zupełnie czarne, ale w tej czerni dostrzegł płynne poruszenia i delikatne kształty idącej w jego stronę nagiej kobiety.
Halucynacja? Duch Teeli Brown? Dotarła do niego, zanim zdążył się na coś zdecydować. Usiadła przy nim na łóżku i wyciągniętą dłonią dotknęła jego twarzy, po czym pogłaskała go po policzku.
Była prawie łysa. Gęste, falujące włosy wyrastały jedynie z wąziutkiego paska w pobliżu szczytu czaszki. W ciemności, rysy jej twarzy roztapiały się w nicość, ale jej ciało było cudowne. Widział je po raz pierwszy. Szczupła, umięśniona jak profesjonalna tancerka, o wysokich, ciężkich piersiach.
Gdyby jej twarz była równie wspaniała, jak jej figura...
– Odejdź – powiedział łagodnie Louis. Ujął ją za przeguby, przerywając to, co jej dłonie robiły z jego twarzą. Przypominało to doskonale kojący, odprężający masaż. Wstał, zmuszając ją do tego samego i ujął ją za ramiona. Co by powiedziała, gdyby teraz ją odwrócił i klepnął w zadek?
Pogłaskała go po karku samymi koniuszkami palców. Teraz robiła to już obydwiema rękami. Dotknęła jakiegoś miejsca na jego piersi, potem jeszcze tutaj... i tutaj... i Louisa Wu ogarnęła szalona, niepohamowana żądza. Zacisnął dłonie niczym szpony na jej ramionach.
Stała bez ruchu, czekając, aż zdejmie bluzę i spodnie. Kiedy był już nagi, dotknęła go jeszcze tutaj... i tutaj... i za każdym razem było to tak, jakby dotykała ośrodka rozkoszy w jego mózgu.
Drżał jak w gorączce. Gdyby teraz go odtrąciła, użyłby siły. Musiał ją mieć...
Jednak jakaś mniej popędliwa część jego świadomości zdawała sobie cały czas sprawę, że mogłaby go ostudzić równie szybko, jak go pobudziła. Czuł się jak młody satyr, chociaż jednocześnie miał niejasne wrażenie, że jest również bezwolną marionetką.
W tej chwili jednak mało go to obchodziło.
A twarz Prill ciągle nie miała żadnego wyrazu.

*

Doprowadziła go na skraj orgazmu, po czym trzymała tam, trzymała... aż kiedy wreszcie nadeszła ta chwila, była jak uderzenie trwającej w nieskończoność, drżącej w ekstazie błyskawicy.
Kiedy wszystko się skończyło, nawet nie zauważył, że odeszła. Musiała doskonale zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo go wyeksploatowała. Zasnął, zanim zdążyła dojść do drzwi.
Obudził się z myślą: „Dlaczego to zrobiła?"
„Nie bądź takim analitykiem", odpowiedział sam sobie. „Jest samotna. Musiała być samotna od bardzo długiego czasu. Dawno nie miała okazji wypróbować swych umiejętności..."
Umiejętności. Musiała znać anatomię lepiej od niejednego profesora. Doktorat z prostytucji? To wcale nie było takie śmieszne. Louis Wu potrafił rozpoznać specjalistę niezależnie od dziedziny, jaką reprezentował. Ta kobieta była specjalistą najwyższej klasy.
Należy dotknąć w odpowiedniej kolejności następujących zakończeń nerwów, żeby uzyskać następującą reakcję... Taka wiedza może zrobić z człowieka marionetkę.
... skaczącą na sznureczkach szczęścia Teeli Brown...
I wtedy już wiedział. Zbliżył się tak bardzo do odpowiedzi, że kiedy wreszcie ją zobaczył, nawet się specjalnie nie zdziwił.

*

Nessus i Halroprillalar pojawili się w drzwiach chłodni, ciągnąc za sobą ubrane w jakieś niezwykłe szaty ciało nielotnego ptaka, przewyższającego rozmiarami dorosłego człowieka. Ubranie było pomysłem Nessusa, który dzięki temu nie musiał dotykać bezpośrednio swymi ustami martwej tuszy.
Louis zastąpił go, stając u boku Prill. Podobnie jak ona, musiał chwycić ptaka oburącz. Odpowiedział na jej powitalne skinięcie głową, po czym zapytał:
– Ile ona ma lat?
– Nie wiem – odparł bez śladu zdziwienia lalecznik.
– Przyszła do mnie w nocy. – To za mało, dla Nessusa nic to nie znaczyło. – Wiesz chyba, że to, co robimy w celu prokreacji robimy też czasem tylko dla przyjemności?
– Wiem.
– No więc, właśnie to robiliśmy. Jest w tym dobra. Jest w tym tak dobra, że musi mieć za sobą co najmniej tysiąc lat praktyki.

ny, rozświetlony tysiącem okien cylinder właśnie lądował miękko w elektromagnetycznej kołysce. Pola jarzyły się pastelowymi barwami, prawdopodobnie po to, by ułatwić operatorom ich ręczne ustawianie.
– Ta taśma idzie na okrągło – powiedział kzin. – Oglądałem ją kilka razy. Pasażerowie wchodzą po prostu w ścianę Pierścienia, tak, jakby zachodziło tam coś w rodzaju osmozy.
– Aha – mruknął bez wielkiego entuzjazmu Louis. Dopadło go nagle wielkie przygnębienie. Port znajdował się daleko przed nimi, patrząc w kierunku obrotu Pierścienia. Tak daleko, że odległość, jaką do tej pory przebyli wydawała się wręcz śmieszna.
– Obserwowałem też start. Wcale nie używają do tego akceleratora, tylko po prostu wypychają statek w Kosmos. Dokładnie tak, jak się domyślił pożeracz liści. Pamiętasz tę zamkniętą klapę? Louis, słyszysz mnie?
Louis ocknął się.
– Przepraszam. Myślę po prostu o tym, że nasza podróż wydłuży się o co najmniej siedemset tysięcy mil.
– Może uda nam się skorzystać z tego akceleratora na szczycie bocznej ściany.
– Wątpię. Na pewno już od dawna nie działa. Cywilizacja rozprzestrzenia się tylko wtedy, jeżeli dysponuje jakimś środkiem transportu, który może jej w tym pomóc. Zresztą, nawet gdyby działał, albo gdyby udało nam się go naprawić, to i tak nie ma w pobliżu żadnego szybu windowego.
– To prawda – przyznał kzin. – Szukałem, ale nic takiego nie znalazłem.
Tymczasem na ekranie małe holowniki podciągnęły do śluz wyjściowych statku długie, przezroczyste tunele, które wkrótce zapełniły się wysiadającymi pasażerami.
– Może więc zmienimy kierunek lotu?
– Nie możemy. Port ciągle pozostaje naszą największą szansą.
– Naprawdę?
– Nieżas, naprawdę! Pierścień jest co prawda ogromny, ale to tylko kolonia. Na wszystkich koloniach ośrodkami cywilizacji są właśnie porty kosmiczne.
– Ponieważ tam właśnie przybywają statki z macierzystej planety. Tymczasem budowniczowie Pierścienia albo musieli swoją zniszczyć, albo ją opuścili.
– Ale statki mogą przybywać – upierał się Louis. – Choćby z jakichś odległych, zapomnianych planet. Albo z przeszłości. Przy tak niewielkich szybkościach z całą pewnością muszą występować różnice w subiektywnym upływie czasu.
– Masz nadzieję znaleźć tam kosmonautów z przeszłości uczących swych potomków tego, co ci zdążyli już zapomnieć – mruknął kzin. – I możesz mieć rację. Tyle tylko, że jestem już bardzo zmęczony, a do portu jest bardzo daleko. Co jeszcze chcesz zobaczyć?
– Jaka odległość dzieli nas teraz od „Kłamcy"? – zapytał niespodziewanie Louis.
– Już ci powiedziałem, że nie mogłem znaleźć miejsca naszego upadku. Musiałbym zgadywać, tak jak i ty. Wiem natomiast, ile jeszcze musimy przebyć: od zamku do krawędzi jest około dwustu tysięcy mil.
– To kawał drogi... A góra? Musiałeś przecież znaleźć górę.
– Nie.
– Tę dużą, Pięść Boga. Rozbiliśmy się właściwie na jej zboczu.
– Nie znalazłem jej.
– To mi się nie podoba. Mówiący, czy mogliśmy jakimś cudem zejść z wyznaczonego kursu? Powinieneś ją znaleźć idąc od zamku w stronę przeciwległej krawędzi.
– Ale nie znalazłem – zakończył dyskusję kzin. – Chcesz jeszcze coś zobaczyć? Na niektórych taśmach są puste miejsca. Albo uległy zużyciu, albo są tam jakieś tajne obszary.
– Żeby to sprawdzić, musielibyśmy się tam dostać.
Nagle Mówiący-do-Zwierząt rozpostarł uszy niczym dwie pomarańczowe parasolki, odwrócił się w stronę drzwi, przypadł do podłogi i skoczył.
Louis zamrugał ze zdumieniem. Co się stało? A potem i on usłyszał...
Biorąc pod uwagę jej wiek, znajdująca się w zamku maszyneria działała i tak zadziwiająco cicho. Zza podwójnych drzwi dochodził przytłumiony pomruk.
Louis wyciągnął swój laser i ostrożnie wyszedł z komnaty map.
Znalazł kzina u szczytu schodów. Odłożył broń i razem z Mówiącym-do-Zwierząt przyglądał się wznoszącej się ku nim Teeli.
– Jadą tylko do góry – poinformowała ich dziewczyna. – Na dół nie chcą. Między piątym a szóstym piętrem w ogóle nie działają.
Louis zaczekał chwilę, po czym zadał oczywiste pytanie:
– Jak je uruchomiłaś?

– Trzeba złapać słupek balustrady i pchnąć do przodu. Działają tylko wtedy, kiedy tego chcesz. Tak est dużo bezpieczniej. Odkryłam to zupełnie przypadkowo.

– Ja myślę. Rano przeszedłem na piechotę dziesięć pięter. A ty ile?

– Żadnego. Szłam właśnie na śniadanie, kiedy potknęłam się na pierwszym stopniu, złapałam za słuek i...

– Wystarczy. Wszystko się zgadza.

Teela zrobiła obrażoną minę.

– To nie moja wina, że ty...

– Przepraszam. I co, jesteś już po śniadaniu?

– Nie. Obserwowałam ludzi. Czy wiecie, że pod tym budynkiem jest coś w rodzaju rynku albo główego placu?

Uszy kzina stanęły na baczność.

– Naprawdę? I jest tam ktoś?

– Tak. Od rana ściągają ze wszystkich stron. Jest ich już tam pewnie z kilkuset. – Jej twarz rozjaśnił romienny uśmiech. – I wszyscy śpiewają.

*

We wszystkich korytarzach zamku znajdowały się obszerne nisze, czy raczej alkowy, wyłożone miękmi dywanami, wyposażone w wygodne kanapy i stoły, oferujące miejsce do spożycia posiłku każdeu, kto by tylko miał na to ochotę. Jedna z takich alków na najniższym piętrze zamku miała wypukłe kno, zajmujące nie tylko ścianę, ale i część podłogi.

Louis zadyszał się trochę po drugim w ciągu kilku godzin, dziesięciopiętrowym spacerze. Zafascynoał go stół, jego blat był rzeźbiony w kształty mające wyobrażać talerze z zupą, miseczki z sałatkami, aczynia do napojów. Dziesiątki, czy może nawet setki lat intensywnego użytkowania pozostawiły na vardej, białej powierzchni dość wyraźne ślady.

– Widocznie nie używali naczyń – myślał na głos Louis. – Kładli potrawy w te zagłębienia, a potem yli cały stół. – Wydawało się to niezbyt higieniczne, ale... – Nie zabrali ze sobą much, moskitów, ani lków. Czemu mieliby zabierać bakterie?

– Do trawienia – odpowiedział sam sobie. – Są przecież niezbędne do trawienia. Wystarczyłoby, żeby nutowała jedna, jedyna, a wtedy... – Wtedy żaden organizm nie potrafiłby się obronić. Czy właśnie w n sposób zginęła cywilizacja Pierścienia? Każda cywilizacja potrzebuje dla swego przetrwania pewnej inimalnej ilości żywych osobników.

Teela i Mówiący nie zwracali na niego żadnej uwagi. Klęczeli w zagięciu okna i patrzyli w dół. Louis łączył do nich.

– Ciągle tam są – powiedziała Teela. I rzeczywiście, byli. Louis ocenił, że patrzy na niego jakieś tysiąc ób. Już nie śpiewali.

– Przecież nie mogą wiedzieć, że tu jesteśmy – powiedział.

– Może czczą sam budynek – zasugerował Mówiący-do-Zwierząt.

– Jeśli nawet, to nie mogą tego robić codziennie. Jesteśmy zbyt daleko od skraju miasta. Nie zdążyli dotrzeć na pola.

– Więc może trafiliśmy tutaj akurat na jakieś ich święto.

– Albo coś zdarzyło się w nocy – odezwała się Teela. – Coś niezwykłego. Na przykład nasze przyby, jeżeli ktoś zdołał to zauważyć. Albo t o – wskazała palcem.

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział kzin. – Jak długo to spada?

– Co najmniej do rana. Zupełnie jak deszcz albo jakiś nowy rodzaj śniegu. To nić łącząca czarne prokąty. Ale dlaczego opada właśnie tutaj?

Louis pomyślał o sześciu milionach mil, dzielących od siebie czarne prostokąty... o czarnej nici dokłaie takiej długości, zerwanej przez „Kłamcę", spadającej wraz z nim ku powierzchni Pierścienia... Nic wnego, że w końcu trafili na nią.

Nie był w zbyt gadatliwym nastroju.

– Przypadek – mruknął tylko.

– Tak czy tak, zaczęła pewnie spadać tej nocy i jest jej coraz więcej. Co do zamku, to tubylcy z pewścią już wcześniej uważali go za święte miejsce chociażby dlatego, że wciąż lata.

– Pomyślcie – powiedział niespiesznie kzin. – Gdyby akurat dzisiaj pojawili się mityczni Inżyniero, przyjęto by to jako logiczne następstwo niezwykłych wydarzeń. Louis, czy spróbujemy rozegrać mbit boga?

Louis chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Z zaciśniętymi zębami walczył o to, by zachować niezmieniowyraz twarzy. Może nawet by mu się udało, gdyby nie to, że kzin mówił dalej do Teeli:

– Możemy mieć coś lepszego. Jestem pewien, że potrafię skłonić Halrloprillalar, żeby pokazała m maszynownię tej budowli. Może moglibyśmy wykorzystać go jako środek lokomocji.

– Spróbuj – skinął głową Louis.

– A ty?

– Potrzebuję czasu.

*

Wnętrze budynku niemal w całości było wypełnione maszynerią. Część z niej utrzymywała budowl w powietrzu, część napędzała urządzenia wentylacyjne, chłodnie i kondensatory wody. Osobny blo sterował generatorami pola elektromagnetycznego, które wciągnęło ich w pułapkę. Nessus pracował Louis i Prill stali tuż przy sobie, udając niezdarnie, że nie zwracają na siebie żadnej uwagi.

Mówiący znajdował się ciągle w więzieniu. Prill stanowczo odmówiła wypuszczenia go na wolność.

– Boi się ciebie – powiedział Nessus. – Oczywiście, mógłbym to przeforsować, każąc jej unieść w gór skuter, w którym byś siedział i podprowadzić go do platformy.

– A ona pewnie w połowie drogi wyłączyłaby pole. Nie, dziękuję.

Nie zgłaszała natomiast żadnego sprzeciwu co do Louisa.

Przyglądał jej się, udając, że jej w ogóle nie dostrzega. Miała wąskie, niemal bezwargie usta, mał prosty nos i ani śladu brwi.

Nic dziwnego, że jej twarz nigdy nie miała żadnego określonego wyrazu. Przypominała niewykończoną twarz bezdusznej lalki.

*

Po dwóch godzinach nieprzerwanej pracy Nessus uniósł wreszcie głowy.

– Nie dam rady przestawić zespołu napędowego tak, żeby działał w poziomie, ale udało mi się zlikwidować zabezpieczenie, utrzymujące nas stale w jednym miejscu. Budynek jest teraz na łasce wiatrów.

Louis uśmiechnął się.

– Albo liny holowniczej. Przywiążemy linę do twojego skutera i będziesz ciągnął nas za sobą.

– Nie ma takiej potrzeby. Skuter jest wyposażony w silnik działający bezodrzutowo, więc może zostać wewnątrz.

– Wszystko już obmyśliłeś, co? Ale to jest ogromna moc. Gdyby udało mu się uwolnić...

– Taak... – wycedził lalecznik i powiedział coś do Prill w świętym Języku Inżynierów, po czym zwrócił się do Louisa. – Mają tutaj zapas ultratwardego plastyku. Zabezpieczymy nim skuter, zostawiając na zewnątrz tylko stery i tablicę przyrządów.

– Czy to aby nie nazbyt drastyczny środek?

– Louis, gdyby skuter się wyrwał, mogłaby mi się stać krzywda!

– Hmm... Być może. Będziesz mógł w razie czego wylądować?

– Tak.

– Więc dobrze. Bierzmy się do roboty.

*

Louis odpoczywał nie śpiąc. Leżał na wznak w olbrzymim łożu, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w zajmujące cały sufit i znaczną część ściany wypukłe okno.

Zza krawędzi czarnego prostokąta wydobywał się wyraźny blask. Świt był już niedaleko, ale Łuk Nieba ciągle świecił łagodnym błękitem.

– Chyba zwariowałem – powiedział Louis Wu.

Ale czy mieli jakiś wybór?

Sypialnia najprawdopodobniej wchodziła w skład apartamentu gubernatora. Teraz znajdowała się tutaj sterownia. Wraz z Nessusem umieścili w jednej z szaf skuter lalecznika, po czym oblali go szybko stygnącym plastykiem. Szafa była akurat odpowiednich rozmiarów.

Łóżko pachniało starością. I skrzypiało.

– Pięść Boga – powiedział w ciemności Louis. – Widziałem ją. Tysiąc mil wysokości. To bez sensu, żeby budować taką górę, kiedy... – Nie dokończył.

Nagle usiadł, jakby ukłuła go jakaś wiekowa sprężyna.

Odbiorniki strumieni energetycznych wybuchały nie wiadomo dlaczego długo po rozniesieniu go po całej konstrukcji przez promy utrzymujące komunikację między portami.

– Odbiorniki strumieni energetycznych?

– Energia była wytwarzana na czarnych prostokątach przez ogniwa termoelektryczne, a następnie kierowana skupionym strumieniem na Pierścień. Zdaje się, że to też było jedno z tych niezawodnych i absolutnie bezpiecznych urządzeń. Emisja strumienia została z pewnością automatycznie przerwana wtedy, gdy uległy zniszczeniu odbiorniki.

– Przecież można było wyprodukować inny nadprzewodnik – odezwał się kzin. – Znamy przecież dwie podstawowe struktury molekularne, z których każda ma rozmaite odmiany o zmieniających się w zależności od temperatury właściwościach.

– Tych struktur jest co najmniej cztery – poprawił go Nessus. – Masz rację, Pierścień powinien przetrwać Upadek Miast. Młodsze, bardziej prężne społeczeństwo z pewnością by przetrwało. Zastanów się jednak nad sytuacją, wobec której się znaleźli.

Znaczna część rządzących zginęła w gruzach spadających na ziemię budynków.

Bez dopływu energii nie mogło być mowy o przeprowadzeniu eksperymentów, mających doprowadzić do powstania nowego nadprzewodnika. Zgromadzone zawczasu zapasy energii zostały albo skonfiskowane przez tych o największych wpływach, albo służyły małym enklawom cywilizacji, których mieszkańcy żywili złudną nadzieją, że tymczasem ktoś inny pracuje nad zażegnaniem niebezpieczeństwa. Został odcięty dostęp do statków kosmicznych, bo przecież nie działała żadna *cziltang brone*. Ci, którzy mogliby coś zrobić, nie byli w stanie do siebie dotrzeć; komputer sterujący elektromagnetycznym akceleratorem był tylko stertą złomu, a do samego akceleratora nie dopływał nawet jeden erg energii.

– Z powodu braku gwoździa upadło królestwo – mruknął Louis.

– Znam tę historię, ale to niezupełnie to samo – powiedział lalecznik. – Tutaj mimo wszystko można było coś zrobić. Zgromadzona energia wystarczyłaby w zupełności do skroplenia helu. Naprawa odbiorników stumieni energetycznych nie miałaby żadnego sensu, ale można było uruchomić *cziltang brone*, używając jako nadprzewodnika schłodzonego w płynnym helu metalu. Dzięki temu otworzyłby się dostęp do portów, statki poleciałyby do czarnych prostokątów, żeby wznowić dostawy energii, dzięki której skroplono by jeszcze więcej helu i sporządzono kolejne nadprzewodniki, które wmontowano by do kolejnych odbiorników...

Ale żeby zacząć, potrzebna była zmagazynowana energia, a tę zużyto do oświetlania ulic, utrzymywania w powietrzu nielicznych latających budowli i do przygotowywania żywności. I w ten sposób zginęła cywilizacja Pierścienia.

– A przy okazji i my – dodał Louis.

– Właśnie. Mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na Halrloprillalar. Oszczędziła nam zupełnie zbędnej podróży. Nie ma sensu lecieć dalej do krawędzi.

Louis poczuł pulsowanie krwi w skroniach. Zanosiło się na to, że będzie go bolała głowa.

– Szczęście... – powtórzył za lalecznikiem Mówiący-do-Zwierząt. – Rzeczywiście. Jeżeli mieliśmy szczęście, to dlaczego nie jest mi wesoło? Utraciliśmy nasz cel, ostatnią, nikłą szansę ratunku. Nasze pojazdy nie nadają się do użytku, a jeden z członków wyprawy zaginął.

– Nie żyje – powiedział głucho Louis. Kiedy spojrzeli na niego ze zdumieniem, wskazał im skuter Teeli. – Teraz możemy już liczyć tylko na nasze własne szczęście – dodał.

– Tak. Jej szczęście działało tylko sporadycznie. Gdyby było inaczej, nigdy nie trafiłaby na pokład „Kłamcy". Nigdy byśmy się nie rozbili na Pierścieniu. – Lalecznik zamilkł, żeby po chwili dodać – Współczuję ci, Louis.

– Będzie nam jej brakowało – zadudnił kzin.

Louis skinął głową. Powinien właściwie czuć coś więcej, ale to, co nastąpiło w Oku, zmieniło w znaczny sposób jego stosunek do Teeli. Od tamtej chwili wydawała się mniej ludzka niż Nessus czy Mówiący-do-Zwierząt. Była mitem. Oni byli prawdziwi.

– Musimy znaleźć nowy cel – powiedział Mówiący. – Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wypchnąć „Kłamcę" w przestrzeń kosmiczną. Przyznam, że nie mam żadnych pomysłów.

– A ja mam – oznajmił Louis.

– Już? – zapytał ze zdumieniem kzin.

– Muszę to jeszcze przemyśleć. Nie jestem pewien, czy to w ogóle ma jakikolwiek sens, ani czy może się udać. Tak czy tak, będziemy potrzebowali jakiegoś pojazdu. Zastanówmy się...

– Może sanie. Duże sanie, na przykład z całej ściany jakiegoś budynku. Może skuter lalecznika dałby radę je pociągnąć.

– Louis uważa, że w kontaktach z tubylcami powinniśmy odgrywać rolę budowniczych Pierścienia. Ty i Louis bylibyście akolitami, a Nessus schwytanym demonem, ale damy sobie jakoś radę bez niego. Ja byłbym raczej bogiem, niż budowniczym, groźnym bogiem wojny, który...

Teela wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Louis nie wytrzymał i poszedł w jej ślady.

Wysoki na osiem stóp, niezwykle szeroki w barkach i biodrach, był kzin stworzeniem zbyt wielkim i zbyt zębatym na to, by się go nie bać. Może najmniej imponującym elementem jego postury był szczu rzy, nagi ogon. Teraz cała jego skóra była takiego samego koloru – dziecinnie różowa z mlecznymi, tłu stymi gąsienicami gojących się blizn. Uszy na jego pozbawionej sierści głowie sterczały niczym dwie pa rasolki. Zachowane pomarańczowe futro na oczach kojarzyło się z maską złodziejaszka, a poniżej ple ców – z noszoną dla wygody wielką, puchatą poduszką.

Fakt, że śmianie się z kzina było równie niebezpieczne, jak chodzenie po linie, czynił całą sytuację je szcze zabawniejszą. Louis, zgięty w pół, trzymając się za brzuch i śmiejąc się bezgłośnie, niezdolny d zaczerpnięcia tchu w piersi, cofał się po omacku, mając nadzieję trafić na krzesło.

Nieludzko wielka dłoń zacisnęła się na jego ramieniu i uniosła go w górę. Załzawione ze śmiechu ocz Louisa po raz pierwszy w jego życiu znalazły się na równym poziomie z oczami kzina.

– Doprawdy, Louis, musisz wyjaśnić to zachowanie – usłyszał.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli udało mu się na moment opanować.

– G... g... gro... groźny bóg woj... wojny... – wykrztusił, po czym znowu ryknął śmiechem. Teela wy dawała słabe, piskliwe odgłosy.

Kzin postawił go na podłodze i czekał spokojnie, aż obydwoje dojdą do siebie.

– Jesteś teraz zbyt mało dostojny, by grać rolę boga – wyjaśnił mu Louis kilka minut później. – Be futra nie da rady.

– Może nabraliby respektu, gdybym rozdarł kilku na strzępy?

– Wielbiliby cię wtedy z daleka i z ukrycia. Nic by to nam nie dało. Nie, musimy poczekać, aż wyro śnie ci nowe futro. A nawet wtedy przydałby nam się tasp Nessusa.

– Lalecznik jest nieosiągalny.

– Ale...

– Powiedziałem, że jest nieosiągalny. W jaki sposób nawiążemy kontakt z tubylcami?

– Będziesz musiał tu zostać. Przez ten czas rozejrzyj się jeszcze po komnacie map. Może coś znaj dziesz. Teela i ja... – Louis spojrzał na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. – Teela, przecie ty nie byłaś w komnacie map!

– A co to jest?

– W takim razie zostaniesz z Mówiącym. Polecę sam. Będziecie słyszeć mnie przez komunikatory; w razie czego przyjdziecie mi z odsieczą. Mówiący, oddaj mi swój laser.

Kzin wymamrotał coś pod nosem, ale nie sprzeciwił się życzeniu Louisa. Miał przecież jeszcze „niez nacznie udoskonalony" dezintegrator Slavera.

*

Na wysokości tysiąca stóp nad ich głowami usłyszał, jak nabożna cisza ustępuje miejsca zdumionem pomrukowi. Zobaczyli go – błyszczący punkt, który oderwał się od jednego z okien. Zaczął spadać k nim.

Pomruk nie umilkł, tylko nieco przycichł. Cały czas mógł go dokładnie słyszeć.

A potem zaczęli śpiewać.

– Strasznie fałszują – uprzedziła go wcześniej Teela. – Zawodzą każdy sobie.

Nic dziwnego, że po takim przygotowaniu trochę się zdziwił. Śpiewali dużo lepiej, niż się spodziewał. Śpiewali w skali dwunastodźwiękowej. „Oktawowa" skala używana na większości zamieszkanyc przez ludzi światów również, w gruncie rzeczy, była skalą dwunastodźwiękową, ale nikt jej jako takie nie odbierał. Nic dziwnego, że Teeli wydawało się, że fałszują.

Z tym, że zawodzili, trzeba było się zgodzić. Była to muzyka kościelna – powolna, dostojna, o powta rzających się motywach, pozbawiona harmonii. Ale nie pozbawiona świetności.

Plac był olbrzymi. Tysiąc osób wydawało się po trzech tygodniach samotności nieprawdopodobnym tłumem, ale mogło ich się tutaj pomieścić nawet dziesięć razy więcej. Dzięki głośnikom śpiewaliby wszy scy razem, ale tu nie było głośników. Samotny mężczyzna wymachiwał ramionami ze stojącego na środ ku podwyższenia. Ale nikt nie patrzył na niego – każdy patrzył na Louisa Wu.

Biorąc to wszystko pod uwagę, muzyka była wręcz cudowna.

Teela nie mogła jej docenić. Muzyka, którą znała pochodziła z nagrań i odbiorników stereowizji była przetworzona przez cały system mikrofonów, mikserów, urządzeń rejestrujących oraz wzmacnia

czy. Można z nią było zrobić wszystko – zmienić głos, obciąć fałszywie brzmiące dźwięki, dodać inne, których akurat zabrakło. Teela nigdy w życiu nie słyszała muzyki na żywo.

W przeciwieństwie do Louisa Wu. Zwolnił, by dać czas niezwykłym tonom na dotarcie do najodleglejszych zakamarków jego duszy. Pamiętał doskonale wielkie, publiczne śpiewy na urwiskach wznoszących się nad Roztrzaskanym Miastem, w których brały udział wielekroć liczniejsze tłumy i które brzmiały zupełnie inaczej, między innymi dlatego, że on sam także śpiewał. Teraz wchłaniał w siebie obce dźwięki, znajdując powoli upodobanie w nierównym rytmie, w ciągłych powtórzeniach, w powolnym dostojeństwie hymnu.

Niemal nie przyłączył się do chóru. „To niezbyt dobry pomysł", mruknął pod nosem i zszedł do lądowania.

Podwyższenie w centralnej części placu pełniło niegdyś rolę cokołu. Louis dostrzegł z góry dwa długie na cztery stopy ślady, jedyną pozostałość po stojącym tu niegdyś posągu. Teraz na podwyższeniu znajdowało się coś w rodzaju trójkątnego ołtarza; wymachujący rękami człowiek stał tyłem do skleconej w niezbyt wyrafinowany sposób konstrukcji.

Coś różowego błysnęło nad burą szatą... Widocznie miał jakieś nakrycie głowy, być może z różowego jedwabiu.

Postanowił wylądować na samym cokole. Właśnie dotykał jego powierzchni, kiedy dyrygent zwrócił się twarzą w jego stronę. W rezultacie Louis niemal rozbił skuter.

Owa różowość, która mignęła mu przed chwilą, okazała się nagą, łysą czaszką. Jako jedyny w zarośniętym, kudłatym tłumie mężczyzna na cokole miał głowę pozbawioną włosów.

Wyprostowawszy przed siebie ręce mężczyzna trzymał ostatni dźwięk hymnu... trzymał go kilka sekund... po czym dał znak i śpiew ucichł, dolatując jeszcze przez moment spóźnionym pogłosem z dalszych części placu. W niezmąconej niczym ciszy mężczyzna – kapłan? – odwrócił się do Louisa Wu.

Był równie wysoki jak Louis, a więc bardzo wysoki, jak na tubylca. Skóra na jego twarzy i głowie miała jasną, niemal białą barwę, jak skóra albinosa z Naszego Dzieła. Musiał golić się dosyć dawno temu niezbyt ostrą brzytwą, bowiem świeży zarost kładł na ową bladość szary, wyraźny cień.

W jego głosie, kiedy przemówił, zabrzmiała nuta wyrzutu.

– A więc wreszcie przybyliście – przetłumaczył autopilot „Kłamcy".

– Nie wiedzieliśmy, że nas oczekujecie – odparł zgodnie z prawdą Louis. Nie czuł się na tyle pewnie, by samodzielnie próbować rozegrać gambit boga. W ciągu swego długiego życia zdążył się już wielokrotnie przekonać, że tworzenie historii złożonej wyłącznie z powiązanych ze sobą kłamstw może okazać się diabelnie skomplikowane.

– Masz włosy na głowie – powiedział kapłan. – Można by przypuszczać, o Inżynierze, że twoja krew nie jest zupełnie czysta!

A więc tak się przedstawiały sprawy! Wszyscy Inżynierowie musieli być kompletnie łysi, więc kapłan naśladował ich, katując swą delikatną skórę jakąś tępą brzytwą. A może Inżynierowie używali depilatorów albo jakichś innych, nieskomplikowanych środków, powodowani wyłącznie modą lub poczuciem estetyki? Twarz kapłana wcale nie różniła się tak bardzo od rzeźby w sali bankietowej.

– Moja krew nic cię nie obchodzi – odparł Louis, odsuwając problem na bok. – Udajemy się do krawędzi świata. Co możesz nam powiedzieć o naszej trasie?

Twarz kapłana wyrażała szaroblade, półprzezroczyste zdziwienie.

– Żądasz ode mnie informacji? Ty, Inżynier?

– Nie jestem Inżynierem. – Louis cały czas trzymał dłoń na wyłączniku pola siłowego.

Ale kapłan, o ile było to możliwe, tylko się jeszcze bardziej zdziwił.

– Więc dlaczego prawie nie masz włosów? Jak latasz? Czyżbyś skradł sekrety z Nieba? Czego chcesz od nas? Czy przybyłeś, by zabrać mi moje zgromadzenie?

Najważniejsze wydawało się to ostatnie pytanie.

– Znajdujemy się w drodze ku krawędzi. Potrzebujemy tylko informacji.

– Możecie ją znaleźć w Niebie.

– Nie bądź taki dowcipny – poradził mu Louis.

– Przecież ty sam przybyłeś z Nieba! Widziałem na własne oczy.

– A, zamek! Przeszukaliśmy go, ale niewiele znaleźliśmy. Na przykład, czy Inżynierowie naprawdę nie mieli włosów?

– Nieraz podejrzewałem, że po prostu się golą, jak ja. Ale twoja skóra wydaje się w naturalny sposób bezwłosa.

– Używam depilatora. – Louis rozejrzał się dookoła, po morzu pełnych uwielbienia, włochatych twarzy. – A co oni myślą? Nie wydają się podzielać twoich wątpliwości.

– A... Chyba, że tak.

– Właśnie. Dla statku poruszającego się z przyśpieszeniem równym temu, które panuje na Pierścieniu gwiazdy znajdują się w odległości od trzech do sześciu lat od siebie. W rzeczywistości odległości te są ogromne. Prill wspominała o opuszczonym regionie jakieś dwieście lat świetlnych stąd, prawie w płaszczyźnie galaktyki, w którym trzy słońca znajdują się w odległości dziesięciu lat świetlnych od siebie.

– Dwieście lat... To już blisko poznanego Kosmosu.

– Podejrzewam, że już chyba w nim. Poza najbliższą okolicą waszego Słońca nie spotyka się właściwie takiego nagromadzenia planet z atmosferami tlenowymi. Halrloprillalar wspominała o technikach uzdatniania planet, stosowanych przed zbudowaniem Pierścienia. Były one jednak zbyt powolne i zostały zaniechane.

– To by mogło sporo wyjaśnić. Tyle tylko, że... Ech, nieważne.

– Chodzi ci o naczelne, Louis? Istnieje wystarczająco wiele dowodów na to, że twój gatunek powstał i rozwijał się na Ziemi. Tyle tylko, że właśnie Ziemia mogła stanowić niezwykle wygodną bazę dla operacji uzdatniania okolicznych planet. Inżynierowie mogli przywieźć ze sobą najróżniejsze zwierzaki...

– ... jak na przykład małpy i Neandertalczyków? – Louis wzruszył niecierpliwie ramionami. – To tylko domysły. Poza tym, teraz to i tak nieważne.

– Oczywiście. – Lalecznik mówił dalej, przeżuwając jednocześnie swoją wegetariańską cegiełkę. – Trasa okrężnego lotu „Pioniera" liczyła sobie ponad trzysta lat świetlnych. W tym czasie mogły dokonać się istotne zmiany, chociaż zazwyczaj nic takiego się nie działo. Społeczeństwo, w którym żyła Prill, było bardzo ustabilizowane.

– Skąd wiedziała, że cały Pierścień ogarnęła fala barbarzyństwa? Jak długo szukała pozostałości cywilizacji?

– Niezbyt długo, ale to w zupełności wystarczyło. Miała rację. Nie ma najmniejszych szans na naprawienie *cziltang brone*.

– Skąd wiesz?

– Prill usiłowała mi wytłumaczyć, co się tutaj zdarzyło, tak jak wytłumaczył jej to jeden z członków załogi. Zrobił to, rzecz jasna, na tyle prosto, żeby mogła zrozumieć. Niewykluczone, że cały proces rozpoczął się jeszcze na wiele lat przed ostatnim lotem „Pioniera"...

Kiedyś istniało dziesięć zamieszkanych planet. Kiedy ukończono budowę Pierścienia, wszystkie dziesięć pozostawiono ich własnemu losowi. Nie były już potrzebne.

Wyobraźcie sobie taką planetę:

Lądy pokryte olbrzymimi miastami w różnym stadium rozwoju. Najmniej może jest slumsów, ale gdzieś na pewno je zachowano, choćby jako pamiątkę historyczną. Wszędzie pełno najróżniejszych odpadków: zużytych opakowań, popsutych maszyn, zniszczonych książek i mikrofilmów, jednym słowem wszystkiego, czego nie można powtórnie przetworzyć, a także sporo tego, co by się jednak dało. Oceany od stuleci były traktowane jako olbrzymie śmietniki, również na materiały radioaktywne.

Cóż dziwnego w tym, że żyjące w nich istoty przystosowały się do nowych warunków?

Cóż dziwnego w tym, że nauczyły się żyć dzięki śmieciom?

– Coś takiego zdarzyło się kiedyś na Ziemi – powiedział Louis. – Drożdże odżywiające się polietylenem. Zjadały plastykowe torby na zakupy. Teraz już wyginęły, bo nie produkuje się więcej polietylenu.

Wyobraźcie sobie d z i e s i ę ć takich planet.

Bakterie przekształciły się tak, żeby móc odżywiać się związkami cynku i ołowiu, plastykiem, farbami, izolacją, śmieciami świeżymi i tymi, które liczyły już sobie setki lat. Nie miałoby to znaczenia, gdyby nie statki kosmiczne.

Odwiedzały regularnie opuszczone planety, poszukując form życia, o których zapomniano lub które nie mogły przystosować się do panujących na Pierścieniu warunków. Zabierały ze sobą także inne przedmioty: pamiątki i dzieła sztuki, zapomniane lub po prostu przeznaczone do późniejszego przeniesienia. Najbardziej bezcenne zbiory przewożono po jednym egzemplarzu, żeby uniknąć ryzyka utraty w jakimś wypadku większej ich ilości.

Wraz z jednym z transportów zabrał się pleśniak zdolny przeżreć wewnętrzną strukturę pracującego w temperaturze pokojowej nadprzewodnika, używanego niemal we wszystkich bardziej skomplikowanych urządzeniach.

Pleśniak działał powoli. Był młody, prymitywny i przynajmniej z początku, łatwo dawał się zabić. Wraz z kolejnymi transportami przybywały na Pierścień jego różne mutacje, aż wreszcie jedna z nich okazała się wystarczająco silna.

Ponieważ działał tak powoli, statki ulegały awariom długo po przybyciu do portu, a *cziltang brone* odmawiała posłuszeństwa sporo czasu po tym, jak przeniesiono go przez zewnętrzną ścianę Pierścienia.

był Pierścień, nie mogła ucierpieć z powodu braku konserwacji. Potomkowie Inżynierów mogli zapomnieć, jak obsługiwać śluzy powietrzne i elektromagnetyczne działa, jak przesuwać planety i budować latające pojazdy – cywilizacja mogła przestać istnieć, Pierścień – nie.

Na przykład laserowe działa służące do obrony przed meteorytami były do tego stopnia niezawodne, że Halrloprillalar...

– Mów na nią Prill – zaproponował Louis.

– ... – że Prill i cała załoga ani przez moment nie podejrzewała, że mogłyby nie działać.

Ale co z portem kosmicznym? Na co by się przydała jego niezawodność, gdyby jakiś idiota otworzył jednocześnie wszystkie drzwi śluzy?

Odpowiedź była prosta: żadnych śluz! Zamiast nich była właśnie *cziltang brone*. Maszyna ta wytwarzała pole, w którym materiał konstrukcyjny Pierścienia, a więc zarówno jego spód, jak i boczne ściany, przepuszczały wszelkie ciała stałe, stawiając tylko nieznaczny opór. Kiedy *cziltang brone* działała...

– Generator osmotyczny – podpowiedział Louis.

– Być może. Podejrzewam, że *„brone"* jest jakimś obscenicznym określnikiem.

Kiedy generator działał, powietrze przesiąkało powoli na drugą stronę, zaś ludzie w skafandrach szli jakby pod silny, wiejący ze stałą prędkością wiatr. Wszelkie większe obiekty mogły być przewożone przez ciągniki.

– A pojemniki ze sprężonym powietrzem do oddychania? – zapytał kzin.

Niezbędne powietrze robili na miejscu, na zewnątrz.

Tak, Pierścień dysponował tanią technologią przetwarzania pierwiastków. Była tania tylko wtedy, jeżeli stosowano ją na wielką skalę. Istniały także inne ograniczenia. Na przykład samo urządzenie – było wręcz gigantyczne. W porcie znajdowały się dwa, przetwarzające ołów w tlen i azot. Ołów, bo łatwo go było transportować i przechowywać.

Generatory osmotyczne były urządzeniem niezwykle bezpiecznym w działaniu. W razie awarii śluzy groziła utrata dużej ilości pędzącego z prędkością huraganu powietrza, jeżeli zaś zawiodła *cziltang brone,* oznaczało to tylko, że przejście jest zamknięte.

Także dla powracających kosmonautów.

*

– I dla nas – dodał Mówiący-do-Zwierząt.

– Nie tak szybko – uspokoił go Nessus. – Wygląda na to, że generator osmotyczny jest właśnie tym, czego nam trzeba. Nie potrzebowalibyśmy w ogóle ruszać „Kłamcy" z miejsca. Wystarczyłoby skierować *cziltang brone...* – wymówił tę nazwę tak, jakby zaczynała się od kichnięcia – ... w podłogę Pierścienia bezpośrednio pod „Kłamcą". Statek po prostu przesiąkłby bezpośrednio na drugą stronę.

– I uwiązłby w tej przeciwmeteorytowej gąbce – dokończył kzin. I w chwilę potem – poprawka. Tam moglibyśmy użyć dezintegratora.

– Otóż to. Niestety, nie mamy dostępu do żadnej *cziltang brone.*

– Ale o n a jest tutaj! Jakoś przecież musiała się przedostać.

– Tak...

Znajdujący się wśród załogi specjaliści od magnetohydrodynamiki musieli nauczyć się właściwie nowego zawodu, zanim mogli przystąpić do naprawy *cziltang brone.* Zajęło im to kilka lat. Awaria nastąpiła w trakcie działania. Urządzenie częściowo stopiło się, a częściowo rozsypało. Musieli wykonać zupełnie nowe części, w tym także takie, o których wiedzieli, że również zawiodą – ale może będą działać wystarczająco długo, żeby...

W trakcie prac wydarzył się wypadek. Źle wycelowany promień osmotyczny przeszedł przez kadłub „Pioniera". Dwaj członkowie załogi zginęli, wtopieni w metalowe grodzie, zaś siedemnastu innych doznało trwałych uszkodzeń mózgu.

Pozostałej szesnastce udało się przejść. Zabrali ze sobą siedemnastu kretynów. Zabrali również samą *cziltang brone,* na wypadek, gdyby nowy Pierścień okazał się mniej przyjazny, niż był niegdyś.

Znaleźli się w dzikim, prymitywnym kraju.

W kilka lat później część z nich postanowiła wrócić do „Pioniera".

Cziltang brone odmówiła posłuszeństwa, zamykając czterech z nich w zewnętrznej ścianie. I to był koniec. Wiedzieli już, że nigdzie na Pierścieniu nie znajdą potrzebnych części.

– Nie rozumiem, jak upadek mógł nastąpić aż t a k szybko – powiedział Louis. – Jeden kurs „Pioniera" trwał dwadzieścia cztery lata, tak?

– Dwadzieścia cztery lata według czasu pokładowego.

– Widzą nas rozmawiających jak równy z równym w języku Inżynierów. Chciałbym, żeby tak dale było, jeśli ci to odpowiada. – Zachowanie kapłana zmieniło się z niemal wrogiego w konspiracyjne.

– Czy dzięki temu umocnisz swoją pozycję? Tak, chyba tak. – Kapłan najbardziej obawiał się tego że utraci swoich wiernych. Każdy kapłan, którego bóg zstąpiłby na ziemię i próbował bezpośrednio kontaktować się z ludem, żywiłby podobne obawy. – Czy oni nas rozumieją?

– Może jedno słowo na dziesięć.

Sprawność autopilota jako tłumacza okazała się nawet zbyt wysoka. Louis nie miał pojęcia, czy kapłan posługuje się tym samym językiem, którym mówiono w Zignamuclickclick. Gdyby to wiedział gdyby wiedział, czym i jak bardzo różniły się oba te języki, mógłby chociaż w przybliżeniu określić, kiedy zaczął się upadek cywilizacji Pierścienia.

– Dlaczego ten zamek nazywa się Niebem? – zapytał. – Wiesz coś na ten temat?

– Legendy mówią o Zrillirze – odparł kapłan – i o tym, jak rządził ziemiami leżącymi pod Niebem. Na tym cokole stał niegdyś jego pomnik naturalnej wielkości. Ziema dawała Niebu smakołyki, które mogę ci wymienić, bowiem ich nazwy przetrwały do dziś w rytualnych tekstach, ale ich samych już ni uświadczysz. Czy mam...

– Nie, dziękuję. I co dalej?

W głosie kapłana pojawił się uduchowiony, religijny zaśpiew. Z pewnością wiele razy słyszał tę historię. I wiele razy ją opowiadał.

– Niebo powstało wtedy, gdy Inżynierowie stworzyli cały świat i Łuk Nieba. Ten, kto panuje w Niebie, rządzi ziemią od krawędzi do krawędzi. Zrillir panował przez wiele pokoleń, rzucając w chwilach gniewu ogniste gromy. Aż kiedyś pojawiła się pogłoska, że już nie potrafi ich rzucać.

Lud przestał go słuchać. Przestał oddawać żywność. Zburzył pomnik. Gdy anioły Zrillira zaczęły rzucać z góry kamieniami, ludzie tylko śmiali się i chowali.

Przyszedł dzień, w którym lud postanowił wedrzeć się do Nieba. Zrillir jednak zniszczył poruszając się schody, zaś jego anioły opuściły Niebo na latających maszynach.

Później zaczęto żałować, że nie ma już Zrillira. Niebo było wiecznie zasnute chmurami, plony niszczy padający bezustannie deszcz. Modliliśmy się o powrót Zrillira...

– Jak myślisz, na ile to wszystko odpowiada prawdzie?

– Powiedziałbym, że to wszystko nieprawda, dopóki nie zobaczyłem ciebie, przybywającego z Nieb na latającej maszynie. Bardzo się przestraszyłem, o Inżynierze. Być może Zrillir rzeczywiście ma zamia wrócić i wysyła naprzód swego bękarta, by ten usunął mu z drogi fałszywych kapłanów.

– Mogłem ogolić sobie głowę. Zmieniłoby to coś?

– Nie. Zresztą, nieważne. Miałeś jakieś pytania.

– Co możesz mi powiedzieć o upadku cywilizacji Pierścienia?

Kapłan poruszył się niespokojnie.

– Czyżby cywilizacja miała upaść?

Louis westchnął ciężko i odwrócił się, by przyjrzeć się ołtarzowi.

Zajmował centralną część potężnego cokołu i wykonany był z ciemnego drewna. Na prostokątnej po wierzchni, o brzegach lekko zadartych ku górze, wyrzeźbiono wzgórza, rzeki i duże jezioro. Na owyc uniesionych, krótszych krawędziach, wspierał się złoty, paraboidalny łuk. Złoto było miejscami wytar te, a miejscami zaśniedziałe, ale wisząca na cienkim, umocowanym w najwyższym punkcie łuku drucik kulka była wypolerowana do połysku.

– Czy cywilizacja znajduje się w niebezpieczeństwie? Tak wiele się zdarzyło: słoneczny drut, twoj przybycie... Czy to naprawdę słoneczny drut? Czy słońce też ma zamiar na nas spaść?

– Nie sądzę. Czy mówisz o tym drucie, który spada od rana?

– Tak. Nasza religia uczy nas, że słońce jest umocowane do Łuku niezwykle mocnym drutem. Te drut jest mocny, wiemy o tym. Dziewczynka próbowała go podnieść, a on obciął jej palce.

Louis skinął głową.

– Nic na was nie spadnie – powiedział. – Nawet czarne prostokąty, dodał w myśli. Nawet gdyby po przecinać wszystkie nici, i tak nie uderzyłyby w Pierścień. Oddaliłyby się tylko od słońca, ustawiając n wyznaczonej im przez ich prędkość orbicie. Budowniczowie Pierścienia z pewnością tak to obmyślili, b orbita ta wypadła wewnątrz ich drogocennej konstrukcji.

– A może wiesz coś o systemie transportowym na krawędzi? – zapytał bez większej nadziei. I w te chwili poczuł, że coś jest nie tak. Wyczuł jakiś sygnał, znak zbliżającej się katastrofy – ale co to było?

– Czy mógłbyś to powtórzyć? – zapytał kapłan.

Louis powtórzył.

– Ta rzecz, która mówi za ciebie – wyjaśnił kapłan – za pierwszym razem powiedziała coś innego. Coś zakazanym... czymś.

– To zabawne – mruknął Louis. Tym razem już to usłyszał. Komunikator odezwał się w zupełnie obm języku, w dodatku dużo głośniej, niż do tej pory.

– Korzystasz z zastrzeżonej częstotliwości łamiąc... nie pamiętam reszty – powiedział kapłan. – Najpiej będzie, jeżeli skończymy tę rozmowę. Obudziłeś coś prastarego, coś złego... – Kapłan przerwał, łuchując się w słowa płynące z komunikatora, który znowu przemówił w miejscowym języku.

– ... łamiąc rozporządzenie dwunaste, dotyczące...

To, co kapłan powiedział potem, nie zostało już nigdy przetłumaczone.

Komunikator rozpalił się nagle do czerwoności. Louis rzucił go momentalnie przed siebie; mały, ogcie biały dysk spadł na nawierzchnię placu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Dopiero wtedy Louis poczuł l i oczy zaszły mu łzami.

Z trudem dostrzegł, że kapłan skinął mu dostojnie głową.

Odpowiedział mu tym samym gestem; ponieważ podczas całej rozmowy siedział w fotelu skutera, te: dotknął tylko lekko sterów i wzniósł się ku Niebu.

Kiedy był już sam, wykrzywił twarz w paroksyzmie bólu i użył słowa, które usłyszał po raz pierwszy Wunderlandzie z ust człowieka, który właśnie upuścił liczący sobie tysiąc lat kryształ Steubena.

Rozdział XVII

Oko cyklonu

Skutery opuściły Niebo lecąc poniżej stalowoszarej, kłębiastej powłoki. Ocaliła im życie nad polem neczników, ale teraz jej widok działał wyłącznie przygnębiająco.

Louis ustawił na tablicy przyrządów blokadę ich obecnej wysokości. Robił to bardzo ostrożnie, ponież jego prawa dłoń, pokryta grubą warstwą środka leczniczego, a uprzednio, oczywiście, znieczulona, l względem precyzji ruchów bardzo przypominała kawałek drewna. Przyglądał się jej przez chwilę, tanawiając się, o ile gorzej mogłoby się to skończyć, gdyby...

Nad tablicą pojawiła się pomarańczowa głowa Mówiącego-do-Zwierząt.

Louis, czy nie wzniesiemy się nad chmury?

Moglibyśmy coś przeoczyć. Stamtąd nic nie widać.

Mamy przecież mapy.

Czy są na nich zaznaczone pola słoneczników?

Masz rację – przyznał kzin i wyłączył swój interkom.

Podczas gdy Louis konwersował z wygolonym kapłanem, Mówiący i Teela nie marnowali czasu w koacie map. Sporządzili konturowe mapki trasy ich lotu, nanosząc na nie kipiące niegdyś życiem mia- które mogli podziwiać na dużym ekranie.

A więc komuś – lub czemuś – nie spodobało się, że używają zastrzeżonej częstotliwości. Zastrzeżonej ez kogo? Kiedy? Dlaczego? Czemu powiedziano im o tym dopiero teraz? Louis podejrzewał, że mo- tu chodzić o jakąś maszynę, coś w rodzaju laserowego strażnika, który zestrzelił „Kłamcę". Być że działała tylko okresowo.

Również komunikator kzina rozpalił się do czerwoności w jego dłoni. Minie dobrych kilka dni, zanim zie mógł znowu nią władać, nawet przy zastosowaniu najlepszych leków z „wojskowego" wyposaże- Spalona tkanka musi mieć czas na regenerację.

Teraz, kiedy dysponowali mapami, nie lecieli już na ślepo. Jeżeli cywilizacja miała gdziekolwiek się odzić, to najbardziej prawdopodobnym miejscem były właśnie wielkie metropolie. Wiedząc, gdzie szukać, badaliby je dokładnie z powietrza, wypatrując świateł lub dymu.

a tablicy kontrolnej płonęło jeszcze jedno światełko; Nessus chciał rozmawiać. Louis włączył inter-.

jrzał zmierzwioną grzywę lalecznika i jego pokryty delikatną skórą grzbiet, wznoszący się i opadają- równym rytmie oddechu. Przez moment myślał, że lalecznik jeszcze nie wyszedł z poprzedniego u katatonii, albo że wpadł w następny, ale w tej chwili pojawiła się trójkątna, jednooka głowa.

Witaj, Louis! – zaśpiewał Nessus. – Co nowego?

Rozdział XXI

Dziewczyna zza krawędzi

Nazywała się Halrloprillalar Hotrufan i od dwustu lat wchodziła w skład załogi statku „Pionier", jak po chwili wahania przetłumaczył jego nazwę Nessus.

„Pionier" obsługiwał okrężną linię, obejmującą cztery systemy słoneczne: pięć planet z atmosferą tlenową i Pierścień. Jeden pełny kurs trwał dwadzieścia cztery lata, przy czym „rok" nie miał nic wspólnego z Pierścieniem. Była to tradycyjna miara czasu, przeniesiona z jednej z opuszczonych planet.

Przed powstaniem Pierścienia dwa z pięciu odwiedzanych przez „Pioniera" światów były nadzwyczaj gęsto zaludnione. Teraz, podobnie jak na pozostałych, nikt już na nich nie mieszkał. Znajdowały się tam tylko ruiny miast, skryte częściowo pod dziką roślinnością.

Halrloprillalar miała za sobą osiem kursów. Na opuszczonych planetach rosły rośliny i żyły zwierzęta, które nie mogły zaadaptować się do warunków Pierścienia z powodu braku cyklu zima/lato. Niektóre z tych roślin były używane jako przyprawy. Niektóre ze zwierząt stanowiły źródło mięsa. Co do innych, Halrloprillalar nic nie wiedziała i mało ją to obchodziło.

Nie miała nic wspólnego z obsługą ładunku.

– Nie zajmowała się też ani sterowaniem, ani konserwacją urządzeń. Nie mam pojęcia, co właściwie tam robiła – przyznał Nessus. – Załoga „Pioniera" składała się z trzydziestu sześciu osób. Z całą pewnością było to za dużo w stosunku do potrzeb. Raczej na pewno nie miała do czynienia z niczym, co mogło mieć bezpośredni wpływ na los statku i załogi. Jest na to zbyt mało inteligentna.

– Czy zapytałeś o to, jaki był skład pod względem płci?

– Wśród tych trzydziestu sześciu osób znajdowały się trzy kobiety.

– Więc możesz przestać zadręczać się tym, co robiła.

Dwieście lat podróży i przygody. Nagle, pod koniec jej ósmego kursu, Pierścień nie odpowiedział na wezwania „Pioniera".

Akcelerator nie działał.

Przy użyciu teleskopów nie udało im się stwierdzić aktywności w ż a d n y m z portów.

Pięć planet, które statek odwiedzał podczas każdego kursu, nie miało dział elektromagnetycznych, służących do wyhamowania statku. „Pionier" miał przeznaczone do tego celu paliwo. Statek mógł lądować, pytanie brzmiało tylko: gdzie?

Na pewno nie na powierzchni Pierścienia. Sterowane przez automaty działa laserowe rozbiłyby ich w pył.

Nie otrzymali zezwolenia na lądowanie w żadnym z portów. Poza tym, coś tam było nie w porządku.

Wracać na jedną z opuszczonych planet? Równałoby to się założeniu nowej kolonii przez trzydziestu trzech mężczyzn i trzy kobiety.

– Byli niewolnikami rutyny, niezdolnymi do podjęcia takiej decyzji. Wpadli w panikę – relacjonował Nessus. – Wybuchł bunt. Pilot zdołał zabarykadować się w sterowni i przy użyciu silników posadził statek w jednym z portów. Zabili go za to, że naraził statek i ich na niebezpieczeństwo. Zastanawiam się, czy nie zabili go raczej za złamanie tradycji, za samowolne lądowanie na silnikach, a nie w bezpiecznej, elektromagnetycznej kołysce.

Louis poczuł na sobie czyjś wzrok. Spojrzał w górę.

Dziewczyna cały czas im się przyglądała. Jedna z głów Nessusa, dokładniej lewa, również nie spuszczała z niej ani na moment oczu.

A więc w niej znajdował się tasp. I dlatego właśnie Nessus ciągle patrzył w górę. Dziewczyna nie chciała nawet na moment stracić go z pola widzenia, a on bał się choćby na chwilę wypuścić ją poza zasięg działania swego czaru.

– Po zabiciu pilota opuścili statek – kontynuował Nessus. – Dopiero wtedy przekonali się, jak wielką wyrządził im krzywdę. *Cziltang brone* była nieczynna, zepsuta. Znajdowali się po niewłaściwej stronie wysokiej na tysiąc mil ściany.

Nie znam żadnego ekwiwalentu dla tej nazwy ani w interworldzie, ani w Języku Bohaterów. Wiem tylko, jak działa. Jej działanie ma dla nas ogromne znaczenie.

– Więc mów – przynaglił go Louis.

Budowniczowie Pierścienia wyposażyli go w odpowiednie zabezpieczenia. Mogłoby się wydawać, że przewidzieli upadek cywilizacji, jakby następujące po sobie okresy rozkwitu i powrotu do barbarzyństwa były na stałe wpisane do przeszłej i przyszłej historii człowieka. Skomplikowana konstrukcja, jaką

Po lewej unosił się wąski, długi budynek, przypominający trochę kształtem pasażerski statek kosmiczny. Louis popuścił na moment wodze fantazji, marząc, że to rzeczywiście ukryty przemyślnie statek i że wystarczy tylko...

Była to marna rozrywka i szybko mu się znudziła.

Starał się zapamiętać topografię miasta. Mogło to im się jeszcze przydać. Było to pierwsze miejsce, na jakie natrafili podczas wędrówki, w którym można było dostrzec ślady funkcjonującej jeszcze cywilizacji.

Jakąś godzinę później siedział na owalnym łóżku, patrząc w przyglądające mu się spokojnie Oko, kiedy obok niego, w jakiejś nieprawdopodobnej oddali, zobaczył mały, zielonobrązowy trójkącik.

– Mmm... – powiedział z namysłem. Trójkącik miał minimalne rozmiary, jednak można było określić jego kształt. Sterczał z szarobiałego chaosu nieskończonego horyzontu, a to oznaczało, że tam był jeszcze dzień.

Louis poszedł po lornetkę.

Patrząc przez nią widział wszystkie szczegóły równie wyraźnie, jak kratery na Księżycu. Nieregularny trójkąt, zielonobrązowy u podstawy, brudnobiały u szczytu... Pięść Boga. Znacznie większa, niż mógł przypuszczać. Fakt, że widział ją z takiej odległości wskazywał na to, że znaczna część góry sterczała ponad atmosferę.

Od momentu przymusowego lądowania na Pierścieniu skutery przeleciały ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mil. Pięść Boga musiała mieć co najmniej tysiąc mil wysokości.

Louis gwizdnął przeciągle i ponownie uniósł lornetkę do oczu.

*

Siedząc w półmroku usłyszał dochodzące z góry hałasy. Wystawił głowę z celi.

– Witaj, Louis! – ryknął Mówiący-do-Zwierząt, machając mu zakrwawioną, na pół zjedzoną tuszą czegoś przypominającego rozmiarami sporą kozę. Odgryzł kawał wielkości ludzkiej głowy, w chwilę potem następny, i jeszcze następny. Jego zęby były stworzone do cięcia, nie do żucia.

Mówiący pokazał mu oderwaną tylną nogę ofiary, jeszcze ze skórą i kopytem.

– To dla ciebie, Louis. Nie jest najświeższe, ale to nie ma znaczenia. Musimy się pośpieszyć. Pożeracz liści wolał nie patrzeć, jak jemy. Podziwia widok z mojej celi.

– Zdziwi się, jak zajrzy do mojej – powiedział Louis. – Myliliśmy się, co do Pięści Boga. Ma co najmniej tysiąc mil wysokości. To na szczycie to nie śnieg, tylko...

– Louis, jedz!

Louis poczuł, że do ust napływa mu ślina.

– Chyba można to jakoś upiec...

Rzeczywiście, było można. Mówiący zdarł za niego skórę z udźca, po czym Louis położył mięso na schodach i upiekł je rozszerzonym promieniem lasera.

– Mięso rzeczywiście nie jest świeże – przyznał przyglądający mu się podejrzliwie kzin – ale czy musisz je od razu palić?

– Co z Nessusem? Jest więźniem, czy kontroluje sytuację?

– Powiedziałbym, że częściowo kontroluje. Spójrz w górę.

Mała figurka dziewczyny siedziała na krawędzi platformy obserwacyjnej.

– Widzisz? Boi się stracić go z oczu.

Louis uznał, że mięso jest już gotowe. Jedząc czuł na sobie niecierpliwy wzrok kzina, przyglądającego się, jak człowiek przeżuwa w nieskończoność każdy kęs. Louisowi jednak zdawało się, że je jak żarłoczne zwierzę. Był g ł o d n y.

*

Przez wzgląd na lalecznika wyrzucili resztki przez wybite okno, po czym wszyscy zebrali się przy jego skuterze.

– Jest już częściowo uzależniona – powiedział Nessus. Miał kłopoty z oddychaniem... albo z zapachem surowego i palonego mięsa. – Udało mi się od niej dużo dowiedzieć.

– Wiesz, dlaczego nas złapała?

– Tak. Wiem też coś więcej. Mieliśmy szczęście. Należała do załogi statku kosmicznego.

– Cała pula dla nas – powiedział Louis Wu.

– Odkryliśmy latający budynek – odparł Louis. – Z komnatą map. – Opowiedział lalecznikowi o zamku zwanym Niebem, o komnacie map, o ekranie, mapach i globusach, o kapłanie i jego opowieści oraz modelu wszechświata. Odpowiadał właśnie na kolejne pytanie, kiedy pomyślał o zadaniu własnego.

– A, właśnie. Czy twój komunikator działa?

– Nie, Louis. Jakiś czas temu rozżarzył się do białości, niezwykle mnie przestraszając. Gdybym tak bardzo się nie bał, na pewno bym na chwilę odszedł.

– No, tak. Inne też nie działają. Mówiący i ja mamy poparzone dłonie, a Teela dziurę w bagażniku. Wiesz co? Musimy nauczyć się miejscowego języka.

– Oczywiście.

– Szkoda, że ten kapłan nie wiedział nic o upadku starożytnej cywilizacji Pierścienia. Miałem pewien pomysł... – I przedstawił lalecznikowi swoją teorię zmutowanych bakterii trawiennych.

– To całkiem możliwe – powiedział Nessus. – Jeżeli raz stracili umiejętność przetwarzania pierwiastków, nigdy się już nie podniosą.

– A to dlaczego?

– Rozejrzyj się dokoła, Louis. Co widzisz?

Louis rozejrzał się. Zobaczył formujący się przed nimi front burzowy; zobaczył wzgórza, doliny, odległe miasto, podwójny szczyt błyszczący półprzezroczystą szarością materiału konstrukcyjnego Pierścienia...

– Wyląduj w dowolnym miejscu i zacznij kopać. Co znajdziesz?

– Glebę – odpowiedział Louis. – I co z tego?

– A głębiej?

– Też glebę. Skały. Konstrukcję. – I w tej samej chwili krajobraz diametralnie się zmienił. Burzowe chmury, góry, miasta, jedno po prawej, drugie z tyłu, tajemniczy blask za nie istniejącym horyzontem, który mógł okazać się morzem lub kolejnym polem słoneczników – wszystko to zrobiło się nagle sztuczne i płaskie. Różnica między t y m a prawdziwą planetą była taka sama jak między gumową maską, a ludzką twarzą.

– Gdybyś zaczął kopać na jakiejkolwiek prawdziwej planecie – podjął lalecznik – prędzej czy później trafiłbyś na jakąś rudę metalu. Tutaj, po przekopaniu się przez czterdzieści stóp ziemi trafiasz na spód Pierścienia. I koniec. Nie możesz się przez niego przebić, a nawet gdybyś mógł, po drugiej stronie znalazłbyś tylko próżnię.

Jeżeli cywilizacja, która zbudowała Pierścień chce na nim żyć i rozkwitać, musi dysponować tanią technologią przetwarzania pierwiastków. Jeżeli ją utraci – co jej pozostaje? Na Pierścieniu nie ma żadnych bogactw naturalnych. Choćby nie wiem jak szukali, nic by nie znaleźli. Cywilizacja musiałaby upaść. Na zawsze.

– Kiedy na to wpadłeś? – zapytał Louis.

– Dość dawno temu. Nie było to nic takiego, co by w bezpośredni sposób wpływało na nasze bezpieczeństwo.

– Więc po prostu siedziałeś cicho. Jasne. – Ileż czasu Louis łamał sobie nad tym głowę! A teraz wydawało się to takie jasne i oczywiste. Cóż za pułapka, cóż za nieprawdopodobna pułapka dla myślących istot!

Louis spojrzał przed siebie (kątem oka dostrzegł, że głowa lalecznika zniknęła znad tablicy przyrządów). Burza zbliżała się coraz bardziej; była potężnych rozmiarów. Bariery dźwiękochłonne z pewnością dadzą sobie z nią radę, ale...

Lepiej ominąć ją, wznosząc się na większą wysokość. Louis przyciągnął do siebie drążek i skutery zaczęły wspinać się w górę, ku nieprzeniknionej warstwie szarych chmur, która wisiała nad nimi od chwili, kiedy dotarli do zamku zwanego Niebem.

Louis myślał leniwie o tym i o owym...

Opanowanie miejscowego języka zajmie im trochę czasu. Uczenie się nowego języka po każdym lądowaniu będzie niemożliwe. W tej chwili ta właśnie sprawa urastała do rangi najważniejszego problemu. Od jak dawna mieszkańcy Pierścienia żyli jak dzicy? Jak dawno temu w jednolitym języku zaczęły wytwarzać się narzecza i dialekty? Jak bardzo różniły się od oryginału?

Roztaczający się dokoła widok ściemniał, po czym zupełnie zniknął. Byli w chmurach. Macki szarej, lepkiej mgły głaskały otaczającą skuter Louisa niewidzialną bańkę. Po chwili znaleźli się nad jednolicie szarą powierzchnią.

Z uciekającego w nieskończoność horyzontu spoglądało na Louisa Wu olbrzymie, niebieskie oko.

Gdyby Bóg miał głowę wielkości Księżyca, to oko byłoby akurat właściwych rozmiarów.

Zrozumienie tego, co widzi, zajęło Louisowi dobrych parę sekund. Przez następnych kilka chwil jego

sł kategorycznie odmawiał przyjęcia tego do wiadomości. Niesamowity widok przyblakł jak źle ietlony hologram.
rzez delikatne brzęczenie w uszach usłyszał/wyczuł czyjś krzyk.
zy już nie żyję? – pomyślał.
Czy to Nessus?" Ale przecież lalecznik przerwał połączenie.
o była Teela. Teela, która jeszcze nigdy w życiu niczego się nie bała. Zakryła sobie twarz rękami, vając się przed tym monstrualnym, błękitnym spojrzeniem.
ko znajdowało się dokładnie przed nimi. Wydawało się, że przyciąga ich z jakąś nieprawdopodobną
Czy ja umarłem? Czy to Stwórca, który ma mnie sądzić? K t ó r y Stwórca?"
adeszła chwila, w której Louis Wu miał zadecydować, w jakiego Stwórcę wierzy, o ile w ogóle wie-
ko było błękitno-białe; biała brew i ciemna źrenica. Białe dzięki chmurom, błękitne dzięki odległo- Tak, jakby było częścią nieba.
Louis, zrób coś! – krzyczała Teela.
o nie może być prawda, powtarzał sobie Louis. Wszechświat jest naprawdę ogromny, ale niektóre zy są po prostu niemożliwe, i już.
Louis!
ouis odzyskał głos.
To ty, Mówiący? Co widzisz?
zin zamilkł na chwilę. Kiedy się znowu odezwał, jego głos był dziwnie bezbarwny.
Prosto przed nami widzę ogromne, ludzkie oko.
Ludzkie?
Tak. Ty też je widzisz?
o jedno słowo, którego Louis nigdy by nie użył, wszystko zmieniało. Ludzkie. Ludzkie oko. Gdyby to halucynacja lub jakieś nadnaturalne zjawisko, kzin powinien widzieć oko kzina albo nic.
A więc to coś prawdziwego – powiedział Louis. – Coś zupełnie prawdziwego.
eela wpatrywała się w niego z nadzieją.
e dlaczego przyciągało ich do siebie?
ouis pociągnął drążek sterowy w prawo. Skutery posłusznie skręciły w tę samą stronę.
Zbaczasz z kursu – zareagował od razu Mówiący-do-Zwierząt. – Wracaj, albo oddaj mi sterowanie.
Chyba nie masz zamiaru przelecieć p r z e z to?
Jest zbyt duże, by to omijać.
Nie większe niż krater Platona. Za godzinę będziemy z powrotem na kursie. Po co ryzykować?
Jeżeli się boisz, leć sam. Ty też, Teela. Spotkamy się po drugiej stronie.
Ale dlaczego? – zapytał chrapliwie Louis. – Czy uważasz, że to... że ten przypadkowy układ chmur owi wyzwanie dla twojej męskości?
Dla czego? Louis, tutaj nie chodzi o moje zdolności prokreacyjne, tylko o moją odwagę.
utery pędziły przed siebie z prędkością tysiąca dwustu mil na godzinę.
Co tu ma do rzeczy twoja odwaga? Musisz mi odpowiedzieć.
Nie muszę. Jeśli chcecie, możecie okrążyć Oko.
A niby jak mamy cię później znaleźć?
To rzeczywiście problem – przyznał po chwili zastanowienia kzin. – Louis, czy słyszałeś kiedyś o he- Kdapta-kaznodziei?
Nie.
W ponurym okresie, który nastąpił po Czwartym Pokoju z Ludźmi Kdapt-kaznodzieja zaczął głosić religię. Został rozszarpany w pojedynku przez samego Patriarchę, ale jego religia egzystuje w ciu do dnia dzisiejszego. Kdapt-kaznodzieja uważał, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i po- eństwo.
Człowieka? Ale... Przecież Kdapt był kzinem?
Tak. Ciągle wygrywaliście, Louis. W ciągu trzystu lat wygraliście cztery wojny. Naśladowcy Kdapta w czasie nabożeństw maski przedstawiające ludzkie twarze. Mieli nadzieję oszukać Stwórcę i zwy- ć w wojnie.
Więc kiedy zobaczyłeś to oko, spoglądające na nas zza horyzontu...
Właśnie.
A niech to.

nowiło luksusowy i raczej mało spodziewany element wyposażenia celi. Szyby były wybite; zostało tylk kilka wyszczerbionych, ostrych zębów.

Czy umieszczono je tu po to, żeby zadawać więźniowi dodatkowy ból, pokazując mu utraconą wo ność?

Na zewnątrz panował półmrok, niczym czarna kurtyna zbliżała się linia terminatora. Przed nir otwierał się widok na port: sześciany, które musiały być kiedyś magazynami, rozpadające się doki, dźw gi o eleganckich kształtach. Wszystko przerdzewiałe niemal na wylot.

W lewo i w prawo ciągnął się powyginany, urozmaicony brzeg. Kawałek plaży, doki, znowu kawałe plaży... Tak widocznie ukształtowano linię brzegową: płytki odcinek z plażą jak Waikiki, a zaraz pote głębia, znakomicie nadająca się na założenie portu. I tak na przemian.

A dalej – ocean. Bezkresny, niknący za nie istniejącym horyzontem. Zupełnie, jakby patrzyli prze Atlantyk.

Z prawej strony zasunęła się ciemna kurtyna nocy. Rozbłysły działające jeszcze światła, iluminują wieże centrum. Miasto i port skryły się w ciemności. Daleko z lewej jaśniał oddalający się dzień.

Mówiący leżał na owalnym łóżku.

Louis uśmiechnął się. Wojowniczy kzin wyglądał najniewinniej, jak tylko można sobie wyobrazić Sen najlepiej leczy rany, a te musiały porządnie go osłabić. A może spał, żeby nie czuć narastająceg głodu?

Louis cicho wyszedł z celi.

W panującym we wnętrzu więzienia mroku odszukał skuter Nessusa. Był już tak wygłodniały, że po łknął przeznaczoną dla lalecznika cegiełkę, nie zwracając uwagi na jej dziwny smak. Nie czuł się zby pewnie w ciemnościach, więc włączył światła pojazdu Nessusa, a następnie uczynił to samo w pozosta łych skuterach. Kiedy skończył, olbrzymie pomieszczenie było już zupełnie dobrze oświetlone, cieni zaś rozproszone i niegroźne.

Co zatrzymało Nessusa?

W starym, napowietrznym więzieniu raczej trudno było o rozrywkę. Spać można było tylko określon ilość czasu, a Louis wykorzystał już swój przydział z nawiązką. Można było zastanawiać się nad tym, co na czerwone oczy finagla, robi tak długo Nessus, dopóki nie pojawiła się myśl, że być może po prost postanowił ratować swoją skórę.

Nessus nie był przecież jakimś fam, zwykłym obcym. Był lalecznikiem Piersona o przeszłości składa jącej się głównie z mniej lub bardziej udanych prób manipulowania ludźmi. Gdyby zaistniała szansa do gadania się z (hipotetycznym) Inżynierem, z pewnością bez wahania pozostawiłby na pastwę losu zaró wno Louisa, jak i Mówiącego-do-Zwierząt. Nie miałby żadnego powodu, żeby tak nie postąpić.

Miał natomiast przynajmniej dwa powody przemawiające za tym, żeby tak właśnie uczynić.

Mówiący-do-Zwierząt niemal na pewno pokusi się o jeszcze jedną próbę zawładnięcia „Szczęśliwym Trafem", chcąc uniemożliwić ludziom zdobycie napędu hiperprzestrzennego Kwantum II. Podczas te próby lalecznik mógłby zostać zraniony, albo i gorzej. Lepiej rozwiązać ten problem już teraz, zostawia jąc kzina na Pierścieniu. A przy okazji także i Louisa, który raczej nie przyłożyłby ręki do podobnej nie godziwości.

Poza tym, obydwaj zbyt dużo wiedzieli. Teraz, kiedy Teela nie żyła, tylko Louis i Mówiący znali fakt dotyczące ingerencji laleczników w rozwój obydwu ras. Gwiezdne nasiona, Loteria Życia – jeżeli Nessu otrzymał rozkazy, żeby zbadać reakcję swych współtowarzyszy na te rewelacje, to z pewnością polecono mu również pozbyć się ich natychmiast po zakończeniu eksperymentu.

Nie były to wcale nowe myśli. Louis spodziewał się czegoś takiego od chwili, kiedy Nessus przyznał się do umyślnego sprowadzenia statku Zewnętrznych w okolice Procjona. Najgorsze było to, że mógł tylko bezczynnie siedzieć i czekać.

Chcąc czymś zająć galopujące w coraz bardziej szalonym tempie myśli, Louis włamał się do kolejne celi. Ustawił promień swego lasera na wąską średnicę i maksymalną moc i po niedługim czasie był już w środku.

Wraz z pierwszym oddechem poczuł straszliwy smród. Używając lasera oświetlił wnętrze – ktoś tuta umarł, dosyć długo po tym, jak przestała działać wentylacja. Ciało opierało się o okno, ściskając w dłon resztkę rozbitego dzbanka. Okno było nietknięte.

Kolejna cela okazała się pusta, więc Louis objął ją w posiadanie.

Następnie okrążył studnię, żeby dostać się do celi po przeciwnej stronie budynku. Z jej okna widział doskonale nieruchomy, wpatrzony w niego cyklon. Biorąc pod uwagę, że dzieliło go od niego co naj- mniej dwa i pół tysiąca mil, rozmiary cyklonu musiały budzić respekt. Wielkie, doskonale spokojne oko.

Zaniósł Mówiącemu wody w bucie – pierwszym pojemniku, jaki przyszedł mu na myśl. Wlał ją ostro-
żnie do półotwartych ust kzina. Mówiący przełknął ją i uśmiechnął się, nie odzyskując przytomności.
Louis ruszył po następny ładunek, ale zanim zdołał dotrzeć do skutera lalecznika, opuściły go i tak słu-
żące mu nadzwyczaj długo siły.

Zwinął się w kłębek na dachu którejś celi i zamknął oczy.

Bezpieczny. Wreszcie bezpieczny.

Powinien zasnąć od razu kamiennym snem. Coś jednak nie dawało mu spokoju.

Obolałe mięśnie, odciski na dłoniach i wewnętrznej powierzchni ud, strach przed upadkiem, który nie
opuszczał go nawet teraz... I coś jeszcze.

– Nieżas... – wymamrotał, siadając ze skrzyżowanymi nogami.

Mówiący?

Kzin spał ze stulonymi uszami, zwinięty w kłębek wokół dezintegratora Slavera. Oddychał szybko i
bardzo płytko. To dobrze, czy źle?

Nessus będzie wiedział. Na razie niech śpi.

– Nieżas – powtórzył pod nosem Louis.

Był sam, ale ta samotność nie miała nic z radosnej samotności Oderwań. Ciążyła na nim odpowiedzia-
lność za życie innych. Z kolei jego życie zależało od tego, czy Nessusowi uda się omotać tę szaloną kobie-
tę, która ich uwięziła. Nic dziwnego, że Louis nie mógł zasnąć.

A jednak...

Wzrok Louisa spoczął na jego skuterze i już tam pozostał.

Jego skuter, z przedziurawionymi, sflaczałymi balonami. Obok skuter kzina i sam kzin. Niżej skuter
lalecznika. I czwarty, bez balonów. C z t e r y skutery.

Za pierwszym razem, szukając gorączkowo wody, nie zwrócił na to uwagi. Skuter Teeli. Wcześniej
schował się pewnie za jednym z większych wraków. Bez balonów. Bez balonów...

Musiała wypaść, kiedy skuter odwrócił się do góry dnem.

Albo wyrzucił ją pęd powietrza, kiedy przy szybkości 2 Macha przestała działać bariera dźwięko-
chłonna.

Jak to powiedział Nessus? „Jest oczywiste, że jej szczęście nie jest niezawodne". A Mówiący: „Gdyby
jej szczęście zawiodło ją chociaż raz, już by nie żyła".

Już nie żyła. Z całą pewnością już nie żyła.

„Przyleciałam tu z tobą, bo cię kocham".

– Miałaś pecha – powiedział Louis Wu. – Miałaś pecha, że mnie w ogóle spotkałaś.

Po czym zwinął się w kłębek i zasnął.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał pochyloną nad sobą twarz Mówiącego-do-Zwierząt. To dzikie, wygłod-
niałe spojrzenie...

– Czy możesz jeść żywność pożeracza liści? – zapytał kzin. – Zdaje się, że tylko ja nie mam żadnego
źródła pożywienia.

To w y g ł o d n i a ł e spojrzenie... Louisowi włosy zjeżyły się na karku.

– Wiesz przecież, że masz – powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił. – Pytanie tylko, czy z niego
skorzystasz.

– Oczywiście, że nie. Jeżeli honor będzie ode mnie wymagał, żebym umarł z głodu, z pewnością tak
uczynię.

– To dobrze. – Louis odwrócił się na drugi bok i udał, że zasypia.

Kiedy obudził się kilka godzin później, wiedział, że jednak naprawdę zasnął. Widocznie jego pod-
świadomość miała do kzina pełne zaufanie. Skoro powiedział, że umrze z głodu, to umrze.

Czuł parcie na pęcherz. Czuł nieznośny smród. Czuł ból nadwerężonych mięśni. Lejowata studnia po-
mogła rozwiązać pierwszy problem. Następnie wodą ze skutera lalecznika zmył ze swego kombinezonu
zaschnięte wymiociny, po czym pokuśtykał do swego pojazdu po zestaw pierwszej pomocy.

Nie było to ot, takie sobie pudełeczko z lekarstwami. Zestaw potrafił sam przygotowywać niektóre
leki, a nawet diagnozować choroby. Został z niego tylko sczerniały, bezużyteczny pakunek.

Światło ciemniało coraz bardziej.

Cele z klapami w sufitach i małymi, przezroczystymi wizjerami. Louis położył się na brzuchu i zajrzał
przez jeden z nich: łóżko, dość niezwykłe urządzenia toaletowe... i światło dzienne, wpadające przez
okno.

– Mówiący! – zawołał Louis.

Dostali się do środka przez boczną ścianę przy użyciu dezintegratora. Okno, duże i prostokątne, sta-

– Wydaje mi się, że moja teoria jest znacznie bardziej prawdopodobna od twojej. Przypadkowy układ
chmur! No wiesz, Louis!

Mózg Louisa powoli zaczynał znowu funkcjonować.

– Wykreśl słowo „przypadkowy". Może budowniczowie Pierścienia umieścili je tutaj celowo, na
przykład dla ozdoby albo jako jakąś wskazówkę?

– Co miałaby, według ciebie, wskazywać?

– Nie wiem. Coś dużego. Wesołe miasteczko, albo archikatedrę. Może kwaterę Głównego Okulisty.

Biorąc pod uwagę technikę, jaką dysponowali, no i przestrzeń, to może być cokolwiek.

– Na przykład więzienie dla podglądaczy! – wtrąciła Teela, niespodziewanie przychodząc Louisowi
z pomocą. – Uniwersytet dla prywatnych detektywów! Obraz kontrolny największego odbiornika stere-
owizji we Wszechświecie! Bałam się przynajmniej tak samo, jak ty, Mówiący – powiedziała już norma-
lnym tonem. – Myślałam, że to... Sama nie wiem, co myślałam. Ale nie zostawię cię. Przelecimy przez
to razem.

– Znakomicie, Teelo.

– Jeżeli akurat wtedy mrugnie, zginiemy.

– Normę ustala zawsze większość – zacytował niezbyt dokładnie Louis. – Wezwę Nessusa.

– Na finagla, oczywiście! Przecież on już przez to przeleciał, albo dokoła tego.

Louis roześmiał się nieco głośniej niż zwykle. Bał się jak diabli.

– Chyba nie myślisz, że Nessus przeciera nam szlak?

– Hę?

– Przecież to lalecznik. Zatoczył olbrzymi łuk, zachodząc nas od tyłu, po czym prawdopodobnie
przełączył sterowanie na skuter Mówiącego. W ten sposób Mówiący z pewnością go nie złapie, a jedno-
cześnie ze wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie mogłyby go spotkać, najpierw m y musimy dać sobie
radę.

– Zdumiewa mnie twoja zdolność myślenia jak tchórz – powiedział kzin.

– Nie lekceważ tego. Znajdujemy się na obcym terenie. Nigdy nie wiadomo, kto ostatecznie będzie
miał rację.

– W porządku. Porozmawiaj z nim, skoro łączy was takie pokrewieństwo charakterów. Ja w każdym
razie lecę prosto w Oko. Muszę wiedzieć, co jest za nim. Albo w nim.

Louis połączył się z lalecznikiem.

*

Lalecznik znowu spał.

– Nessus – powiedział Louis. – Nessus! – powtórzył głośniej.

Skóra na grzbiecie lalecznika zadrżała nerwowo i pojawiła się zdziwiona, trójkątna głowa.

– Już myślałem, że będę musiał włączyć syrenę.

– Czy coś się stało? – Do pierwszej dołączyła druga głowa i obie rozejrzały się niespokojnie dookoła.

Louis nie był w stanie patrzeć w przyglądające mu się spokojnie błękitne oko. Odwrócił wzrok.

– Jeszcze nie, ale się stanie. Moi szaleni kompani mają zamiar popełnić samobójstwo. Nie jestem pe
wien, czy możemy im na to pozwolić.

– Wyjaśnij, proszę.

– Spójrz prosto przed siebie i powiedz mi, czy widzisz skupisko chmur w kształcie ludzkiego oka.

– Widzę.

– Czy wiesz, co to może być?

– Najprawdopodobniej jakaś burza. Coś w rodzaju cyklonu. Chyba domyślasz się, że na Pierścieni
nie mogą występować spiralne wiatry.

– Hę? – Louis nawet się nad tym nie zastanawiał.

– Wiatry spiralne, takie jak cyklony, powstają dzięki działaniu siły Coriolisa i różnicom w prędkoś
przemieszczania się mas powietrza na różnych wysokościach. Każda planeta jest obracającym się sfer
idem. Kiedy dwie masy powietrza dążą do miejsca, w którym powstała częściowa próżnia, ich siły czą
tkowe nanoszą je niejako na siebie i powstaje zjawisko wiru.

– Nessus, ja w i e m, jak powstają cyklony.

– A więc musisz też wiedzieć, że na Pierścieniu wszystkie masy powietrza poruszają się z dokładn
takimi samymi prędkościami. Żadnych wirów.

Louis spojrzał w kierunku przypominającej oko burzy.

– No, a wiatr? W ten sposób nie powstanie nawet najlżejszy podmuch. Nie będzie żadnego przepływ
mas powietrza.

– Nieprawda. Ciepłe powietrze będzie wznosić się w górę, a zimne opadać na dół. Ale takie zjawiska nie mogą być powodem tego, co widać przed nami.
– Słusznie.
– Co ma zamiar zrobić Mówiący?
– Przelecieć przez sam środek. A Teela chce lojalnie podążyć jego śladem.
Lalecznik zagwizdał tak cudownie czysto, jak czyste jest światło lasera rubinowego.
– To wydaje się niebezpieczne. Pola siłowe skuterów ochronią ich przed działaniem każdego zwy-czajnego wiatru. Ale ten wiatr nie jest zwyczajny...
– Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest to coś sztucznego.
– Tak... Inżynierowie musieli obmyśleć jakiś sposób na to, by wymusić cyrkulację powietrza. Ale taki system powinien przestać działać w momencie, gdy urwały się dostawy energii. Nie rozumiem... Aha. Już mam, Louis.
– Co takiego?
– Wyobraź sobie znajdujące się gdzieś w centrum burzy miejsce, w którym powietrze po prostu znika, pozostawiając po sobie częściową próżnię. Cała reszta jest już oczywista.
Masy powietrza suną do tego miejsca z przodu i z tyłu, patrząc w kierunku obrotów Pierścienia, dzię-ki...
– I z boków.
– To nieważne – zbył jego uwagę lalecznik. – Powietrze płynące „pod prąd" będzie odrobinę lżejsze, płynące „z prądem" cięższe.
Louis wysilał swoją wyobraźnię, ale bezskutecznie.
– Dlaczego?
– Powietrze obracające się wraz z Pierścieniem porusza się odrobinę szybciej, przez co ulega działa-iu minimalnie większej siły odśrodkowej. Jest po prostu cięższe. Opada.
To dolna powieka oka. Górną tworzy powietrze napływające „pod prąd". Oczywiście, tutaj także po-wstaje zjawisko wiru, ale jego oś jest pozioma, podczas gdy na każdej planecie byłaby pionowa.
– Tutaj to jest właściwie efekt uboczny.
– Uboczny i jedyny zarazem. Nie ma nic, co by go mogło powstrzymać. Zjawisko, które widzisz przed obą może trwać niezmienione nawet tysiące lat.
– Może i tak. – Oko wydawało się teraz jakby trochę mniej przerażające. Rzeczywiście, lalecznik miał rację: musiało być to coś w rodzaju cyklonu. „Powieki" były oświetlonymi przez słońce chmurami, aś „źrenica" – jego centrum.
– Jedyny problem to owo tajemnicze miejsce, w którym znika powietrze. Dlaczego tak się dzieje?
– Może pracuje tam cały czas jakaś pompa?
– Wątpię, Louis. Gdyby tak miało być w istocie, wszystkie ruchy powietrza w tej okolicy byłyby sta-nnie zaplanowane.
– Więc?
– Czy zwróciłeś uwagę na miejsca, w których materiał konstrukcyjny Pierścienia wyjrzał na światło zienne spod warstwy ziemi i skał? Z pewnością tak ogromne zjawiska erozyjne nie mogły być celowo planowane. Zauważyłeś, że takie miejsca spotykamy coraz częściej? Oddziaływanie Oka musiało za-kócić dystrybucję mas powietrza w promieniu wielu tysięcy mil, na powierzchni większej niż po-wierzchnia mojej czy twojej planety.
Tym razem to Louis gwizdnął przeciągle.
– Nieżas! No tak, rozumiem. W centrum tego cyklonu musi być krater po meteorycie.
– Właśnie. Rozumiesz, jakie to ma znaczenie – materiał konstrukcyjny Pierścienia nie jest jednak ezniszczalny.
– Dla nas, biorąc pod uwagę to, czym dysponujemy, jednak jest.
– Rzeczywiście. Tak czy tak, musimy sprawdzić, czy rzeczywiście jest tam otwór wybity przez meteo-t.
Niedawna panika wydawała się Louisowi już tylko na pół zapomnianym snem. Analityczny chłód wy-odu lalecznika podziałał krzepiąco i uspokajająco. Louis Wu spojrzał odważnie w olbrzymie oko i po-edział:
– W tej częściowej próżni powinno być po prostu czyste, spokojne powietrze. W porządku; przekażę dobrą wiadomość. Wszyscy przelecimy przez oko cyklonu.

*

Kiedy byli już blisko źrenicy, niebo nad nimi pociemniało. Czyżby zbliżała się noc? Trudno było to wierdzić. Gruba warstwa chmur czyniła ciemnym i ponurym nawet jasny, słoneczny dzień.

– Musimy zaczekać.
– Mam już dosyć tego czekania.
Niespodziewanie skuter lalecznika ruszył do przodu i w górę, żeby po chwili stuknąć w krawędź plat-formy obserwacyjnej niczym przybijająca do nabrzeża łódka.
Nessus zgrabie zeskoczył na brzeg.

*

Dziewczyna wyszła mu na spotkanie. To, co trzymała w lewej dłoni musiało być bronią, ale drugą ręką dotknęła jednej z jego głów i po chwili wahania pogładziła go delikatnie po karku.
Nessus wydał odgłos rozkoszy i zachwytu.
Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach. Nie spojrzała za siebie ani razu. Przyjęła pewnie, że Nessus ruszy za nią jak pies. Tak też uczynił.
Dobrze, pomyślał Louis. Bądź przymilny. Bądź grzeczny. Zdobądź jej zaufanie.
Kiedy odgłosy ich nieskoordynowanych stąpnięć znikły w oddali, w komorze więziennej zrobiło się cicho jak w opustoszałym grobowcu.
Skuter Mówiącego unosił się w odległości jakichś trzydziestu stóp. Spod zielonych balonów wyglądała zabandażowana dłoń i pomarańczowa twarz o zamkniętych oczach. Louis nie miał żadnej możliwości, żeby się do niego zbliżyć. Kzin mógł już od dawna nie żyć.
Wśród zalegających podłogę kości znajdował się przynajmniej tuzin czaszek. Kości, niemal namacalna starość, przerdzewiały metal i cisza. Louis trzymał się kurczowo swego skutera, czekając, kiedy opuszczą go siły.

*

Był pogrążony w płytkiej drzemce, kiedy poczuł, że coś się dzieje. Skuter zakołysał się...
Życie Louisa zależało od tego, czy uda mu się zachować równowagę. Jej chwilowe zachwianie wywołało u niego panikę. Rozejrzał się w popłochu dookoła, poruszając tylko oczami.
Nieruchome wraki otaczały go nadal ze wszystkich stron. Coś się jednak poruszało...
Jakiś pojazd zakołysał się, zajęczał i poleciał w górę.
Hę?
Nie. Wylądował na dachu jednej z cel. Jeden po drugim czyniły to kolejne wraki.
Skuter Louisa przekręcił się w jakimś zawirowaniu pola elektromagnetycznego i ciężko uderzył bokiem w twardą powierzchnię. Louis momentalnie zwolnił uchwyt zaciśniętych dłoni i odtoczył się o kilka stóp.
Próbował wstać na nogi, ale nie mógł. Nie potrafił zachować równowagi. Jego ręce były wykręconymi przez ból, bezużytecznymi szponami. Dysząc ciężko leżał na boku, myśląc, że i tak jest już pewnie za późno. Skuter kzina musiał przy lądowaniu zmiażdżyć wiszącego pod nim Mówiącego.
Leżał nawet niedaleko od niego, przewrócony na bok.
Dopełznięcie do niego zajęło Louisowi sporo czasu. Kzin oddychał, ale był nieprzytomny. Ciężar skutera nie złamał mu karku, prawdopodobnie dlatego, że Mówiący nie miał niczego w tym rodzaju. Louis z trudem wyciągnął zza paska laser i przekłuł więżące kzina balony.
I co teraz?
Przypomniał sobie, że umiera z pragnienia.
Jednocześnie jakby przestało mu się kręcić w głowie. Wstał i na glinianych nogach ruszył w poszukiwaniu jedynego pewnego źródła wody, jakie przychodziło mu w tej chwili na myśl.
Okazało się, że opadający w dół lej podłogi był utworzony przez koncentryczne, tworzące potężne schody kręgi cel. Mówiący i Louis wylądowali na czwartym kręgu, licząc od środka. Dwa pozostałe skutery leżały stopień niżej.
Czując, jak przy każdym kroku drżą mu nogi, Louis schodził po łączących sąsiadujące poziomy schodach. Jego mięśniom daleko było jeszcze do odzyskania zwykłej elastyczności.
Na widok tablicy przyrządów potrząsnął głową. Napisy i w ogóle jej wygląd były tak tajemnicze, że z pewnością nikt nie pokusiłby się o to, żeby ukraść lalecznikowi jego skuter. Jedyną oczywistą rzeczą była przezroczysta, giętka rurka.
Woda była destylowana, ciepła i miała jakiś dziwny smak. Przede wszystkim była cudowna.
Kiedy Louis ugasił już pragnienie, spróbował cegiełki z podajnika. Jej smak był już bardzo dziwny. Na wszelki wypadek postanowił jednak jej nie jeść. Mogła zawierać składniki zabójcze dla ludzkiego metabolizmu. Lepiej zapytać Nessusa.

może oznaczać. W pewnej chwili dziewczyna rzuciła Nessusowi pomarańczowy owoc; ustalili, że nazywa się „thrumb". Nessus zatrzymał go.

Nagle jego rozmówczyni wstała i wyszła.

– I co? – zapytał Louis.

– Pewnie znudziło jej się – powiedział Nessus. – W każdym razie, nic na ten temat nie powiedziała.

– Umieram z pragnienia. Czy mógłbym skosztować tego thrumba?

– „Thrumb" oznacza tylko kolor jego skóry, Louis.

Lalecznik skierował swój pojazd z powrotem do Louisa i wręczył mu owoc.

Louis odważył się na oswobodzenie tylko jednej ręki. Oznaczało to, że grubą skórę będzie musiał odedrzeć niemal wyłącznie przy użyciu zębów. Zrobił to, a potem wgryzł się w soczysty miąższ. Była to najsmaczniejsza rzecz, jaką od dwustu lat miał w ustach.

– Wróci? – zapytał, kiedy już prawie skończył.

– Miejmy nadzieję. Działałem taspem bardzo delikatnie, żeby uwarunkować ją na poziomie podświadomości. Będzie jej tego brakowało. Uzależnienie będzie się pogłębiało za każdym razem, kiedy mnie zobaczy. Louis, czy nie powinniśmy raczej skierować jej uczuć na ciebie?

– Nie ma nawet mowy. Ona myśli, że jestem tubylcem, dzikusem. Przy okazji nasuwa się pytanie, kim jest o n a?

– Nie wiem. Nie starała się tego ukryć, ale też nic na ten temat nie mówiła. Zresztą, jeszcze za słabo znam język. Przynajmniej na razie.

Rozdział XX

Mięso

Nessus wylądował, żeby zbadać dolną część pomieszczenia. Odcięty od interkomu Louis próbował zerkać w dół i zobaczyć, co robi lalecznik, ale po pewnym czasie zrezygnował.

Dużo później usłyszał kroki. Tym razem bez dzwoneczków.

– Nessus! – krzyknął, przyłożywszy do ust złożone dłonie.

Dźwięk odbił się kilkakrotnie od ścian, żeby skoncentrować się w dnie lejowatej studni. Lalecznik podskoczył, jednym susem zajął miejsce w swoim skuterze i wystartował, a właściwie poleciał w górę niczym bańka powietrza. Widocznie zostawił pracujący silnik, żeby przeciwstawić się działaniu pola, a teraz po prostu go wyłączył.

Kiedy kroki zatrzymały się nad nimi, unosił się, jakby nigdy nic, wśród metalowego śmiecia.

– Nieżas! Co ona robi? – wyszeptał Louis.

– Cierpliwości. Trudno, żeby uzależniła się całkowicie od jednego razu.

– Niechże wreszcie dojdzie do tych twoich pustych, bezmózgich głów, że nie dam rady utrzymywać równowagi w nieskończoność!

– Musisz. Jak mogę ci pomóc?

– Wody. – Louis nie był pewien, czy ma jeszcze w ustach język, czy raczej dwujardowy, zwinięty pas flaneli.

– Chce ci się pić? Ale jak mam ci podać wodę? Jeżeli odwrócisz głowę, możesz stracić równowagę.

– Wiem. Nie musisz mi przypominać. – Ciałem Louisa wstrząsnął dreszcz. To śmieszne, żeby stary wyga kosmiczny tak bardzo bał się wysokości. – Co z Mówiącym?

– Niepokoję się o niego. Już od dawna jest nieprzytomny.

– Nieżas...

Kroki.

Chyba cierpi na manię przebierania się, pomyślał Louis. Tym razem miała na sobie jakąś bogato pofałdowaną szatę w zielone i pomarańczowe plamy. Podobnie jak jej poprzednie stroje, tak i ten nie pozwalał nawet domyśleć się kształtu jej ciała.

Uklękła na skraju platformy obserwacyjnej, przyglądając się im z chłodną uwagą. Louis bez najmniejszego poruszenia czekał na dalszy rozwój wypadków.

Jej twarz złagodniała, oczy rozmarzyły się, a kąciki ust powędrowały do góry.

Nessus odezwał się jako pierwszy.

Zdawała się zastanawiać. Potem powiedziała coś, co można było uznać za odpowiedź.

Po czym wyszła.

– I co?

Oko od kącika do kącika liczyło sobie co najmniej sto mil długości, zaś jego wysokość wynosiła około czterdziestu mil. Teraz jego kontury wydawały się bardziej błękitne, niż białe. Mogli dostrzec pasma i zgrubienia rozwiewanych obłoków. Źrenica była w istocie tunelem utworzonym przez kłębiące się wiatry, niemniej jednak całość ciągle jeszcze wyglądała jak gigantyczne oko.

Lecieli prosto w oko Boga. Widok był wstrząsający, przerażający, niemal humorystycznie przerysowany. Louis był gotów jednocześnie śmiać się i krzyczeć z przerażenia. Lub zawrócić. Wystarczyłaby przecież jedna osoba, żeby sprawdzić, czy w podłodze Pierścienia rzeczywiście zieje czarny otwór. Louis mógłby okrążyć Oko dookoła i...

Byli już w środku.

Wlecieli w czarny korytarz, rozświetlony uderzającymi właściwie bez przerwy błyskawicami. Dokoła nich powietrze było doskonale spokojne. Poza obszarem źrenicy kłębiły się spienione niczym fale chmury, wirując szybciej, niż najpotężniejszy cyklon.

– Pożeracz liści miał rację – ryknął Mówiący-do-Zwierząt. – To po prostu burza.

– Najzabawniejsze, że jako jedyny nie wpadł w panikę kiedy to zobaczył! – odwrzasnął Louis. – Widocznie lalecznicy nie są przesądne.

– Widzę coś! Z przodu! – krzyknęła Teela.

Dziura w podłodze tunelu. Louis wyszczerzył zęby w nerwowym uśmiechu i delikatnie położył dłonie na sterach. Nad tą dziurą mogło nieźle rzucać.

Był teraz zdecydowanie mniej spięty i zdenerwowany niż w chwili, kiedy wlatywali do Oka. Co mogło mu grozić w miejscu, którego nie bał się nawet lalecznik?

Chmury i błyskawice otaczały ich coraz ciaśniejszymi kręgami.

Wyhamowali i zawiśli nad otworem, ciągiem silników przeciwstawiając się wsysającej ich weń sile. Stłumiony dźwiękochłonnymi barierami ryk cyklonu żelazną obręczą ściskał im głowy.

Zupełnie, jakby zaglądali w otwór komina. Oczywiście, niknęło w nim powietrze, ale czy było po prostu wypompowywane, czy też może wysysane i wyrzucane w czyhającą po drugiej stronie cienkiej wstążki Pierścienia próżnię? Niewiele mogli zobaczyć...

Louis nie zauważył, kiedy Teela skierowała swój skuter w dół. Znajdowała się zbyt daleko od niego, migoczące, upiorne światło było zbyt niezwykłe, a on patrzył akurat prosto w czarny otwór komina. Dostrzegł co prawda niknącą w nim, srebrzystą iskierkę, ale nie zwrócił na to żadnej uwagi.

Dopiero później usłyszał przytłumiony, przeraźliwy krzyk Teeli.

Obraz jej twarzy przekazywany przez interkom był czysty i wyraźny. Teela patrzyła w dół i była przerażona.

– Co się stało? – ryknął.

Z trudem dosłyszał jej odpowiedź:

– ... ma mnie!

Spojrzał ponownie w dół.

W wypełniającej otwór komina pustce panował zupełny spokój, wściekle wirowały tylko jej krawędzie. Rozświetlał ją dziwny blask, mający swe źródło nie w wyładowaniach elektrycznych, ale w katodowych efektach powstających dzięki różnicom potencjałów w niemal zupełnej próżni. Na samym dole migotało coś... jakby iskra, która mogła być skuterem, gdyby znalazł się ktoś na tyle głupi, żeby dać nura w ryczący maelstorm tylko po to, by przyjrzeć się z bliska dziurze, za którą przecież mogła znajdować się tylko pustka.

Louis poczuł, że ogarnia go jakiś nieprawdopodobny bezwład. Nic już nie można było zrobić. Nic. Odwrócił wzrok.

Nad tablicą przyrządów zobaczył twarz Teeli. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w coś potwornego. Z nosa ciekła krew.

Przerażenie powoli ustępowało z twarzy dziewczyny, pozostawiając po sobie trupioblady spokój. Lada moment mogła zemdleć. Anoksja? Bariera dźwiękochłonna nie wypuściłaby powietrza ze swojego wnętrza, ale najpierw trzeba ją było włączyć.

Półprzytomne oczy Teeli patrzyły prosto w Louisa Wu. Zrób coś, błagały. Zrób coś.

Jej głowa opadła bezwładnie na tablicę przyrządów.

Louis czuł w ustach smak krwi. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że niemal odgryzł sobie dolną wargę. Spojrzał w dół, w oświetloną neonowym blaskiem gardziel komina, przypominającą powiększony do monstrualnych rozmiarów wir, powstający w wannie podczas spuszczania wody. Dostrzegł srebrną iskierkę, która musiała być skuterem Teeli...

... skręcającą nagle w bok i wbijającą się z ogromną siłą w wirującą ścianę komina.

Kilka sekund później daleko przed nim, już poza Okiem, pojawiła się przesuwająca się z olbrzymią prędkością smuga kondensacyjna. Ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że jest to skuter Teeli.

– Co się stało? – doszedł go głos kzina.

Louis potrząsnął tylko głową, był jak ogłuszony. Miał wrażenie, jakby w jego obwodach logicznego myślenia nastąpiło nagle zwarcie, uniemożliwiając przeprowadzenie najprostszego nawet rozumowania.

Obraz nad jego tablicą przyrządów pokazywał jedynie opuszczoną głowę i czarne włosy Teeli. Była nieprzytomna w pędzącym na oślep z dwukrotną prędkością dźwięku skuterze. Coś trzeba zrobić, ale co?...

– Przecież ona miała umrzeć, Louis. Czyżby Nessus uruchomił jakieś ukryte urządzenie sterownicze?

– Nie. Chciałbym, żeby tak było, ale... Nie.

– A ja uważam, że właśnie tak się stało – oznajmił Mówiący-do-Zwierząt.

– W i d z i a ł e ś, co się stało! Zemdlała, uderzyła głową w tablicę przyrządów i jej skuter wystrzelił w bok, jakby goniło go tysiąc diabłów! Po prostu odblokowała czołem stery, a jej ciało pchnęło drążek w odpowiednią stronę.

– Nonsens.

– Aha... – Louis marzył tylko o tym, żeby zasnąć i przestać myśleć...

– Zastanów się nad prawdopodobieństwem, Louis. – Kzin dopiero wtedy zrozumiał i szczęka opadła mu ze zdumienia. Dopiero po dłuższej chwili zdobył się na to, żeby wykrztusić – Nie. To niemożliwe.

– Aha... – powtórzył Louis.

– Przecież nie byłaby tu z nami. Nessusowi nigdy nie udałoby się jej odnaleźć. Zostałaby na Ziemi.

Uderzyła kolejna błyskawica, oświetlając długi, wirujący tunel. Cienka, prosta linia wskazywała ślad przelotu skutera Teeli. Sam skuter zniknął już w oddali.

– A przede wszystkim, nigdy nie spotkałaby nas ta katastrofa!

– Właśnie się nad tym zastanawiam.

– Może lepiej zacznij się zastanawiać nad tym, jak ocalić jej życie.

Louis skinął głową. Bez specjalnego pośpiechu wcisnął przycisk wzywający Nessusa – kzin nigdy by tego nie zrobił.

Lalecznik odpowiedział niemal od razu, jakby cały czas czekał na sygnał. Louis ze zdziwieniem zauważył, że kzin nie wyłączył swojego interkomu. W skrócie opowiedział Nessusowi, co się stało.

– Wygląda na to, że obydwaj nie mieliśmy racji co do Teeli – stwierdził lalecznik.

– Właśnie.

– Leci na dopalaczu. Niemożliwe, żeby włączyła go uderzeniem głową. Właściwie, w ogóle nie można go przypadkowo włączyć.

– A gdzie go się włącza? – zapytał Louis. Kiedy lalecznik pokazał mu, mruknął – Mogła wsadzić tam palec po prostu z ciekawości, żeby zobaczyć, co się stanie.

– Naprawdę?

– Co możemy teraz zrobić? – wtrącił się Mówiący-do-Zwierząt.

– Dajcie mi znać, kiedy odzyska przytomność – powiedział Nessus. – Pokażę jej, jak ma zmniejszyć prędkość i wrócić do nas.

– A tymczasem?

– Tymczasem możemy tylko czekać. Istnieje niebezpieczeństwo, że może przeciążyć silnik. Dopóki jednak leci, skuter sam będzie omijał przeszkody, z pewnością nigdzie się nie rozbije. Oddala się od nas z prędkością około 4 Macha. Jedynym niebezpieczeństwem, jakiego można by się obawiać jest anoksja, ale ja jestem pewien, że nic jej nie grozi.

– Dlaczego? Przecież anoksja może doprowadzić do uszkodzenia mózgu.

– Teela ma na to zbyt wiele szczęścia – odparł lalecznik.

Rozdział XVIII

Przypadki Teeli Brown

Była głęboka noc, kiedy wreszcie znaleźli się po drugiej stronie Oka. Nie mogli dostrzec nawet jednej gwiazdy, ale przez nieliczne dziury w pokrywie chmur docierał do nich od czasu do czasu błękitny poblask Łuku Nieba.

– Zmieniłem zdanie – oznajmił Mówiący-do-Zwierząt. – Jeżeli chcesz, Nessus, możesz do nas wrócić.

Nie widziałeś jej. Była zimna jak lodowe jaskinie Plutona, przynajmniej, jeśli chodzi o moją osobę. Szczerze mówiąc, wcale jej się nie dziwię. – Widziała przecież, jak zwracam swój ostatni posiłek. Taki widok trudno uznać za romantyczny.

– Będzie szczęśliwa za każdym razem, kiedy na nas spojrzy – powiedział Nessus. Przebywając gdzie indziej będzie czuła, że czegoś jej brak. Jeżeli zbliży się do któregoś z nas, jej szczęście wzrośnie...

– Nieżas! – wykrzyknął Louis. – Oczywiście!

– Rozumiecie? To dobrze. A tak przy okazji: w międzyczasie uczyłem się trochę miejscowego języka. Zdaje się, że moja wymowa i gramatyka są prawie bez zarzutu. Gdybym tylko wiedział, co znaczą słowa, którymi się posługuję...

*

Mówiący już nawet przestał się skarżyć. Przez pewien czas miotał na Louisa i Nessusa obelgi za to, że nie mogą mu pomóc. Ale od dosyć dawna zachowywał się zupełnie cicho.

Louis znowu drzemał.

Przez sen usłyszał jakieś dzwonki i momentalnie się obudził.

Schodziła po schodach, brzęcząc zawieszonymi u sandałów dzwoneczkami. Tym razem miała na sobie długą suknię z kilkoma odstającymi, dużymi kieszeniami. Długie, czarne włosy zwieszały się na jedno ramię.

Tylko spokojne dostojeństwo jej twarzy nie zmieniło się ani trochę.

Usiadła na platformie, zwieszając nogi nad przepaścią i spojrzała na Louisa Wu. Nie poruszała się, podobnie Louis. Przez kilka nie kończących się minut patrzyli sobie prosto w oczy.

Potem sięgnęła do jednej z kieszeni i wyjęła coś wielkości zaciśniętej pięści i koloru pomarańczy. Rzuciła to w kierunku Louisa, tak, żeby przeleciało kilka cali poza zasięgiem jego ramion.

Louis poznał, co to było: soczysty owoc, taki sam, jakich kilka znalazł dwa dni temu na jakimś krzaku. Załadował je do pojemnika regeneratora żywności, nie sprawdzając nawet, jak smakują.

Owoc rozbryznął się czerwoną plamą na dachu jednej z cel. W tej samej chwili Louis utopił się we własnej ślinie i poczuł nieprawdopodobne, obezwładniające pragnienie.

Rzuciła mu następny. Tym razem przeleciał bliżej, tak, że mógłby go dosięgnąć. Ale przewróciłby przy tym skuter. A ona doskonale o tym wiedziała.

Trzeci owoc pacnął go prosto w plecy. Przywarł mocniej do skutera, zastanawiając się ponuro, co też go jeszcze czeka.

W polu widzenia pojawił się skuter lalecznika.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

Nessus ukrywał się do tej pory za potężnym wrakiem powietrznej ciężarówki. Teraz, odwrócony znowu do góry nogami, podpłynął do Louisa, jakby przyniesiony przypadkowym prądem powietrza.

– Możesz ją uwieść? – zapytał szeptem.

Louis prychnął z wściekłością, ale w porę zdał sobie sprawę, że lalecznik nie kpi, tylko pyta zupełnie serio.

– Nie ma mowy – odpowiedział. – Ona myśli, że jestem jakimś zwierzęciem.

– W takim razie musimy spróbować odmiennej taktyki.

Louis oparł czoło o chłodny metal. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie podle.

– Spróbuj ty – powiedział. – Mnie na pewno nie uzna za równego sobie, może z tobą będzie inaczej. Nie będzie się z tobą porównywać, za bardzo się od niej różnisz.

Skuter lalecznika był już kilka stóp od niego. Nessus powiedział coś głośno w języku, w którym mówił ogolony dyrygent chóru: w świętym języku Inżynierów.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale... No, trudno to było nazwać uśmiechem, w każdym razie kąciki jej ust uniosły się lekko ku górze, zaś w oczach pojawiła się iskierka ożywienia.

Nessus zaczął od małej mocy. Od b a r d z o małej mocy.

Odezwał się ponownie i tym razem uzyskał odpowiedź. Jej głos był chłodny i melodyjny, zaś jeśli dla Louisa brzmiał zimno i władczo, to nie stanowiło to dla niego zaskoczenia, bo właśnie czegoś takiego się spodziewał.

Głos lalecznika momentalnie upodobnił się do głosu dziewczyny.

Po czym nastąpiła lekcja języka.

Nie było szans, żeby dla Louisa, balansującego niepewnie nad koszmarną przepaścią, ta lekcja nie była po prostu nudna. Od czasu do czasu wychwytywał jakieś słowo, nie mając oczywiście pojęcia, co

Ma na sobie... Nie powiem, żeby mi się podobało. Na dole do kolan, na górze do łokci, baloniaste... - Ale to chyba niezbyt interesujące dla kzina i lalecznika. – Materiał z całą pewnością sztuczny. Albo iowy, albo niezwykle trwały i wytrzymały... – Louis przerwał, bowiem dziewczyna coś powiedziała.

Czekał. Powtórzyła, cokolwiek to było – niezbyt długie zdanie.

Po czym wstała z wdziękiem i wyszła.

– Poszła sobie. Pewnie zaczęło jej się nudzić.

– Albo wróciła do swoich urządzeń podsłuchowych.

– Możliwe. – Jeżeli ów podsłuchiwacz znajdował się w tym budynku, to brzytwa Ockhama kazała orzyjąć, że była nim właśnie ona.

– Nessus mówi, żebyś ustawił laser na małą moc i szeroki zasięg i użył go jako reflektora, kiedy ta kobieta wróci. Ja mam nie pokazywać dezintegratora. Kobieta najprawdopodobniej może nas zabić jednym ruchem palca. Nie może zobaczyć u nas żadnej broni.

– Więc jak mamy pozbyć się tych automatycznych czujników?

Odpowiedź kzina nadeszła z kilkusekundowym opóźnieniem.

– Nie będziemy się ich pozbywać. Nessus mówi, że spróbujemy czegoś innego. Ma zamiar tu się zjawić.

Louis pozwolił swojej głowie opaść swobodnie na chłodną, metalową powierzchnię. Ulga, jaką poczuł była tak wielka, że nie był w stanie się odezwać, dopóki nie doszły go słowa kzina:

– Wszyscy trzej znajdziemy się w jednej pułapce. Louis, jak mam go od tego odwieść?

– Powiedz mu to. Albo nie, nie rób tego. Gdyby nie był pewien, że to bezpieczne, nigdy by tak nie postąpił.

– Ale jak to może być bezpieczne?

– Nie wiem. Daj mi odpocząć.

Lalecznik z pewnością wie, co robi. Nie pozostało im nic innego, jak zaufać jego tchórzostwu. Louis oparł policzek na gładkiej powierzchni...

*

Zapadł w drzemkę.

Jego podświadomość cały czas pamiętała, gdzie jest i w jakim położeniu. Przy najlżejszym poruszeniu skutera natychmiast szeroko otwierał oczy. Jego sen bardziej przypominał jakiś nieprawdopodobny koszmar, niż cokolwiek innego.

Kiedy rozbłysło światło, od razu się obudził.

Światło wpadało przez szeroki, poziomy otwór, służący tutaj za drzwi. W rażącym oczy blasku do wnętrza majestatycznie wpłynął odwrócony do góry nogami skuter lalecznika. Jego właściciel wisiał głowami na dół, utrzymując się w fotelu bardziej przytrzymywany przez specjalną uprząż, niż dzięki balonom.

Drzwi zamknęły się.

– Witamy – wycedził Mówiący-do-Zwierząt. – Możesz odwrócić mnie głową do góry?

– Na razie nie. Czy dziewczyna pojawiła się po raz drugi?

– Nie.

– Przyjdzie. Ludzie są bardzo ciekawscy, Mówiący. Z pewnością nigdy przedtem nie widziała ani mnie, ani ciebie.

– I co z tego? Już mam dosyć tego wiszenia! – jęknął kzin.

Lalecznik dotknął jakiegoś przycisku na tablicy przyrządów swojego skutera i stał się cud: maszyna ustawiła się w normalnym położeniu.

– Jak? – zapytał tylko Louis.

– Kiedy tylko przejęli kontrolę nad skuterem, wyłączyłem wszystko, co dało się wyłączyć. Nawet gdyby pole elektromagnetyczne nie złapało mnie, zawsze zdążyłbym w ostatniej chwili włączyć silniki. Teraz wszystko powinno się udać. Kiedy dziewczyna znowu tutaj przyjdzie, zachowujcie się przyjaźnie. Louis, możesz mieć z nią stosunek seksualny, jeśli sądzisz, że mogłoby to nam w czymś pomóc. Mówiący, Louis jest naszym panem, a my jego służącymi – kobieta może cierpieć na ksenofobię. Jeżeli zobaczy, że te niezwykłe istoty słuchają jednak rozkazów człowieka, może być bardziej przychylna.

Louis zupełnie szczerze roześmiał się. Koszmarny półsen dał mu jednak odrobinę niezbędnego wypoczynku.

– Nie sądzę, żeby miała okazać się w jakikolwiek sposób przychylna, nie mówiąc już o czymś więcej.

– Chcę – powiedział lalecznik.

– Potrzebujemy twojego sposobu myślenia. Musisz jednak wiedzieć, że nigdy nie zapomnę tego, c twoja rasa uczyniła mojej.

– Nie mam najmniejszego zamiaru ingerować w twoją pamięć.

Louis ledwie zwrócił uwagę na to zwycięstwo praktycznego podejścia do życia nad poczuciem dumy rozumu nad ksenofobią. Wypatrywał oczy w poszukiwaniu smugi kondensacyjnej pozostawionej prze skuter Teeli, ale nie mógł jej już nigdzie dostrzec.

Teela ciągle była nieprzytomna. Jej głowa poruszyła się lekko, ale Louisowi, mimo ponawianych cią gle prób, nie udało się uzyskać nic więcej.

– Myliliśmy się co do niej – powiedział Nessus. – Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego. Dlaczego na sza wyprawa zakończyła się katastrofą, jeżeli jej szczęście jest aż tak potężne?

– To samo mówiłem Louisowi!

– Gdyby jednak jej szczęście nie miało żadnej mocy – kontynuował lalecznik – to jak wyjaśnić wła czenie dopalacza? Uważam, że od samego początku miałem rację: Teela Brown ma szczęście, które na leży rozpatrywać w kategoriach dziedzicznych zdolności psychicznych.

– W takim razie, dlaczego udało ci się ją zwerbować? Dlaczego „Kłamca" uległ katastrofie? Odpo wiedz!

– Uspokójcie się – spróbował przerwać im Louis. Nie zwrócili na jego słowa żadnej uwagi.

– Najwidoczniej jej szczęście nie jest całkowicie niezawodne – odparł Nessus.

– Gdyby zawiodło ją choć raz, byłaby już martwa.

– Gdyby była martwa lub ranna, nie wziąłbym jej na wyprawę. Musimy pozostawić trochę miejsc przypadkowi. Nie zapominaj, Mówiący, że rachunek prawdopodobieństwa uznaje istnienie czegoś t kiego, jak przypadek.

– Ale nie czegoś takiego, jak czary. Nigdy nie uwierzę w dziedziczenie szczęścia.

– Będziesz musiał – stwierdził po prostu Louis. Tym razem usłyszeli, mógł więc mówić dalej – Pow nienem był domyśleć się tego dużo wcześniej. Nie dlatego, że omijały ją wszelkie nieszczęścia. Chod o różne drobnostki w jej osobowości. Ona naprawdę ma szczęście, Mówiący. Uwierz w to.

– Louis, jak możesz opowiadać takie bzdury?

– Nigdy nie stała się jej żadna krzywda. Nigdy.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Wiedziała wszystko o przyjemności, nic o bólu. Pamiętasz, co powiedziała, kiedy zaatak wały cię słoneczniki? Zapytała, czy widzisz. „Jestem ślepy", odpowiedziałeś. A ona na to: „Tak, ale c *widzisz?*" Nie uwierzyła ci.

Albo zaraz po katastrofie. Próbowała wejść na bosaka na zbocze dymiącej lawy.

– Po prostu nie jest zbyt inteligentna, Louis.

– Nieżas, właśnie, że jest! Po prostu nie wie, co to ból! Kiedy oparzyła sobie stopy, zbiegła na dół powierzchni tysiąc razy bardziej śliskiej od lodu i nie upadła!

Zresztą, nie trzeba aż takich szczegółów. Wystarczy, że popatrzysz, jak chodzi. Niezgrabnie. Spraw wrażenie, jakby lada moment miała upaść. Ale nie upada. Nie rozbija sobie łokci. Niczego nie upuszc ani nie rozlewa. Nigdy tego nie robiła. Po prostu nie wiedziała, że tak można, rozumiesz? Nie potrzeb je więc wcale być zgrabna i delikatna.

– U stworzeń innych, niż ludzie to, co mówisz nie byłoby wcale takie oczywiste – powiedział z pow tpiewaniem Mówiący-do-Zwierząt. – Wierzę ci na słowo, Louis. Ale jak mam uwierzyć w dziedzicz szczęście?

– Ja wierzę. Muszę.

– Gdyby jej szczęście było niezawodne – wtrącił Nessus – to przede wszystkim nigdy nie próbowała nawet chodzić po gorącej lawie. A jednak od czasu do czasu jej szczęście bierze nas pod swoje skrzyd Pocieszające, nieprawdaż? Już dawno nie żylibyście, gdyby akurat nad polem słoneczników nie rozc gała się gęsta pokrywa chmur.

– Właśnie – potwierdził Louis. Ale chmury rozstąpiły się na tyle, by słoneczniki zdążyły dotkliwie parzyć kzina. W Niebie Teela jechała sobie wygodnie ruchomymi schodami, podczas gdy Louis mus iść na piechotę. Jego dłoń, podobnie jak dłoń kzina, była jeszcze zabandażowana, natomiast jedy szkodą, jakiej doznała Teela była dziura w bagażniku jej skutera.

– Jej szczęście chyba jednak lepiej chroni ją, niż nas – powiedział.

– To chyba oczywiste. Wydajesz się czymś zmartwiony, Louis.

– Może i jestem... – przyjaciele Teeli dawno już przestali opowiadać jej o swych kłopotach. Teela

rozumiała, co to w ogóle jest. Wytłumaczyć jej, czym jest ból byłoby równie trudno, co wyjaśnić niewidomemu, co to jest kolor.

Nagłobieg serca? Teela nigdy nie przeżywała rozterek miłości. Mężczyzna, którego chciała, przychodził do niej, był, aż się nim znudziła, potem odchodził.

Od czasu do czasu dzięki swym nadzwyczajnym zdolnościom Teela stawała się… trochę inna od reszty ludzi. Była ciągle kobietą, rzecz jasna, ale dysponującą niezwykłą siłą, odmiennymi zdolnościami i słabościami… I taką właśnie kobietę Louis kochał. Dziwne.

– Ona też mnie kochała – mruknął Louis. – Bardzo dziwne. Nie jestem przecież w jej typie. A jeśli mnie nie kochała, to…

– Słucham? Louis, mówisz do mnie?

– Nie, Nessus. Mówię do siebie… – Jaka była prawdziwa przyczyna, dla której zdecydowała się przyłączyć do Louisa Wu i jego pstrokatej załogi? Zagadka gmatwała się coraz bardziej. Czyżby jej niespotykane szczęście kazało jej zakochać się w nieodpowiednim mężczyźnie, wziąć udział w męczącej i niebezpiecznej wyprawie, podczas której w każdej chwili groziła jej śmierć? To nie miało żadnego sensu.

Nad tablicą przyrządów dostrzegł jakieś poruszenie. Teela ocknęła się i uniosła głowę. Spojrzała, nic nie rozumiejąc… i jej oczy wypełniły się przerażeniem. Patrzyła w dół. Na jej ślicznej twarzy pojawiło się ohydne znamię szaleństwa.

– Spokojnie – powiedział uspokajającym tonem Louis. – Tylko spokojnie. Odpręż się. Wszystko w porządku.

– Ale… – wyskrzeczała nie swoim, wysokim głosem.

– Wyszliśmy już z tego. Zostało daleko za nami. Obejrzyj się.

Odwróciła głowę. Przez długą chwilę Louis widział tylko zmierzwione, czarne włosy. Kiedy pojawiła się znowu, jej twarz była już znacznie bardziej opanowana.

– Nessus, powiedz jej.

– Od ponad pół godziny lecisz z czterokrotną prędkością dźwięku – odezwał się lalecznik swoim łagodnym głosem. – Musisz wyhamować. Włóż palec wskazujący do otworu oznaczonego kolorem zielonym…

Chociaż ciągle przerażona, mogła przynajmiej wykonywać polecenia.

– Teraz musisz wrócić do nas. Oddaliłaś się po olbrzymim łuku. Ponieważ nie masz odpowiednich przyrządów, będziesz musiała stosować się cały czas do moich wskazówek. Na razie wykręć w kierunku przeciwnym do ruchu obrotowego Pierścienia.

– To znaczy, w którą stronę?

– Skręcaj w lewo tak długo, aż zobaczysz przed sobą podstawę Łuku.

– Nie widzę go. Muszę wznieść się nad chmury. – Sprawiała wrażenie, jakby już całkiem wróciła do formy.

A jednocześnie bardzo się bała! Louis nigdy w życiu nie widział kogoś aż tak przerażonego. A już szczególnie Teeli.

Czy w o g ó l e widział kiedyś przerażoną Teelę?

Rzucił krótkie spojrzenie przez ramię. Ziemia była niewidoczna w ciemności, ale Oko, błękitne w błękitnej poświacie Łuku Nieba spoglądało na nich w skupieniu, lecz bez najmniejszego nawet śladu gniewu.

*

Louis był głęboko pogrążony w myślach, kiedy jakiś głos wypowiedział jego imię.

– Tak? – ocknął się.

– Nie jesteś zły?

– Zły? – powtórzył z zastanowieniem. Właściwie to, co zrobiła według normalnych kryteriów należałoby ocenić jako szaleństwo i monstrualną głupotę. Spróbował wywołać w sobie gniew, tak jak próbuje się wywołać stary, zapomniany ból zęba. Nic z tego.

Postępowania Teeli Brown nie można było oceniać według normalnych kryteriów.

Ząb był martwy.

– Chyba nie. A właściwie, co tam zobaczyłaś?

– Mogłam zginąć – powiedziała z narastającym gniewem Teela. – Nie potrząsaj nade mną głową, Louis. Mogłam zginąć! Nic cię to nie obchodzi.

– A ciebie?

Odrzuciła głowę, jakby właśnie ją spoliczkował. Dostrzegł jeszcze ruch jej dłoni – i zniknęła.

W chwilę później zjawiła się z powrotem.

pchał go do przodu, zajmując zwalniającą się przestrzeń. Louis schował pośpiesznie laser za pas i chwycił mocno dłońmi flaczejącą powłokę.

Poczuł, że wyślizguje się z fotela… zacisnął kurczowo palce… a w chwilę później wisiał już na rękach pod skuterem, nad otwierającą się pod nim dziewięćdziesięciostopową przepaścią.

– Mówiący!

– Jestem, Louis. Mam dezintegrator. Przekłuć drugi balon?

– Tak! – Inaczej nigdy nie uda mu się przedostać na wierzch, a właściwie na spód skutera.

Balon nie zapadał się, jak pierwszy, lecz po prostu zamienił się w obłok nieważkiego pyłu. Kzin nie pożałował mu ładunku.

– Na łapy finagla! – mruknął Louis. – Dobrze, że wcelowałeś. – I zaczął się wspinać.

Po powłoce balonu szło mu nawet nie najgorzej. Czytaj: mimo spędzenia kilku godzin w pozycji głową na dół Louisowi udało się nie spaść. Prawdziwe kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy dotarł do samego skutera. Nie bardzo miał jak na niego wejść, tym bardziej że maszyna przechyliła się wyraźnie w jego stronę.

Przycisnął się do skutera najbliżej, jak mógł, obejmując jego konstrukcję rękami i nogami, po czym zaczął nim kołysać.

Mówiący-do-Zwierząt wydawał jakieś zdumione odgłosy.

Skuter zabujał się w przód i w tył, więcej, jeszcze więcej. Louis przyjął założenie, że większość metalowych części znajdowała się w spodniej stronie pojazdu. Gdyby było inaczej, skuter przekręcałby się tylko bezustannie z boku na bok, nie zajmując na dłużej żadnej ustabilizowanej pozycji. Poza tym, Nessus chyba nie zaproponowałby wtedy swego ryzykownego planu…

Skuter kołysał się niczym pełnomorski jacht podczas sztormu. Louis czuł wzbierające nudności. Gdyby teraz zaczął wymiotować i zakrztusiłby się raz czy drugi, byłoby po nim.

Jeszcze jedno wahnięcie i maszyna wykonała wreszcie pełny obrót, potem zatoczyła się na bok, jeszcze raz, znowu obrót, jeszcze jeden…Louis, rozpłaszczony niczym żaba zakrztusił się i stracił – co? Wczorajsze śniadanie? Nieważne. Wymiotował z twarzą przyciśniętą do gładkiej, metalowej powierzchni. Nie przesunął się nawet o jeden cal.

Skuter kołysał się jeszcze trochę, ale znajdował się już w normalnym położeniu. Louis odważył się spojrzeć w górę.

Przyglądała mu się kobieta.

Wydawała się zupełnie łysa. Rysy jej twarzy przypominały Louisowi ową drucianą rzeźbę wiszącą w sali bankietowej Nieba. Rysy twarzy, a także jej wyraz. Była spokojna jak bogini lub nieboszczyk. A on marzył tylko o tym, żeby się gdzieś schować.

– Mówiący, jesteśmy obserwowani – powiedział zamiast tego. – Przekaż Nessusowi.

– Chwileczkę, Louis. Muszę dojść do siebie. Popełniłem błąd i przyglądałem się twojej wspinaczce.

– W porządku. Ona jest… Myślałem, że jest zupełnie łysa, ale nie. Ma wąski pasek długich włosów, sięgających prawie do ramion. – Nie powiedział, że te włosy są gęste i kruczoczarne i że opadają jej na jedno ramię, kiedy pochylała głowę, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Nie powiedział też, że ma delikatną, pięknie ukształtowaną czaszkę, ani że jej oczy przeszywają go niczym oliwkę zanurzoną w martini.

– Myślę, że jest Inżynierem. Albo należy do tej rasy, albo hołduje tym samym zwyczajom. Masz to wszystko?

– Tak. Gdzie nauczyłeś się tak wspinać? Zupełnie, jakby przestała działać siła ciężkości. Kim jesteś, Louis?

Louis, przyciśnięty kurczowo do wraku swego skutera, zaśmiał się na głos. Pochłonęło to resztę jego sił.

– Jesteś wyznawcą religii Kdapta-kaznodziei – powiedział. – Przyznaj się.

– Wychowywano mnie w tej wierze, ale nauki nie trafiły mi do przekonania.

– Jasne. Masz łączność z Nessusem?

– Tak. Użyłem syreny.

– Więc przekaż mu: jest jakieś dwadzieścia stóp nade mną. Przygląda mi się, jakbym był wężem. Nie twierdzę, że jest mną zainteresowana, twierdzę, że nie interesuje jej n i c poza mną. Mruga, ale nawet na moment nie odwraca wzroku.

Siedzi w czymś w rodzaju przeszklonej budki. To znaczy, kiedyś przeszklonej. Teraz to po prostu ogrodzona platforma. Siedzi na podłodze z przewieszonymi nogami. Pewnie stamtąd zawsze obserwowano więźniów.

– Znam tylko kierunek. Źródło zakłóceń znajduje się w waszym najbliższym sąsiedztwie. Niewykluczone, że bezpośrednio nad wami.

Louis spróbował spojrzeć w górę. Bez powodzenia. Między nim a sufitem znajdowały się dwa nadmuchane balony i podwozie skutera.

– A więc jednak znaleźliśmy cywilizację Pierścienia – powiedział na głos.

– Cywilizowana istota naprawiłaby trzeci automat, ten w waszym pomieszczeniu. Najważniejsze więc będzie... Muszę się zastanowić.

I lalecznik rozśpiewał się Beethovenem, a może Beatlesami – w każdym razie czymś klasycznym. O ile Louis mógł się zorientować, potem zaczęły się już jego własne wariacje.

Kiedy Nessus powiedział „muszę się zastanowić", rozumiał to jak najbardziej dosłownie. Muzyka rozbrzmiewała, zdawałoby się, bez końca. Louisowi chciało się pić. I jeść. I bolała go głowa.

Już kilka razy zdążył zupełnie stracić nadzieję, kiedy lalecznik wreszcie przemówił:

– Wolałbym co prawda użyć dezintegratora Slavera, ale trudno. Louis, to będzie zadanie dla ciebie. Jesteś potomkiem naczelnych i lepiej od kzina dasz sobie radę ze wspinaczką. Weź...

– Ze w s p i n a c z k ą?

– Będziesz zadawał pytania, jak skończę. Weź laser i przekłuj jego promieniem balon znajdujący się przed tobą. Kiedy poczujesz, że spadasz, chwyć się mocno jego powierzchni i wejdź po niej na wierzch skutera. Potem...

– Zwariowałeś, Nessus.

– Daj mi skończyć. Chodzi o unieszkodliwienie wszelkich działających automatycznie urządzeń, które mogłyby zareagować na użycie broni. Najprawdopodobniej są dwa: jedno pod lub nad drzwiami, drugie gdziekolwiek indziej. Jedyną wskazówką dla ciebie będzie to, że z pewnością niczym się nie różni od pierwszego.

– Chyba, żeby się różniło. Jasne. Nie przejmuj się. Może mi tylko wyjaśnisz, jak, twoim zdaniem, mam chwycić się powłoki eksplodującego balonu, żeby... Nie, to niemożliwe.

– A jak ja mam dotrzeć do was wiedząc o tym, że znajdę się w zasięgu urządzenia mogącego zniszczyć także i mój skuter?

– Nie wiem.

– Może oczekujesz, że Mówiący zrobi to za ciebie?

– A czy koty nie potrafią się wspinać?

– Ja pochodzę od kotów nizinnych, Louis – odezwał się kzin. – Nie zagoiła mi się jeszcze dłoń. Nie potrafię się szybko wspinać. Zresztą, i tak propozycja pożeracza liści jest czystym szaleństwem. Nie rozumiesz, że on szuka po prostu pretekstu, żeby nas opuścić?

Louis doskonale to rozumiał. Zdaje się, że na jego twarzy odbiła się przynajmniej część strachu, który odczuwał, bowiem Nessus powiedział:

– Nie opuszczę was jeszcze. Poczekam. Może wymyślicie lepszy plan. Może pojawi się ten, który nas podsłuchuje. Poczekam.

*

Trudno się dziwić, że wciśnięty głową w dół między dwa balony Louis stracił właściwie poczucie czasu. Nic się nie zmieniało. Nic się nie poruszało. Przez interkom słyszał pogwizdywanie lalecznika, i to wszystko.

Wreszcie zaczął liczyć uderzenia swojego serca. Siedemdziesiąt dwa na minutę. Mniej więcej.

Dokładnie dziesięć minut później powiedział:

– Siedemdziesiąt dwa. Minuta. Co ja robię?

– Mówiłeś coś do mnie, Louis?

– Nieżas! Mówiący, mam tego dosyć. Wolę umrzeć, niż zwariować. – Zaczął wyswobadzać ręce.

– Louis, znajdujemy się w warunkach bojowych. Rozkazuję ci zachować spokój i nic nie robić!

– Przykro mi. – Szarpnięcie, odpoczynek. Szarpnięcie, odpoczynek. Jeszcze trochę.

– Propozycja lalecznika to pewna śmierć.

– Być może. – Wreszcie miał laser w dłoni. Skierował go w przód – zniszczy pewnie tablicę przyrządów, ale to i tak nie miało większego znaczenia.

Nacisnął spust.

Przedziurawiony balon zaczął się powoli zapadać, zaś ten, który znajdował się za plecami Louisa

– Tam była dziura! – parsknęła z wściekłością. – Dziura i mgła.

– Duża?

– Skąd niby mam wiedzieć? – I znowu zniknęła.

Słusznie. Jak mogła ocenić jej wielkość, nie dysponując żadną skalą porównawczą?

Ryzykuje życiem, pomyślał Louis, a potem jest na mnie zła za to, że nie jestem na nią zły. Czyżby po prostu próbowała zwrócić na siebie uwagę? Od jak dawna to robi?

Gdyby na jej miejscu znalazł się ktokolwiek inny, już dawno by nie żył.

– Ale nie ona – powiedział na głos. – Nie ona...

Czy boję się o Teelę Brown?

A może zwariowałem? W jego wieku wszystko mogło się zdarzyć. Człowiek tak stary jak Louis Wu widział już niejednokrotnie, jak zdarzają się rzeczy niemożliwe. Dla kogoś takiego granica między fantazją a rzeczywistością mogła się zatrzeć, albo nawet zupełnie zniknąć. Mógł wpaść w ultrakonserwatyzm, odrzucając to, co niemożliwe nawet wtedy, gdy było to już rzeczywistością. Jak Kragen Perel, który nie chciał uwierzyć w istnienie napędu bezprzeciążeniowego, ponieważ było to niezgodne z drugim prawem termodynamiki. Mógł też wierzyć we wszystko, co mu powiedziano, jak Zero Hale, który wędrował po poznanym Kosmosie skupując rzekome pamiątki po Slaverze.

Wszędzie czyhało szaleństwo.

– Nie! – Jeśli Teela Brown unika pewnej śmierci tylko dlatego, że uderza głową w tablicę przyrządów, to jest to coś więcej, niż przypadek.

Dlaczego doszło do katastrofy „Kłamcy"?

Między Louisem a skuterem kzina pojawił się nowy obiekt.

– Witamy – powiedział Louis.

– Dziękuję – odparł Nessus. Sądząc po tym, jak szybko się zjawił, musiał korzystać z dopalacza. Mówiący zaprosił go przecież do towarzystwa nie więcej niż dziesięć minut temu.

Znad tablicy wskaźników przyglądały się Louisowi dwie trójkątne, na pół przejrzyste głowy.

– Czuję się teraz bezpieczny. Za pół godziny, kiedy dołączy do nas Teela, będę się czuł jeszcze bezpieczniejszy.

– Dlaczego?

– Szczęście Teeli Brown osłania także i nas, Louis.

– Nie wydaje mi się. – Louis pokręcił z powątpiewaniem głową.

Kzin w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Tylko Teeli nie było na linii.

– Niepokoi mnie twoja arogancja – powiedział Louis. – Hodowanie ludzi i kzinów świadczy o wręcz szatańskiej arogancji. Słyszałeś kiedyś o Szatanie?

– Czytałem o nim w książkach.

– Snob. Ale jeszcze większa od twej arogancji jest twoja głupota. Beztrosko uznajesz za oczywiste, że co jest dobre dla ciebie, jest też dobre dla Teeli. Dlaczego tak uważasz?

– No... – zająknął się Nessus. – To chyba naturalne. Jeżeli jesteśmy zamknięci w tej samej kabinie, to uderzenie meteorytu jest równie niebezpieczne dla niej, jak i dla mnie.

– Zgadza się. Przypuśćmy jednak, że przelatujecie nad miejscem, w którym Teela chce wylądować, ty zaś nie. Jeżeli akurat wtedy nastąpi awaria silnika, to korzyść odnosi wyłącznie Teela, nie ty.

– Co za nonsens! Dlaczego Teela chciałaby lądować na Pierścieniu? Przecież nawet nie wiedziała o jego istnieniu, dopóki jej o tym nie powiedziałem!

– Po prostu ma szczęście. Gdyby miała tu przybyć nie wiedząc o jego istnieniu, z pewnością by przybyła. Wtedy to szczęście trudno by już nazwać sporadycznym i zawodnym, prawda, Nessus? Działałoby cały czas. To sprawa szczęścia, że jednak ją znalazłeś. To sprawa szczęścia, że nie udało ci się skontaktować z żadnym innym kandydatem. Te ciągłe omyłkowe połączenia, pamiętasz?

– Ale...

– To sprawa szczęścia, że się rozbiliśmy. Przypominasz sobie, jak kłóciłeś się z Mówiącym o to, kto ma dowodzić ekspedycją? No więc, teraz już wiesz.

– Ale d l a c z e g o?

– Nie mam pojęcia. – Louis przejechał dłonią po odrastających mu włosach.

– Czy niepokoi cię to pytanie, Louis? Mnie bardzo. Co takiego znajduje się na Pierścieniu, co by mogło okazać się dla niej atrakcyjne? Przecież tu jest... tu jest niebezpiecznie. Dziwne burze, źle zaprogramowane automaty, pole słoneczników, nieobliczalni tubylcy – wszystko to stanowi zagrożenie dla naszego życia.

– Ha! – wykrzyknął triumfalnie Louis. – Słusznie. To część odpowiedzi. Po prostu dla Teeli nie istnie-

e coś takiego, jak niebezpieczeństwo, rozumiesz? Zanim podejmiemy jakiekolwiek działanie, powinniśmy wziąć to pod uwagę.

Lalecznik kilka razy otworzył i zamknął swoje bliźniacze usta.

– To trochę komplikuje sytuację, prawda? – zarechotał Louis. Rozwiązywanie problemów stanowiło lla niego przyjemność samą w sobie. – Ale to tylko część odpowiedzi. Jeżeli przyjmiemy, że...

Lalecznik zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Louis był wstrząśnięty. Nie oczekiwał, że Nessus aż tak bardzo się tym przejmie. Lalecznik krzyczał eszcze przez chwilę, po czym bez widocznego pośpiechu schował obie głowy pod brzuch. Obraz w interkomie pokazywał jedynie zmierzwioną, gęstą grzywę.

Obok pojawiła się twarz Teeli.

– Rozmawialiście o mnie – stwierdziła bez większej emocji w głosie. (Nie potrafiła ukryć urazy. Czy umiejętność ukrywania urazy stanowiła jeden z czynników decydujących o zdolności przeżycia?). – Próbowałam coś z tego zrozumieć, ale nie mogłam. Co mu się stało?

– To przez moją niewyparzoną gębę. Przestraszyłem go. Nie wiem, jak cię teraz znajdziemy.

– Nie możesz mi powiedzieć, gdzie jestem?

– Urządzenia lokacyjne są tylko na skuterze lalecznika. Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego zatroszczył się o to, żebyśmy nie potrafili uruchomić dopalaczy.

– Też tak mi się wydaje.

– Chciał mieć pewność, że uda mu się uciec przed rozwścieczonym kzinem. Nieważne. Jak dużo zrozumiałaś?

– Niewiele. Pytaliście się nawzajem o to, dlaczego chciałam tutaj przylecieć. Nie chciałam, Louis. rzyleciałam tu z tobą, bo cię kocham.

Louis skinął głową. Jasne. Jeżeli Teela miała tu przybyć, to musiała przecież mieć jakiś motyw. Nie yło w tym nic dziwnego.

Kochała go dlatego, że tak kazało jej własne szczęście. A jemu przez moment zdawało się, że kocha o dla niego samego...

– Przelatuję nad miastem – powiedziała nagle Teela. – Widzę trochę świateł. Kiedyś musiało tu mieszkać masę ludzi. Mówiący na pewno ma je na swojej mapie.

– Warto mu się dokładniej przyjrzeć?

– Przecież mówię ci, że tu są ś w i a t ł a. Może... – Fonia i wizja zniknęły bez żadnego ostrzeżenia, jak cięte nożem.

Louis przez dłuższą chwilę wpatrywał się w puste miejsce nad tablicą.

– Nessus? – wykrztusił niepewnie.

Cisza.

Włączył syrenę.

Tańczące na długich szyjach głowy lalecznika przypominały rodzinę węży, ewakuującą się z płonącego zoo. W innych okolicznościach byłoby to nawet śmieszne: wijące się szyje, wygięte w dwa znaki zapytania.

– Co się stało, Louis?

Pojawiła się także twarz kzina. Siedział w pełnej gotowości, czekając na informacje i wyjaśnienia.

– Coś stało się z Teelą.

– To dobrze – powiedział Nessus i schował głowy pod brzuch.

Louis wyłączył syrenę, odczekał chwilę, po czym włączył ją znowu. Lalecznik zareagował identycznie, jak poprzednio. Tym razem Louis odezwał się pierwszy:

– Jeżeli nie sprawdzimy, co się z nią stało, zabiję cię – powiedział spokojnie.

– Mam tasp – odparł Nessus. – Skonstruowaliśmy go tak, żeby działał zarówno na kzinów, jak i na ludzi. Widziałeś, że działa.

– Sądzisz, że to mnie powstrzyma?

– Tak, Louis. Tak sądzę.

– O co się założysz? – zapytał powoli Louis.

Lalecznik zastanowił się przez chwilę.

– Próba uratowania Teeli będzie z pewnością bezpieczniejsza od takiego zakładu. Zapomniałem, że a jest twoją samicą. – Jedna z jego głów spojrzała na wskazania przyrządów. – Zniknęła mi z lokatora. e wiem, gdzie teraz jest.

– Czy to znaczy, że jej skuter został uszkodzony?

spróbowali. Czy rozumiecie, co to oznacza? Wszystkie elektryczne i elektromagnetyczne obwody waszych skuterów uległy przepaleniu w momencie ataku. Powtórny atak na Mówiącego, a być może i na ciebie, nastąpił w chwili, kiedy znaleźliście się we wnętrzu budynku.

– Który najprawdopodobniej jest po prostu więzieniem – wystękał Louis. Odnosił wrażenie, że zamiast głowy ma balon, do którego nalano dwa razy więcej wody, niż wynosi jego maksymalna pojemność. Mówił z coraz większym trudem. Ale przecież nie mógł pozwolić, żeby inni wszystko za niego robili, nawet jeżeli to „wszystko" polegało tylko na snuciu domysłów.

– A jeżeli istotnie jest to więzienie – podjął – to skąd wiemy, czy nie ma tu jeszcze jakiegoś sprytnego urządzonka zainstalowanego na wypadek, gdyby któryś z więźniów znalazł się tutaj razem ze swoją bronią? Tak, jak my, na przykład.

– Na pewno jest coś takiego – odparł lalecznik. – Światła twojego skutera dowodzą jednak, że nie działa. Z pewnością musi to być automat, inaczej pilnowałby was jakiś strażnik. Uważam, że Mówiący może spokojnie korzystać z dezintegratora Slavera.

– To znakomicie – wyraził swą opinię Louis. – Tyle tylko, że rozglądałem się dookoła i...

On i Mówiący-do-Zwierząt pływali do góry nogami w napowietrznym Morzu Sargassowym. Jedno z trzech archaicznych, odrzutowych olster miało ciągle właściciela – szkielet był mały, ale z całą pewnością należał do człowieka. Na białych kościach nie pozostał nawet jeden strzęp skóry, w przeciwieństwie do kolorowych resztek ubrania, które musiało być wykonane z jakiegoś niezwykle wytrzymałego materiału.

Dwa pozostałe olstra były puste, ale przecież kości nie rozpłynęły się w powietrzu... Louis odchylił głowę do tyłu... jeszcze bardziej...

Podłoga miała kształt olbrzymiego leja. Dokoła jego ścian znajdowały się cele. Na dno, usłane bielejącymi kośćmi, prowadziły spiralne schody.

Nic dziwnego, że właściciel olster nie zdecydował się na odpięcie pasów. Co prawda inni, uwięzieni podobnie jak on, woleli krótki lot ku czekającej na dole śmierci niż powolne konanie z głodu i pragnienia.

– Nie bardzo wiem do czego miałby użyć tego dezintegratora – powiedział Louis.

– Ja też się nad tym zastanawiam.

– Jeżeli zrobi dziurę w ścianie, nic to nam nie da. Tak samo w suficie, do którego zresztą nie moglibyśmy dosięgnąć. Gdyby uszkodził generator pola elektromagnetycznego, czekałby nas upadek z wysokości dziewięćdziesięciu stóp. Jeżeli jednak nie zrobi n i c, niebawem zaczniemy powoli umierać. Wtedy jedyną alternatywą będzie upadek.

– Zgadza się.

– I to wszystko? Po prostu „zgadza się"?

– Potrzebuję więcej danych. Czy któryś z was mógłby opisać dokładnie to, co widzi dokoła siebie? W interkomie mam tylko kawałek zakrzywionej ściany.

Robili to na zmianę. Mówiący włączył reflektory swojego skutera, dzięki czemu w ich więzieniu zrobiło się niemal zupełnie jasno.

Kiedy jednak Louis zamilkł, powiedziawszy wszystko, co miał do powiedzenia, wisiał bez zmian głową w dół nad groźną przepaścią.

Poczuł wzbierający mu gdzieś głęboko w gardle krzyk, na razie skryty jeszcze pod wieloma warstwami opanowania i spokoju, ale niedługo te warstwy zaczną jedna po drugiej pękać i krzyk będzie przesuwał się coraz bliżej powierzchni...

Czy Nessus zostawi ich na pastwę losu?

Odpowiedź na to pytanie była wręcz oczywista. Wszystko przemawiało za tym, żeby tak zrobił, nic za tym, by uczynił coś innego.

Chyba że lalecznik ciągle miał nadzieję znaleźć tutaj przedstawicieli rozwiniętej cywilizacji.

– Wygląd tych pojazdów i wiek szkieletów świadczy o tym, że od bardzo dawna nikt tutaj nie zaglądał – odezwał się kzin. – Po opuszczeniu miasta trafiło tu jeszcze parę pojazdów, a potem nie miało już co tutaj trafiać. Dlatego te urządzenia jeszcze działają – przez cały czas nie były w ogóle używane.

– Być może – powiedział Nessus. – Ktoś podsłuchuje naszą rozmowę.

Louis nadstawił uszu. Zauważył, że Mówiący-do-Zwierząt uczynił to w sensie jak najbardziej dosłownym.

– Trzeba niezwykle wyrafinowanej techniki, żeby przechwycić kierunkowy sygnał w obwodzie zamkniętym. Ciekawe, czy nasz podsłuchiwacz rozumie, o czym mówimy.

– Co wiesz o jego położeniu?

– Spróbuję was wyrwać. Louis, przełącz sterowanie na mnie.
Louis zrobił to.
Skuter szarpnął się pod nim, jakby jakaś olbrzymia stopa kopnęła go mocno w sam dziób, po czym silnik ryknął w agonii i zgasł.
Tuż przed nim i za nim wystrzeliły balony zderzeniowe, ściskając go niczym para troskliwych, złożonych dłoni. Louis ledwie mógł poruszyć głową.
Spadał.
– Spadam – oznajmił. Jego dłoń, przyciśnięta do tablicy przyrządów przez naprężoną, pneumatyczną powłokę dotykała ciągle wyłącznika sterowania. Odczekał jeszcze chwilę, mając nadzieję, że jego skuter podporządkuje się poleceniom lalecznika. Domy w dole rosły jednak zbyt szybko. Louis włączył z powrotem ręczne sterowanie.
Żadnej zmiany. Ciągle spadał.
– Mówiący, nie wyłączaj sterowania – powiedział ze spokojem, który zdumiał jego samego. – To nic nie daje.
Ponieważ widzieli jego twarz, czekał bez mrugnięcia okiem. Czekał na ostatnie spotkanie z Pierścieniem.
Hamowanie nastąpiło nagle i z olbrzymią siłą. Skuter odwrócił się do góry dnem, dzięki czemu Louis Wu został potraktowany przeciążeniem 5 g wisząc głową na dół.
Louis Wu zemdlał.
Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się cały czas w tej samej pozycji, utrzymując się na miejscu jedynie dzięki ściskającym go balonom. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu głowa. W jego przekrwionym mózgu pojawił się niewyraźny obraz klnącego na czym świat stoi Marionetkarza usiłującego rozsupłać splątane sznurki, podczas gdy Louis Wu – marionetka podrygiwał na scenie głową na dół.

*

Unoszący się w powietrzu budynek był niski, szeroki i bogato zdobiony. Kiedy skutery zbliżyły się do niego, w ścianie otworzyły się szerokie wrota i połknęły je.
Przesuwali się powoli przez ciemne wnętrze, kiedy skuter kzina bez żadnego ostrzeżenia odwrócił się do góry nogami. Momentalnie strzeliły balony, ratując Mówiącego przed fatalnym upadkiem. Louis uśmiechnął się kwaśno. Już wystarczająco długo znajdował się w tym niewesołym położeniu, żeby docenić wartość czyjegoś towarzystwa.
– Wasze położenie zdaje się wskazywać na to, że jesteście utrzymywani w powietrzu przez pole elektromagnetyczne – mówił Nessus. – Takie pole może podtrzymywać metale, ale nie protoplazmę, toteż...
Louis poruszył się, ale nie za mocno. Gdyby wyśliznął się spomiędzy balonów, czekałaby go pewna śmierć. Drzwi za nimi zatrzasnęły się zbyt szybko, żeby wzrok Louisa zdążył przyzwyczaić się do ciemności. Nie widział dosłownie nic. Nie miał pojęcia, jak daleko było do podłogi.
Usłyszał, jak Nessus pyta:
– Możesz sięgnąć tam ręką?
I odpowiedź kzina:
– Tak, jeśli się wcisnę... Ourrr! Miałeś rację. Obudowa jest gorąca.
– W takim razie silnik został spalony. Skutery są do niczego.
– Dobrze, że ten fotel nie przewodzi ciepła.
– Trudno się dziwić, że Inżynierowie tak doskonale opanowali władanie polami elektromagnetycznymi. W końcu; nie znali tak wielu innych rzeczy: napędu hiperprzestrzennego, sztucznej grawitacji, pola Slavera...
Louis wytrzeszczał oczy, próbując cokolwiek zobaczyć. Mógł odwrócić głowę, czując, jak szorstka powłoka balonu drapie jego policzek. Nic z tego – dokoła panowała doskonała ciemność.
Przesuwając dłoń cal po calu poczuł wreszcie pod palcami wyłącznik głównych reflektorów. Nie bardzo wiedział, dlaczego miałby działać, ale na wszelki wypadek wcisnął go.
Snopy białego światła rozcięły ciemność, docierając do odległej, wygiętej łukowato ściany.
Dokoła, na tej samej wysokości unosił się jakiś tuzin najróżniejszych pojazdów. Były wśród nich prawdziwe miniaturki, niewiele większe od odrzutowych olster, wehikuły zbliżone wielkością do ich skuterów, a nawet coś w rodzaju ciężarówki o przeszklonej kabinie.
Wśród tego latającego śmiecia znajdował się również odwrócony podwoziem do góry skuter Mówiącego-do-Zwierząt. Spod wzdętych balonów wyglądała naga głowa i wyciągnięta z wysiłkiem ręka kzina.
– Światło – powiedział Nessus. – Znakomicie. Właśnie miałem zamiar zaproponować, żebyście tego

– Tak. Nadajnik był umieszczony w pobliżu silnika. Prawdopodobnie dostała się w zasięg działan jakiegoś automatu podobnego do tego, który zniszczył nasze komunikatory.
– Hm. Ale wiesz, gdzie była, kiedy poprzednio przerwała połączenie?
– Znam kierunek, ale nie odległość. Możemy jej się tylko domyślać na podstawie niezbyt dokładny obliczeń.
Skręcili w kierunku, który podał lalecznik. Po dwóch godzinach ciągle jeszcze nie natrafili na żad światła i Louis zaczął się zastanawiać, czy aby nie zgubili tropu.
Trzy i pół tysiąca mil od Oka powinien znajdować się port, a za nim zatoka wielkości Oceanu Atla tyckiego. Teela z pewnością nie dotarła dalej. Port był ich ostatnią szansą...
Niespodziewanie na schodzącym w dół zboczu góry pojawiły się światła.
– Stać! – szepnął przez zaciśnięte zęby Louis, nie bardzo zdając sobie sprawę, dlaczego to robi. A kzin zdążył już zatrzymać ich w powietrzu.
Wisieli bez ruchu, przyglądając się okolicy.
Miasto. Wszędzie miasto. W dole, w błękitnej poświacie Łuku Nieba widzieli domy o okrągłych c nach, oddzielone od siebie zaułkami zbyt wąskimi, żeby je można było nazwać ulicami. Z przodu do były coraz większe i większe, aż w końcu wszystkie sięgały kilkudziesięciu pięter. Niektóre ciągle uno ły się w powietrzu.
– Tutaj inaczej budowali – szepnął Louis. – Nie tak, jak w Zignamuclickclick. Różne style...
– Drapacze chmur – powiedział Mówiący-do-Zwierząt. – Po co je stawiać, kiedy ma się do dyspozy tyle miejsca?
– Aby udowodnić, że się potrafi. Nie, to bez sensu. Po zbudowaniu Pierścienia nie musieli niczego komu udowadniać.
– Może te wysokie domy stawiali później, już w schyłkowej fazie cywilizacji.
Światła: oślepiająco białe rzędy okien, kilka olbrzymich wież oświetlonych od parteru po dach. Ws stkie znajdowały się w obrębie czegoś, co musiało kiedyś stanowić centrum miasta, tam bowiem równi zgrupowały się wszystkie latające budowle. Było ich sześć.
I jeszcze jedno: jarząca się pomarańczowym blaskiem plama, w sporej odległości do centrum.

*

Siedzieli wokół mapy kzina na drugim piętrze jednego z przypominających ule budynków.
Mówiący uparł się, żeby wprowadzić do środka skutery. Względy bezpieczeństwa. Światło pochod ło z reflektorów jego pojazdu, skierowanych na wygiętą łukowato ścianę. Stół o blacie rzeźbionym w lerze i miski rozpadł się w pył, gdy Louis otarł się o niego. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurz Zdobiące niegdyś ścianę malowidło spoczywało u jej podnóża w postaci kolorowego proszku.
Louis czuł, jak wiek miasta osiada mu na barkach kamiennym ciężarem.
– Kiedy powstawały zapisy na taśmach, które widzieliśmy w Niebie, było to jedno z największy miast Pierścienia – powiedział kzin. Przesunął zakrzywionym pazurem po mapie. – Miasto powstawa początkowo według starannie obmyślonej koncepcji, na planie półkola opierającego się o brzeg mor Niebo zbudowano zapewne dużo później, kiedy miasto rozrosło się daleko poza początkowe granice
– Szkoda, że nie sporządziłeś jego planu – zauważył Louis. Na mapie kzina widniało jedynie zama ne półkole.
Mówiący złożył mapę.
– Taka olbrzymia metropolia kryje z pewnością wiele tajemnic. Musimy być bardzo ostrożni. Jeż cywilizacja Pierścienia ma się kiedykolwiek odrodzić, to właśnie tu musi szukać tajników zaginionych chnologii.
– A co z metalami i innymi surowcami? – zaoponował Nessus. – Ta cywilizacja już nigdy nie osiąg dawnej świetności. Nie ma rud metali, które można by wydobywać, nie ma paliw płynnych. Jedyny dostępnymi narzędziami pozostają drewno i kość.
– Widzieliśmy przecież światła.
– Rozrzucone bez żadnego ładu i składu. Świecą po prostu tam, gdzie działają jeszcze źródła ener Ale oczywiście możecie mieć rację. Jeżeli mieszkają tu ci, którzy zaczęli znowu wytwarzać bard skomplikowane narzędzia, musimy się z nimi skontaktować. Ale to my będziemy ustalać warunki.
– Skąd wiesz, że już nie zlokalizowano naszych interkomów?
– Stąd, że działają w kierunkowym obwodzie zamkniętym.
Louis słuchał tego jednym uchem. Po głowie goniły mu niespokojne myśli. „Może być ranna. M leżeć gdzieś, bezradna, czekając na pomoc".
Ale jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Vszystko wskazywało na to, że Teela wpakowała się na jakiś stary automat, może jakąś broń, która eszkodliwiła nadajnik i system napędowy. Albo i coś więcej...
Dlaczego więc nie mógł wywołać w sobie potrzeby szybkiego działania? Louis Wu, roztrząsający ystkie za i przeciw jak nieczuły komputer, podczas gdy jego kobiecie zagraża nieznane niebezpiecze- vo...
ego kobiecie... Ale tu chodziło jeszcze o coś innego.
akąż głupotą ze strony Nessusa było sądzić, że człowiek, który miał po swojej stronie szczęście bę- myślał dokładnie tak samo, jak inni ludzie! Gdyby na miejscu Teeli znalazł się jakiś lalecznik, to myślałby tak samo, jak na przykład Chiron?
hyba, że lęk był już zakodowany w ich genach.
le każdy człowiek musiał dopiero nauczyć się bać.
Musimy przyjąć, że szczęście Teeli opuściło ją tylko chwilowo – mówił tymczasem lalecznik. – Na- z tego wysnuć wniosek, że nic się jej nie stało.
Co takiego? – zdumiał się Louis. Zupełnie, jakby Nessus podsłuchał jego myśli,
Awaria skutera musiałaby zakończyć się jej śmiercią. Jeżeli przeżyła, została uratowana naty- iast, kiedy tylko jej szczęście znowu zaczęło działać.
To śmieszne! Nie oczekujesz chyba, że siła psychiczna podporządkowuje się jakimkolwiek pra- n!
Logika jest nieubłagana, Louis. Twierdzę, że Teeli nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeńst- Jeżeli żyje, może poczekać. My zaś zaczekamy do rana, żeby rozejrzeć się po okolicy.
A co potem? Jak ją znajdziemy?
Jeżeli sprzyjało jej szczęście, trafiła w dobre ręce. Będziemy musieli je odszukać. Jeśli ich nie znaj- my, nie pozostanie nam nic innego, jak czekać na jakiś sygnał. Istnieje wiele sposobów, z których zie mogła skorzystać.
Oni używają światła – wtrącił Mówiący.
Zgadza się. I co z tego?
Możliwe, że reflektory jej skutera ciągle działają. Jeżeli tak jest, z pewnością zostawi je włączone. rdzisz przecież, że jest inteligentna.
Bo jest!
I nie potrafi wyobrazić sobie niebezpieczeństwa. Będzie chciała, żebyśmy ją znaleźli i nie przyjdzie a myśl, że może ją znaleźć ktoś inny. Jeżeli reflektory również nie działają, ma jeszcze laser.
Chcesz powiedzieć, że nie będziemy w stanie znaleźć jej w dzień. Masz rację – przyznał Louis.
Przede wszystkim musimy zbadać miasto przy świetle dziennym – powtórzył Nessus. – Jeżeli znaj- my jakichś mieszkańców, to znakomicie. Jeżeli nie, to jutro wieczorem rozpoczniemy poszukiwania i.
Pozwoliłbyś leżeć jej gdzieś przez trzydzieści godzin! Ty zimnokrwisty... Nieżas! Ta pomarańczowa a to mogła być właśnie ona! Płonące budynki!
ówiący zerwał się z miejsca.
Słusznie. Musimy to zbadać.
Ja jestem Najlepiej Ukrytym tej floty. Powtarzam, że użyteczność i wartość Teeli Brown nie uspra- liwia ryzyka nocnego lotu nad obcym miastem.
zin siedział już w swoim skuterze.
Znajdujemy się na potencjalnie wrogim Terytorium. Przejmuję dowodzenie. Udajemy się na po- iwanie zaginionego członka wyprawy.
zin wystartował, przeprowadzając ostrożnie skuter przez owalne okno. Na zewnątrz czekało bez- nne miasto.
ozostałe skutery znajdowały się na parterze. Louis schodził po schodach możliwie szybko, ale i żnie, bowiem wiele stopni rozpadało się pod najlżejszym nawet stąpnięciem.
essus spojrzał w dół zza balustrady.
Zostaję tutaj, Louis. Uważam to za bunt.
uis nie odpowiedział. Jego skuter wzniósł się w górę i dołączył do czekającego na zewnątrz kzina.

*

oc była chłodna. Blask Łuku Nieba kąpał miasto w powodzi granatowych cieni. Dwa skutery po- ęły w kierunku jarzącej się pomarańczowo plamy, w bok od rzęsiście oświetlonych wież centrum: asto, miasto, miasto. Nigdzie nawet skrawka parku czy skweru. Po co budować tak ciasno, kiedy o się do dyspozycji tak ogromną przestrzeń? Nawet na zatłoczonej Ziemi ludzie lubili mieć dostate- dużo miejsca, żeby nie trącać się ciągle łokciami.

– Zostajemy nisko – odezwał się głos kzina. – Jeżeli okaże się, że to na przykład oświetlenie ulic, wracamy do Nessusa. Nie można wykluczyć, że Teela została jednak zestrzelona.

– Dobra – powiedział Louis. W duchu jednak pomyślał: – Patrzcie tylko, jaki jest ostrożny w obliczu czysto hipotetycznego przeciwnika. Słynny z odwagi kzin w porównaniu z brawurą Teeli wydawał się przynajmniej równie tchórzliwy, jak lalecznik.

Gdzie ona teraz była? Ranna, martwa, czy może tylko przestraszona?

Poszukiwania cywilizowanych mieszkańców Pierścienia rozpoczęli jeszcze przed przymusowym lądowaniem „Kłamcy". Czyżby teraz miały zakończyć się powodzeniem? Chyba tylko ta możliwość powstrzymała Nessusa przed tym, żeby zostawić Teelę jej własnemu losowi. Groźby Louisa nic nie znaczyły i lalecznik doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Jeżeli owi cywilizowani mieszkańcy Pierścienia mieli okazać się ich wrogami... Cóż, nie było to wcale takie niemożliwe.

Skuter zaczął zbaczać lekko w lewo. Louis skorygował kurs.

– Louis... – odezwał się trochę niepewnie Mówiący. – Zdaje się, że są jakieś zakłócenia... – A potem ostrym, nawykłym do wydawania rozkazów głosem – Zawracaj! Natychmiast zawracaj!

Głos kzina zdawał się wwiercać mu bezpośrednio w mózg. Louis momentalnie wykonał polecenie. Skuter dalej leciał naprzód.

Louis naparł całym ciężarem ciała na drążek sterowy. Bez rezultatu. Skuter pędził w kierunku skąpanego w światłach centrum.

– Coś nas złapało! – krzyknął Louis i w tym momencie dopadło go przerażenie. Byli tylko marionetkami! Wielki i wszechwiedzący Marionetkarz poruszał nimi zgodnie z sobie tylko znanym scenariuszem. Louis Wu znał jego imię.

Szczęście Teeli Brown.

Rozdział XIX

W pułapce

Bardziej praktyczny i trzeźwo myślący kzin włączył syrenę alarmową.

Przeraźliwy dźwięk wznosił się i opadał, zdawałoby się, bez końca. Louis zaczął się zastanawiać, czy lalecznik w ogóle zareaguje. Przypomniała mu się bajka o chłopcu, który krzyknął „Wilk!" o jeden raz za dużo... W tej samej jednak chwili interkom ożył podekscytowanym głosem Nessusa.

– Tak? Tak? Co się stało?

Oczywiście. Musiał przecież najpierw zejść na dół.

– Zostaliśmy zaatakowani – powiedział z zadziwiającym spokojem kzin. – Utraciliśmy kontrolę nad skuterami. Lecimy w nieznane miejsce. Co proponujesz?

Nie sposób było zgadnąć, o czym myśli lalecznik. Jego szerokie, chwytne wargi poruszały się bezustannie, ale trudno było z tego cokolwiek wywnioskować. Czy będzie mógł im pomóc? A może znowu wpadnie w panikę?

– Obróćcie interkomy tak, żebym mógł widzieć, którędy lecicie. Jesteście ranni?

– Nie – odparł Louis. – Ale nic nie możemy zrobić. Nawet wyskoczyć. Lecimy za wysoko i za szybko. Kierujemy się prosto w stronę centrum.

– Dokąd?

– To ta grupa jasno oświetlonych budynków. Pamiętasz?

– Tak. – Lalecznik zastanawiał się nad czymś przez chwilę. – Jakiś silny sygnał zagłusza wasz ślad. Mówiący, podaj mi odczyty przyrządów.

Podczas gdy kzin recytował szeregi liczb, znaleźli się całkiem blisko oświetlonej części miasta.

– Przelatujemy nad tymi pomarańczowymi światłami – przerwał kzinowi Louis.

– Czy to naprawdę światła uliczne?

– Tak i nie. Światło wydobywa się ze wszystkich otworów drzwiowych. Jest jakieś dziwne. Myślę, że to kiedyś rzeczywiście było oświetlenie ulic, tyle że z czasem trochę przygasło.

– Też tak uważam – odezwał się kzin.

– Nie chciałbym cię poganiać, Nessus, ale jesteśmy coraz bliżej. Zdaje się, że prowadzą nas do tego największego budynku w samym środku.

– Widzę go. Podwójny stożek z oświetloną górną połową.

– Zgadza się.

Plantator wydm

Maciej Gałaszek

Prolog

Onahill położone jest w północnych rejonach Drugiego Kontynentu na płaskim, skalistym wzgórzu, wyrosłym z nieckowatej pustyni zwanej Allone. Jak okiem sięgnąć, widać tu jedynie pomarszczoną powierzchnię jałowego żwiropiasku i nieliczne, suche badyle Anubissu. Od zachodniej strony wzgórza dostrzegalne są mizerne resztki szlaku, wiodącego do dawnej osady Oneman, niegdyś zamieszkiwanej przez piaskarzy. Szlak pochodził z okresu gdy Onahill było małą oazą. Dzisiaj Oneman nazywa się Eghman i znajduje się 60 kilometrów dalej na zachód od pierwotnego miejsca. Piaskarzy zastąpili strażnicy rezerwatu. Onahill jako oaza umarło śmiercią naturalną dawno temu, lecz znów stało się celem pielgrzymek. Funkcjonuje obecnie jako atrakcja turystyczna i naukowa, która poruszyła światem.

Raz na trzy dni z Eghman przylatuje helikopter zaopatrując Onahill w świeże pieczywo i prasę. Raz na tydzień z Edgate, bazy położonej na krawędzi pustyni, przybywa awionetka, pokonując 400 kilometrów dla piętnastu bogatych turystów. Co dwa tygodnie z tejże bazy leci do Onahill niewielki, ale pakowny samolot transportowy spółki Thohar Co. Raz na dwadzieścia lat pada deszcz. Anubiss kwitnie co dwadzieścia trzy lata. Wreszcie raz na półtora wieku nad Allone niebo przeszywa kometa Suwaków. To jeszcze nie wszystko, co dzieje się godnego uwagi w tym wyszukanym zakątku świata. Od czasu do czasu, nieregularnie do Onahill docierają tak zwani ginesmani. Piechotą, psim zaprzęgiem, importowanym wielbłądem, dżipem, przerobionym śniegołazem, koniem z hodowli Onecossac, buldożerem, balonem. Zdarzają się spadochroniarze. Pozostaje jeszcze wspomnieć o firmach hitaskich nagminnie urządzających na pustyni poligon doświadczalny dla swych robotów.

Ginesmani, których eskapady często kończą się śmiertelnie, ścigani są przez strażników rezerwatu, na którego teren muszą wejść, chcąc czy nie, lub którego granice muszą przynajmniej naruszyć, gdy korzystają z drogi powietrznej. Za podobne wykroczenia tropią ich żandarmi piątego korpusu sił bezpieczeństwa stacjonującego w Edgate. To jednak ginesmanów nie odstrasza. Złapani, tłumaczą się chęcią udzielenia pomocy pewnemu facetowi z Onahill. Oczywiście nikt nie podnosi ręki na tę dorabianą ideologię. Tym bardziej że pseudozbawicieli częściowo osłania ustawa o Prawach Sekt z 58 roku. Płacą więc tylko symboliczną sumę na ochronę Anubissu oraz na leczenie ofiar zatrucia detoxem. Odstawieni do domu szukają o sobie wzmianki w gazetach. I nie znajdują. Cała uwaga zwrócona jest bowiem na miejscowe kuriozum, dzięki któremu Onahill stało się sławne.

Ianus Richard Roe
Niechronologicznie wybrane sceny z retrospekcji

Scena I

Po pięciu minutach czekania na jakikolwiek gest ze strony Abby'ego, którego przyszedłem odwiedzić w skwarne południe, usłyszałem przytłumione mruknięcie. Abby Onesty nie wypuszczając z ręki nieodłącznej lornetki odwrócił się.

– Roe, ty zdaje się jesteś dziennikarzem?

– Dziesięć lat temu mógłbyś tak o mnie powiedzieć. Od tego czasu zarabiam jako królik doświadczalny i z dziennikarstwem niewiele mam wspólnego. Czemu pytasz?

– Dysponuję dobrym materiałem. W doświadczonych rękach stałby się, przypuszczam, coś wart. Mnie niestety brakuje zdolności i cierpliwości. Szkoda, że ty zerwałeś... może zainteresowałbyś się jednak?

– Cóż to jest? – zapytałem przez grzeczność.

– Nazwałbym to „Historią Onahillskiego Guida"...

– Mówisz o Phianie Melbrewn? Tym niefortunnym przewodniku?

– Tak. Zupełnie przypadkowo wszedłem w posiadanie jego pierwszego monologu dla turystów. I potem – następnych. Wiesz... ja od paru lat kolekcjonuję różne odmiany gwaru. Wszędzie wożę z sobą magnetofon. I jeśli jest odpowiednia liczba osób, podłączam mikrofon i nagrywam. Nie masz pojęcia jakie to zabawne. Jeśli będziesz chciał, puszczę ci kasetę z nagraniem gwaru w sali restauracyjnej statku „Isidorian" – przed, podczas i po godzinnym strajku kelnerów. To moja ulubiona kaseta. No, ale odbiegam od tematu. Tamtego dnia, grupka turystów stała nie opodal mojego okna i zaczął wytwarzać się całkiem interesujący szmer. Postawiłem więc mikrofon na parapecie i włączyłem magnetofon. Ale po chwili przyszedł Melbrewn, zaczął mówić, a ja zapomniałem wyłączyć nagrywanie. Później, dla zabicia nudy, postanowiłem nagrywać jego kolejne mowy, żeby sprawdzić jak dalece będą się różniły. Miałem nosa. Na tych dwóch kasetach znajduje się cała ewolucja psychiczna nieszczęśnika. Może chociaż posłuchasz? – zerknął na mnie z nadzieją.

– A mam inne wyjście? – rozłożyłem ręce z rezygnacją.

Onesty uśmiechnął się i wcisnął klawisz.

– To jego pierwszy monolog – zdążył dodać nim rozległ się głos Melbrewna:

No i proszę państwa, jesteśmy w Onahill. Tylko szesnaście metrów dzieli nas od osławionego drolla. Każdy chciałby doń podejść, dotknąć, powiedzieć hallo. Ale niestety, ten zdawałoby się krótki dystans, wprost pestka dla przeciętnego trójskoczka jest dla nas nie do pokonania. A to z powodu dwóch nieznanych do tej pory czynników. Pierwszy to tak zwana strefa zaburzeń psychomotorycznych. Rozciąga się ona od tej barierki, którą dotykam ręką do niezauważalnego punktu odległego o jedenaście metrów. Człowiek kontrolujący częściowo swoje odruchy i panujący nad ciałem w koniecznym stopniu do stawiania kroków, odejdzie od tej barierki na co najwyżej siedem metrów. Jest to jak na razie granica ludzkich możliwości. Ustanowił ją pewien medytator z Sian Pho. Musieli go jednakże sciągać stamtąd liną asekuracyjną. Osoba zahipnotyzowana przejdzie, średnio, pięć kroków. Nafaszerowana psychotropami i innymi doświadczalnymi wręcz substancjami, cztery kroki. Chroniona puszką Faradaya, trzy kroki. Reszta po dwóch krokach zawraca w popłochu. Co prawda znalazł się ginesman, który rozpędziwszy się uprzednio, wpadł biegiem w strefę, runął w okolicach dziewiątego metra. Przypadek ten zakończył się jednak śmiercią. Nad strefą pracuje cały sztab specjalistów wielu dziedzin nauki od ponad pół roku, a przybywa im tylko pacjentów. Bowiem każdy mózg, nie osłonięty lekami, bądź wyszukanymi sposobami medycyny fizykalnej, po trzech krokach wymaga paromiesięcznej rehabilitacji. Istota zjawiska nie jest nawet hipotetyczna. To, co dzieje się w głowie po jednym kroczku jest tragedią, od której uginają się nogi. Po dwóch kroczkach jest to koszmar mogący w ciągu paru sekund pchnąć do samookaleczenia. Zwierzęta reagują podobnie. Znany jest przypadek, kiedy pchnięto na

odległość pięciu metrów klatkę ze szczurem. Po trzech sekundach ściągnięto ją z powrotem. Szczur był skrajnie podniecony, a nazajutrz znaleziono go bez przednich łap. Sam je sobie odgryzł.

Drugim czynnikiem, który chroni drolla jest tak zwane jonowymienialne – w tym momencie Melbrewn zrobił teatralny gest rękami – wtrącił Onesty – *jonowymienialne pole prewencyjne. Jest to coś na wzór książkowego lub filmowego pola siłowego. Ale tej nazwy każdy boi się używać, bo podobno budzi przerażenie. Jeśli nawet rzucony kamień nie dozna wstrząsu emocjonalnego, który zawróciłby go ze strefy, to na pięć metrów od drolla bezgłośnie odbija się od przeźroczystej zapory i spada na piach. Próbowano różnych sposobów pokonania czaszy pola prewencyjnego rozwieszonego nad drollem. Począwszy od prymitywnych, typu rozpędzony buldożer, granat ręczny rzucony ręką psychopatycznego ginesmana, czy wieloczynnościowe manipulatory firm hitaskich, skończywszy na nieco ambitniejszych, jak kontrapole elektromagnetyczne, gravidiany, lasery, siatka mikrowybuchów nuklearnych Rotweila, crystalotony, multiimplozytory płaszczyznowe itd., itd. Och, nie jestem w stanie zliczyć tego wszystkiego, co proponują najświatlejsze mózgi naszych czasów. Oczywiście nie powinienem tego dodawać, logicznej hipotezy nie sformułowano.*

Wreszcie, pośrodku zaklętego bastionu znajduje się droll. Znaczy się, Człowiek i Drzewo. Androdendron. Homo sapiens et Pinus banksiana. Nie są piękni, ale trwają. Współistnieją na zasadzie swoistej symbiozy, być może mutualistycznej. Niewykluczony jest komensalizm, a nawet pasożytnictwo. Tego nie wiemy. Dwa skrajnie różne organizmy mieszają swe płyny ustrojowe za pomocą systemu naczyń połączonych, różnicy ciśnień. I Bóg wie czego. Oczywiście nie mieszają się dosłownie, tylko wybiórczo. Oddzielone są skomplikowanym układem filtracyjnym. Układ ten przypuszczalnie znajduje się w pojemniku między człowiekiem a drzewem. Widzicie państwo? Tam skąd wychodzą i wchodzą cewniki. Biegną one, jak zaobserwowano za pomocą lornetki, z naczyń żylnych, ze zgłębnika donosowego i pęcherza moczowego oraz z systemu cewek drewna i komórek miękiszowych łyka. Tego ostatniego rzecz jasna nie dostrzeżono, są to jedynie domysły. Filtrator można by porównać ze sztuczną nerką. Lecz jest to porównanie raczej niefortunne, niedobre, wręcz złe. A to ze względu na wielofunkcyjność, niewyobrażalny stopień skomplikowania tego nieziemskiego cudeńka. Oni żyją, proszę państwa. Od ponad siedmiu miesięcy. Szczyt kazuistyki. Droll nie pobiera pokarmu z zewnątrz. Żyje z fotosyntezy i innych procesów chemicznych oraz z tego co korzenie sosny wydobędą z kamienistego podłoża. Człowiek odgrywa w tym związku bardziej nieokreśloną rolę. Do wegetacji konieczna mu jest woda, sole mineralne, cukry, białko i wiele różnorodnych związków organicznych i nieorganicznych. Drzewo nieomal daje mu to. Ale czy samo zapewnia pełne zapotrzebowanie? Nie wiadomo. Najpewniej nie jest to układ tak hermetycznie zamknięty. Chociaż… na ten temat możemy jedynie spekulować. Jeśli chodzi o drugi kierunek spływu płynów ustrojowych, no cóż, człowiek nie dostarcza chyba pokarmu, a jednak z tego co widać, drzewo żyje, nie zwiędło, wypuszcza młode pędy i wygląda na to, że ma się lepiej niż wtedy, kiedy musiało radzić sobie solo. Wiąże się to także z parawanem pola prewencyjnego osłaniającego ich od wiatru. Tak. Filtrator jest gigantyczną zagadką, ale nie jedyną. Załóżmy, że jest on idealny i nie dochodzi do patologicznych zmian w płynach ustrojowych, to następne pytanie, które ciśnie się na usta dotyczy braku zakażeń, odleżyn, zakrzepów itd., itd. To wszystko zadziwia. Zostawię już te naukowe dywagacje. Wywód trochę może przydługi i nudny, ale konieczny. Tak więc drzewo sobie rośnie, a człowiek siedzi, patrzy, nie wiadomo co myśli. Kontakt z nim jest na razie nieosiągalny. To, co powiedziałem o drollu jest tylko niewielką częścią tego, co można byłoby powiedzieć. Lecz to zostawmy na wieczorne godziny, kiedy weźmiemy do ręki naukowe publikacje. Pozostaje jeszcze pytanie, kto to zrobił. Kim jest ten homo faber. Czy stoimy przed nim? Czy może nie ujawnia się i czeka na coś. Za co skazał rozumną część drolla na wystawienie publiczne i jednoczesną separację, zostawiając mu za jedynego towarzysza sosnę? Nikt nie wyraził przypuszczenia, że człowiek ożeniony z drzewem jest szczęśliwy. Wszyscy raczej skłaniają się do współczucia i chęci udzielenia mu pierwszej pomocy. To tyle na temat drolla. I prawie wszystko o Onahill. W tym parterowym pawilonie ze szkła i stali mieści się placówka doświadczalna. Tam mieszkają i pracują naukowcy wielu dziedzin. Laboratoria, dziesięć łóżek kliniki psychiatrii, zaplecza. Jeszcze tylko ten wóz wagantów jakiegoś ginesmana. Zaadaptował go na mieszkanie po uzyskaniu specjalnej koncesji pan Andree Fabri i jego zabawny pies Furiat. Pan Andree prowadzi tu coś w rodzaju baru i właśnie zaprasza nas na piwo i parówki z wrażonem.

– Melbrewn dużo mówił tego dnia – zauważył Onesty wyłączając kasetę. – Teraz trochę przewinę i zatrzymamy się na jego czwartej wycieczce. Usłyszysz przepowiednię skandalu. Powiem ci jeszcze, że w grupie zwiedzających było paru milionerów, senator Wildner z żoną i minister skarbu Sunlandii wraz z osobami towarzyszącymi. Zaczął w te słowa. – Onesty uśmiechnął się – Uważaj…

Witajcie szacowni… szacowne puszczyki… – Ha, ha, Roe! Oni rzeczywiście tak wyglądali! Otyli, nastroszeni, usta ściągnięte, zasępiony wzrok. Nigdy nie byłem świadkiem takiej konsternacji. Ale wiesz co się stało? Zanim ktokolwiek zdążył zareagować stosownie do swego społecznego cenzusu, żona Wildnera uśmiechnęła się najpierw nieco z przymusem, a później śmiała się naturalnie, lecz bardzo elegancko, uważając na makijaż. Wiedziała jak zdobywać wyborców dla męża. Rozładowała atmosferę, której nie mógł już popsuć pan minister dopytujący się zaczerwienionego tłumacza o co właściwie chodzi. Sądzę, że uratowała Melbrewnowi życie. Miał szczęście, że uszło mu to płazem. On jednak brnął w to dalej. Posłuchaj…

Witajcie zatem na pokładzie wielkiego gumowego balona, targanego niewiedzą i rozterką. Nikt nam w nawigacji nie pomoże. Ja również nie jestem w stanie powiedzieć coś sensownego ponad to co napisano w tygodniku „Researching". Przyniosłem właśnie szesnaście egzemplarzy… dla wszystkich starczy. Proszę więc wziąć sobie i zapraszam do Andree na lampkę wina Bisqoiee, najodpowiedniejszego o tej porze…

– Myśleliśmy, że znajdzie się na bruku z przetrąconym kręgosłupem. Ale nie, poprowadził jeszcze dwie wycieczki:

Najpierw chciałbym opowiedzieć państwu pewną bajkę, a dopiero później powiem do widzenia.

Kiedyś, dawno, dawno temu żył sobie nie istniejący oficjalnie król imieniem Rood. W tamtych czasach żyło na świecie dwunastu królów. Ale wszyscy oni byli władcami nieprawdziwymi i fałszywymi. Zaś Rood był tym jedynym i prawdziwym. Lecz nie miał on swego ludu i nikt w dwunastu królestwach nie wiedział o istnieniu Rooda. Bardzo nad tym ubolewał, więc pewnego dnia zawołał Myddoga, sługę swego. W tych czasach żyło wiele sług i jeszcze raz tyle, nikt ich zresztą nie liczył, ale podobnie jak władcy byli oni sługami fałszywymi. Jedynie Myddog był prawdziwie oddany i wierny swemu panu, tak jak to słudze przystoi. Skoro tylko stanął przed obliczem Rooda i skłonił mu się z szacunkiem, król rzekł: „Myddog, przyjacielu, czuję w niemłodych już kościach, że królowanie nad tobą jeno i sobą do jakiej choroby mnie doprowadzi. Spraw bym miał swój lud choćby na czas lotu polatuchy. Pokochałbym go wtenczas i służył mu wiernie, jeśliby nawet przyszłość moich rządów skwierczącym ogarkiem okazać się miała".

Myddog pierwsze co zrobił, to udał się do miejscowego maga i za dwie sztuki złota mgła we łbie rozrzedziła mu się nieco. Nazajutrz, skoro świt, wierny sługa siadł na wilgotnej z nocy kępie trawy, na skraju boru, tuż przy rzece Rwądze. Nie bacząc na śłągwę siedział tak przez dwanaście dni i nocy nie pijąc, nie jedząc. Patrzył w nurt i medytował. Kiedy trzynastego dnia czerwony rąbek słońca ukazał się na horyzoncie, Myddog wstał i niebawem upolował pasącego się u wodopoju kozła dragijskiego z dwunastoma rudymi pręgami na grzbiecie. Przez następnych dwanaście dni, poćwiartowanym kozłem posilał się skrupulatnie od chrap poczynając. Na koniec wsadził za pazuchę dwanaście oskrobanych



Janusz Gutkowski

z resztek mięsa żeber, które oderwał od szkieletu do cna obgryzionego. Miały go chronić od miecza i złego uroku. Gdy odmówił pacierz, tak jak przewidywał, na niebie ukazały się ciemne, gęste chmury rzucające na ziemię cień i strach. Po trzech obrotach klepsydry, choć był dzień, zrobiło się ciemno, a budzące grozę niebo, poprzetykane błyskawicami, zamieniło się w wypełniony wodą durszlak. Trwało tak przez dwanaście dni. Czasu tego Myddog nie zmarnował. Kiedy wszystkie żywe i umarłe stworzenia pochowały się w swych norach, on pracował jak nawiedzony świętym Rodrykiem. W skale sterczącej z niewielkiego obszaru ziemi niczyjej, przez który szedł szlak handlowy łączący dwanaście królestw chciał wyrzeźbić dwanaście podobizn twarzy królów zwróconych w dwanaście kierunków świata. I nim pierwszy kur zapiał trzynastego dnia jasnego i pachnącego, odłożył stępione do cna dłuta, rzucił na ziemię młotek ze złamanym trzonkiem i obejrzał swoje dzieło. I wtedy zmartwiał z przerażenia. Pracując w ciemnościach, z oczami zalanymi wodą i potem stworzył karykatury. Wizerunki były podobne, ale ich kaprawe oczy, krzywe nosy, wydęte w dziwacznych grymasach usta zniweczyły przebiegły plan Myddoga. A chytry zamysł miał się następująco: Wiadomość o cudzie z szybkością rozpędzonego wozu sprzedawcy solonych ryb rozchodzi się, by w końcu dotrzeć na dwory władców. Przez dwanaście dni trwa wielkie poruszenie. Jedni królowie abdykują, drudzy sposobią się do wojny, jeszcze inni zamykają się w kaplicach, ale większość myśli o postawieniu bożego daru na zamkowym dziedzińcu po uprzednim odłupaniu jedenastu wizerunków swoich wrogów. Koniec końców dwanaście wrogich watah zbiera się wokół rzeźby i walczy do upadłego o podobiznę swego władcy, niszcząc co się da z portretów królów sąsiednich. Tak też by się stało, bo władcy byli pyszni i głupi – i później lud rozeźlony bezsensowną walką, opłakujący trupy mężów, braci i synów odwróciłby się zadkiem na swych panów. A on, Myddog, ukoiłby ich serca opowieścią o dobrym i mądrym królu, który na nich czeka.

Przeklinając cisnął o ziemię żebrami kozła mającymi chronić go od złego uroku i jął przedzierać się przez tłum rozbawionych gapiów, przybieżających tu co sił w nogach z okolicznych wiosek. Zgnębiony, skierował swoje kroki do Rooda. Nie zauważył, że od ciżby odrywają się pojedyncze postacie i podążają za nim. U króla był jeszcze tego dnia. „Panie mój" – wyszeptał błagalnie klęknąwszy uprzednio. „Przebacz mi. Lot polatuchy jastrzębiem się skończył".

Król chciał coś odrzec, ale wnet nadstawił ucha. „Co to?" – zapytał podchodząc do okna. Gdy je otworzył do komnaty wdarł się gwar wielotysięcznego tłumu, pokazującego sobie palcem jego sylwetkę. „Twój jastrząb miał bielmo na oczach i chybił" – zdążył powiedzieć i pozdrowił zgromadzonych ludzi uniesioną ręką. Koniec.

Jeśli będziecie szukać sensu w tym co usłyszeliście, przylatując do Onahill i stojąc kilkanaście metrów od drolla, zrobicie błąd. Jeśli nie będziecie szukać, też zrobicie błąd. Najlepiej jak każdy z was wymyśli sobie swoją bajkę. Być może jest to klucz do zrozumienia sensu istnienia Tego Człowieka. Radziłem to naukowcom. Lecz oni wolą inne metody rozszyfrowania zagadki. Efekty tych metod nazywają hipotezami. Ja nazwałbym je również bajkami. Oba ich rodzaje nie przynoszą rozwiązania, ale czy muszą? Osobiście wolę swoje bajki. Do widzenia.

– No i ostatni jego występ. Dramatyczny. Właściwie nie muszę puszczać kasety. Opowiem ci. – Onesty odłożył magnetofon na bok. – Wycieczka czekała dziesięć minut, gdy zjawił się spóźniony niosąc coś pod pachą. Były to dwa obrazy. Postawił je tak żeby wszyscy widzieli i... wskazał je palcem. Powiedział: „Ten albo ten. Albo gówno". I popełnił samobójstwo. Wszedł w strefę. Dotarł dalej niż ten medytator. Determinacja rodzi cuda. Stanął przed drollem, podarł jakiś papier, do tej pory nie wiadomo jaki i upadł.

– Co to były za obrazy? – zapytałem.

– Reprodukcje, Salvador Dali, zdaje się. Tytuł zapisałem sobie gdzieś. Zaraz... „Geopolityczne dziecko obserwujące narodziny nowego człowieka". Druga reprodukcja, tym razem Jean Miro „Lot ptaków wokół kobiety w księżycowej poświacie". Zabawne, co?

Scena II

W jego twarz można wpatrywać się bez końca. Bynajmniej nie z racji interesującej fizjonomii. Nie była z tych, co przyciągają zaniepokojone spojrzenia, przemykające po skręconej sierści na głowie, skośnych oczach, rzymskim nosie i habsburskiej żuchwie. Brak było oznak uwstecznienia czy genialności. Nic z tych rzeczy. Była to maska. Najzupełniej przeciętna. Ktoś, kto ją skonstruował wydrwił poczucie hu-

moru i w pocie czoła, precyzyjnie stworzył Ją, by wreszcie mruknąć: „Oto człowiek". To coś przyciągającego uwagę zwykle kryje się w oczach. W tym przypadku, rozlało się na całą twarz nie omijając szarych, pusto-zwykłych oczu. Przychodziło to i znikało w ułamku sekundy bez najmniejszego drgnienia mimiki. Ale zauważalne było jak rozwrzeszczana kura, pakująca się z trzepotem piór pod maskę rozpędzonego samochodu. Trudno to nazwać czy sformułować, tak jak trudno jest pensjonariuszowi zakładu dla umysłowo chorych nazwać nieokreślony omam, wyświetlający się w chorym umyśle.

Jako pierwszy zauważył to Onesty. Byłoby przesadą, stwierdzenie, że się przeraził. Mimo to spostrzeżenie tego czegoś kazało mu podać lornetkę najbliżej stojącemu i powiedzieć, że poczuł się nieswojo. Onesty był z wykształcenia geodetą, lecz od dłuższego czasu nie mógł znaleźć pracy. Więc przyleciał do Onahill trochę z ciekawości, trochę w poszukiwaniu płatnego zajęcia. Znalazł je. Jego praca miała polegać na stałym obserwowaniu drolla przez lornetkę. Na zmianę z Conettą. Nie było to pozbawione sensu. Tym bardziej że ktoś z DOPLAN-u (Doświadczalna Placówka Akademii Nauk) wpadł na pomysł porozumiewania się z... obiektem doświadczeń. Czyli z Tym Człowiekiem. Później zmieniono nazwę na Tego Roślina, a jeszcze później na Dendrologa. W końcu prof. Freder Abhelius, konsultant z Uniwersytetu w Cronsee, wymyślił neologizm dla niespotykanej do tej pory formy biologicznego współżycia. Wyciął środek z dendrologa, dodał literkę „l" i powstał droll. Abhelius nic nie robił sobie ze słów znanego satyryka Melsa naśmiewającego się z ludów Kontynentu Północno-Wschodniego: „Zweite el w każdym domu. Z zweite el rozmawia się lekko, łatwo i przyjemnie. Dodaj el do el i w gębie miell i żujj, spróbujj! To twoja szansa na długowiecznośćććć..." Pamflet dotyczył szczególnie Dominium Nadmorskiego, w którym do języka wprowadzono zweite el podczas 10 etapu Rekonstrukcji. Zabawność zjawiska dostrzegli wszyscy, prócz Abheliusa. Nazwa droll przyjęła się jednak, chociaż zdarzają się złośliwcy nazywający Tego Człowieka morświnem.

Metoda porozumiewania się z drollem była bardzo prosta, przy założeniu, że on widzi, umie czytać i wykonywać proste polecenia. Droll jak zwykle siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym przed siebie. W odległości szesnastu metrów od niego, a więc na granicy strefy zaburzeń psychomotorycznych, ustawiono wielką planszę, na której ktoś dużymi literami napisał: JEŚLI POTRAFISZ CZYTAĆ, MRUGNIJ TRZY RAZY POD RZĄD LUB DAJ JAKIKOLWIEK INNY ZNAK. Droll mrugnął trzy razy. Widział to Onesty. Salwy radości z nawiązania kontaktu zostały zakłócone przez Abby'ego. Wtedy to właśnie poczuł się nieswojo. Przeżyte doznanie obrazowo porównał do wiru powietrznego, który by go omiótł swoją krawędzią.

Przed oczy drolla powędrowała następnie tablica ze swoistym alfabetem. A – jedno mrugnięcie, przerwa. B – dwa mrugnięcia, przerwa. I tak dalej. Roślin pojął to w mig. Oto co powiedział: „Moja mnogość rozpojedynczona umrze. Rozpojedynczony z mnogości umrę. Wie to mój geniusz, lecz wy nie wiecie. Spłacicie go, żeby wiedzieć. Nadejdzie odpowiedni czas, on zrobi to".

Tak brzmiał pierwszy i ostatni tekst przekazany przez drolla. Nigdy więcej nie nawiązano z nim kontaktu.

Nazajutrz wszystkie gazety na pierwszych stronach podały ultimatum od pewnego gentlemana nazywającego się Benedykt Tanheuezer. Dziesięć milionów penarów za tajemnicę drolla i za to co przede wszystkim interesowało potentatów militarnych, tajemnicę strefy i pola prewencyjnego. Jeśli nie wpłyną pieniądze w ciągu najbliższych pięciu miesięcy do Alcomp Bank na zastrzeżone konto, dojdzie do niemiłych incydentów. Jak na przykład pojawienie się strefy zaburzeń psychomotorycznych w węzłach komunikacji miejskiej, na lotniskach itp. Co mogło to oznaczać każdy zdawał sobie sprawę. Od tego dnia policja całego świata tajna, jawna i dwupłciowa uganiała się za Benedyktem Tanheuezerem. Spekulacje na temat wyglądu geniusza mnożyły się jak króliki. Areszty wypełniły się setkami podejrzanych. Z reguły był to kwiat inteligencji. Wynalazcy, wykładowcy, artyści, studenci i inni. W końcu przyszło komuś na myśl, że domniemany geniusz to może być Ten Człowiek. Ale jego nie było łatwo zamknąć w więzieniu i przesłuchać.

Scena III

Na widok samolotu, mającego zabrać mnie do Onahill, zdumiałem się. Była to stara, pękata maszyna rolnicza typu „Bigoodworm", w sam raz do wyrzucania z odwłoka środków ochrony roślin. Ale czy dobra do zaopatrywania w precyzyjny i często drogocenny sprzęt odległą o czterysta kilometrów placówkę? No i do przewożenia od czasu do czasu przygodnego pasażera? Wcale nie miałem ochoty zaorać w piach. Czułem się wyśmienicie i miałem nadzieję czuć się tak przez następne kilkadziesiąt lat. Tym bardziej że byłem świadkiem nadchodzącego zjawiska w postaci hostesy, stewardesy i przewodniczki. Wszystkie trzy w jednej osobie podeszły do mnie lekkim krokiem i rozrzucając długie kasztanowe włosy zapytały jednym głosem.

– Pan Ianus Richard Roe? Nazywam się Jane Bishin. Mam zapewnić panu bezpieczny i wygodny lot.

Z trudem tylko powstrzymałem się od taksowania jej nęcących wdzięków kobiet Drugiego Kontynentu. Patrzyłem więc w rozchylone, uśmiechnięte usta zapominając o tym hałaśliwym pudle zbliżającym się do pasa startowego. Trwało tak dobrą chwilę. Lecz w końcu otrząsnąłem się i nie wierząc w cuda podniosłem torbę z rozgrzanego asfaltu i sięgnąłem do kieszeni.

– Nie chce pani obejrzeć dokumentów?

– Nie trzeba. Mamy niezawodne i nie narzucające się urządzenia identyfikacyjne. Pochodzą one z czasów gdy z Edgate do Onahill latały same znakomitości. Pomóc panu? – wyciągnęła smukłą, opaloną dłoń w stronę mojej niewielkiej torby.

– Dziękuję, poradzę sobie. Myśli pani, że tym – wskazałem na samolot – dolecimy wygodnie i bezpiecznie? Szkoda byłoby gdyby moja podróż tuż przed osiągnięciem celu skończyła się... hm... upadkiem. A pani? Nieodżałowana strata. – Uśmiechnąłem się.

– Jest pan pierwszą osobą z Kraju na Mierzei – zaczęła przekrzywiając kokieteryjnie głowę, a może mi się to tylko wydawało – którego udało mi się spotkać. Proszę wybaczyć, jest to dla mnie nieco egzotyczne. A wracając do pana pytania. Tak. Ten samolot jest zupełnie niezły. Nigdy nie było z nim kłopotów. W przeciwieństwie do nowszych maszyn. Jeśli nie zależy panu na czasie, za trzy dni do Onahill poleci awionetka z turystami. Proszę mi coś opowiedzieć o pańskim kraju. Czy jest tam bardzo zimno? Czy rzeczywiście ziemia, to znaczy Wielka Wydma, usłana jest guanem, a mówić trzeba głośno, bo słowa zagłusza ryk morza? Czy...

– Ma pani baśniowe wyobrażenie o Kraju na Mierzei! – musiałem teraz przekrzykiwać hałas silnika. Wystartowaliśmy już i podejrzewałem, że nadszedł kres mile zapowiadającej się konwersacji.

– Jakie? – zrobiła grymas, jakby nie dosłyszała. Zbliżyłem się do jej skroni. Musnęły mnie puszyste i pachnące włosy.

– Baśniowe – powtórzyłem miękkim głosem.

– Uwielbiam baśnie – wyczytałem z kształtnych ust – dlatego wybiorę się kiedyś w tamte strony... A pan? Po co przemierzył pół świata?

– Moja głowa! – postukałem się w czoło.

– Uderzył się pan? – dotknęła palcem miejsca, w które stukałem palcem.

– Nie, nie... – pokręciłem głową. Nie dało się jednak rozmawiać. Postanowiłem więc odłożyć wszelkie wyjaśnienia na oczekiwany moment, kiedy zaproszę ją na obiad.

Rzeczywiście leciałem do Onahill głównie z powodu mojej głowy. Nie dlatego, że czaszka kryje pod sobą genialną tkankę zdolną rozszyfrować wszystkie zagadki świata. Powód był zgoła inny.

Moje EEG miało kształt linii izoelektrycznej. Wynikało z tego, że winienem być nieboszczykiem, ale przecież nie

– Co się pan tak zadumał? – poczułem dotknięcie w ramię. – Dolatujemy już.

Scena IV

Jak zwykle po południu wpadłem do Onesty'ego. Upływał miesiąc odkąd stałem się Onahillczykiem. I między innymi z tej okazji miałem przy sobie butelkę wina od Andreego. Gdy wszedłem, Onesty nie oderwał oczu od lornetki, tylko wskazał mi palcem miejsce przy oknie.

– Spójrz na tego psa – powiedział gdy stanąłem obok niego.

– Droll ci się znudził Abby, że obserwujesz psa? – A kobiety? – Powiedz mi coś o nich. Pomiń Froosy. No, opowiadaj. Jaką noszą bieliznę? Hę? – usiłowałem zażartować.

– Spójrz Łanus, spójrz. – W ogóle nie zwrócił uwagi co do niego mówiłem. – Na pewno się nie mylę.

No więc spojrzałem na psa. Był to Furiat. Półkrwi blackster.

Uganiał się za jakimś kijem, trochę za własnym ogonem.

– Bawi się. – Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem do kieszeni po korkociąg.

– Właśnie, bawi się. I to jak, ledwie dyszy, a robi parometrowe susy. – Uniósł się. – Słyszysz te piski?

Gdy wkręcałem korkociąg rozległ się przejmujący skowyt i zaraz potem nawoływanie Fabriego, który wypadł z wozu widząc, że dzieje się coś niedobrego.

– Bydlę – Onesty mruknął zawzięcie.

Tym razem zdziwiłem się.

– O kim mówisz do cholery!

– O drollu.

– A co ten biedak ma do tego? – powiedziałem na bezdechu, usiłując wyciągnąć korek.

– Dał mu wreszcie spokój – Abby szepnął do siebie i odwrócił się od okna. – Ma i to wiele. Nie pierwszy raz to zaobserwowałem. – Sięgnął po kieliszek. – Mm, niezłe. Z jednej strony trochę mi go żal, a z drugiej, chętnie dałbym mu w gębę.

– Trochę za ciepłe – zadecydowałem. – Hm, może najpierw wyjaśnisz mi zachowanie się psa. Lubię wiedzieć za co daje się w gębę.

– Obserwuję drolla od trzech miesięcy. Dzień w dzień. Noc, na podczerwień. I co jakiś czas utwierdzam się w przekonaniu, że ta świnia – od śmierci Melbrewna często mówił w ten sposób o drollu – dysponuje pewną hm... telesiłą. Mimo że jest, wydawałoby się, idealnie odizolowany od świata, zdarza się, stwierdzam ponad wszelką wątpliwość, że z niektórymi osobami, a dzisiaj na przykład z psem, dzieją się rzeczy nienaturalne, wręcz narzucone. W tych momentach z twarzy drolla wykluwa się kostucha. Zauważalne jest nagłe zesztywnienie i spięcie jak drapieżnika do skoku. Może ci się to wydawać śmieszne, ale do diaska nie wmówiłem sobie tego. Jednak muszę przyznać, że szybko się opanowuje. Czasem ta niezwykła moc wymyka mu się spod kontroli i zdarza się, że przeholuje. Ale w zasadzie nie robi nikomu krzywdy. Potrafię kląć pod jego adresem, a jednocześnie go podziwiać. Wielu mając podobne możliwości i na dodatek siedząc w jego skórze urządziłoby tu prawdziwą jatkę. Ona chyba bardzo cierpi... hm... z tym psem, no cóż... zabawa. Furiat sam zaczął skakać z kawałkiem szmaty. Dostrzegł to Roślin. Patrzyłem mu wtedy prosto w twarz. Urzekła go dynamika psa. I nagle czujesz, że twój organiczny barometr rozbrykał się. Prawdopodobnie droll zapragnął ruchu, pędu powietrza, uczucia pracujących mięśni. Wpełzł w zwierzę i spróbował poszaleć. Nie wiem czy mnie rozumiesz. Albo Jane Bishin. Pamiętam jak o niej z rozrzewnieniem mówiłeś. Ten Człowiek również ją zauważył. I może to zabrzmi groteskowo, ale sądzę, że się w niej zakochał. Już parę razy Jane zagapiła się w drolla do tego stopnia, że pilot musiał po nią przychodzić. Tłumaczyła to roztargnieniem. Kiedyś skłoniłem ją, by mi o tym opowiedziała. I nie myliłem się. Mówiła, że to uczucie bardzo przyjemne i jeśli jest w pobliżu, nie może się oprzeć, żeby nie podejść do barierki. Lecz w końcu ogarnął ją strach, i

Janusz Gutkowski

jestem. Tym nieco wstrząsającym zjawiskiem od czasu ukończenia studiów dziennikarskich zarabiam na całkiem dostatnie życie. Jestem stałym i cennym królikiem doświadczalnym kilku sławniejszych laboratoriów neurologicznych. Naukowcy nie mogą dopuścić do siebie myśli o braku pobudzeń w korze mózgowej u żywego i sprawnego umysłowo człowieka. Wobec czego podejrzewają istnienie hipotetycznej blokady. W przerwie między kolejnymi badaniami wysłali mnie do Onahill z nadzieją, że dziwna właściwość mojej głowy pozwoli mi przejść strefę bez szwanku.

trzyma się od drolla z daleka. To jeszcze nie koniec. Kiedyś jak zwykle byłem z nim w kontakcie wzrokowym i nagle w jego twarzy coś mnie tknęło. Skierowałem lornetkę na pustynię i po dłuższej chwili zauważyłem małą, szarą plamkę stopniowo powiększającą się w okularze. Zaalarmowałem strażnika, bo przyszło mi na myśl, że to ginesman. A z nimi zawsze są kłopoty. Miałem rację. Był to ginesman prowadzący za uzdę osła. Do grzbietu zwierzęcia przytroczony był futerał z kontrabasu. Tyle, że strażnik znalazł w nim bazookę. Albo znasz tego faceta... Nie słuchasz mnie Roe?

„Jane Bishin, jestem o ciebie irracjonalnie zazdrosny" – pomyślałem podnosząc ostatni kieliszek do ust.

Scena V

Powoli zapadał zmierzch. Słychać było przytłumione głosy oddalających się ludzi. Półgłosem opowiadali sobie dykteryjki zakończone niemrawym śmiechem. Każdy z nich ściskał po pachą materac lub karimat. Onahill stopniowo pustoszało. Gasły światła i zapalano latarki przydatne do wyściełania sobie legowiska pośród suchych łodyg Anubissu. Odkąd strefa zaburzeń psychomotorycznych zaczęła pulsować, wykazując rytmikę dobową, spać trzeba było sto, może sto pięćdziesiąt metrów od drolla. Rano wszystko wracało do normy, strefa kurczyła się do pozycji wyjściowej, żeby wieczorem rozszerzyć się odpychając ludzi dalej i dalej na pustynię. Pulsacja strefy uczyniła życie w Onahill nieznośnym. Gdyby oczy całego świata nie były zwrócone na to miejsce, każdy miałby ochotę zostawić drolla samemu sobie.

Zgasiłem radio i zamykając drzwi za sobą, pstryknąłem światło. Narastający dyskomfort psychiczny kazał mi pospieszyć się na nasz codzienny, miejscowy exodus upływający w familijnej atmosferze. Przechodząc koło otwartego okna jednego z pomieszczeń, usłyszałem głosy. Zatrzymałem się.

– Tak. Wybieramy dzisiaj inny wariant – dobiegł mnie głos doktora Calmura. – Dawki jak zwykle, tylko w umówionej kombinacji. Froosy – dwie czerwone i żółta. Johnat – czerwona i biała. Zaraz, zaraz, gdzie podziały się tabletki Miguela? Są, dobrze. Dwukolorowa pod język. Spark tej nocy odpoczywa. Chiya – akupresura. Miss Poak, białą depot. Frank wziewne. Henrys – pół zielonej. Aha, rozdasz ludziom dyktafony. Pamiętać, żeby wszystkie objawy znalazły się na taśmie. EEG, jak zawsze. Teraz stanowiska. Moelby, jak się czujesz? Ty się zawsze dobrze czujesz. Będziesz najbliżej drolla. Z kapsułką zonoxyny i antyfalami powinieneś wytrzymać. Jeśli nie, cofniesz się. Reszta w kolejności umówionej. Moelby'ego zastąpi na pięćdziesiątym metrze Henrys. Po dzisiejszych testach zostanie nam jeszcze jedna ewentualność, i jeżeli ona nie chwyci możemy jechać do domu, a leki wyrzucić. No cóż, bezradność matką wynalazków. Trzeba będzie zacząć od nowa z gruntownie zmienionymi założeniami. No dobra. Powodzenia.

Przytrzymałem wysuwający się spod pachy pled i ruszyłem w stronę małych błyskających światełek na pustyni. Byłem wdzięczny losowi, że nie muszę wypróbować na sobie coraz to nowszych leków antystrefowych.

„Dobrej nocy" – pomyślałem i ziewnąłem szeroko.

Scena VI

Zaczęło się i skończyło w podobnym stylu. Ten nieoczekiwany moment z czeluści rodem, podbiegł szybko i bezszelestnie, nad ranem. Nie obudził nas nawet, tylko wyrżnął w pień aniołki głaszczące nasze uśpione oblicza i umknął w przeszłość. Zostawiając za sobą przerażenie, bezsilność, osłupienie. I przeświadczenie, że wielu rzeczy na tym świecie nie zdołamy zrozumieć. Z ołtarza zniknął Ten Człowiek porzucając prezentującą się teraz nader licho połowicę. Wokół karłowatego, powyginanego od wiatru drzewa panował tylko bałagan. Tam gdzie jeszcze wczoraj królował droll były jedynie śmiecie rozrzucone w nieładzie. Śmiecie, ponieważ przyrządy, dzięki którym był niedostępny i nieodgadniony, zaprogramowane zostały na samozniszczenie. Znaleziono go po kilku godzinach w głębi pustyni. Przytroczony był do konia, jednego z dwóch, należących do Andreego. Siedział na siodle, zwieszając się nieco, z nogami związanymi pod brzuchem wałacha. Na piersi miał przypiętą kartkę z napisem „koniokrad". Nie żył już. Znalazł go pilot helikoptera. Zidentyfikował również wóz Fabriego podążający za martwym jeźdźcą w niewielkiej odległości. Podejrzenie zbrodniczego czynu padło na niego. Ale to nie zrobił on. Andree smagający batem osamotnionego konia, pogwizdujący na psa nie był mordercą. On spieszył za chlebem wraz ze swym barem na kółkach. Wydedukował poprawnie, że tam gdzie droll, choćby nieżywy, tam zawsze ktoś będzie chciał napić się piwa lub zjeść flaki. Zrobił to Onesty. Wiem to na pewno. Wisi na pasku w swoim pokoju, a pod obrzękniętymi stopami, na podłodze spoczywa aparat mający w sobie stygmat drolla. Nie wiedziałem co to jest. Na razie nie zaprzątałem sobie tym głowy. Gdy spojrzałem na plamy opadowe, które zdążyły pojawić się tuż nad skarpetkami i na twarz wykrzywioną upiornym grymasem, pomyślałem, że to nie Melbrewn zasługuje na biograficzne opowiadanie tylko on – Onesty.

Scena VII

Wysłannik z tygodnika „Researching" zaproponował mi napisanie wstępnego artykułu o zajściach w Onahill. Zdziwiłem się. Nie występowałem tu w roli dziennikarza, poza tym byłem obcy. Spośród wielu dziennikarzy wybrano mnie motywując wybór tym, że jako jedyny przebywałem tu tak długo i jednocześnie byłem świadkiem końcowego dramatu. Ja przypuszczałem, że chodziło im o większą poczytność artykułu napisanego przez egzotycznego przybysza z dalekiego kraju. Zgodziłem się więc, chociaż od dłuższego czasu nie uprawiałem swego zawodu. Po zebraniu dokumentacji raz jeszcze przemyślałem sobie wszystko i zacząłem pisać:

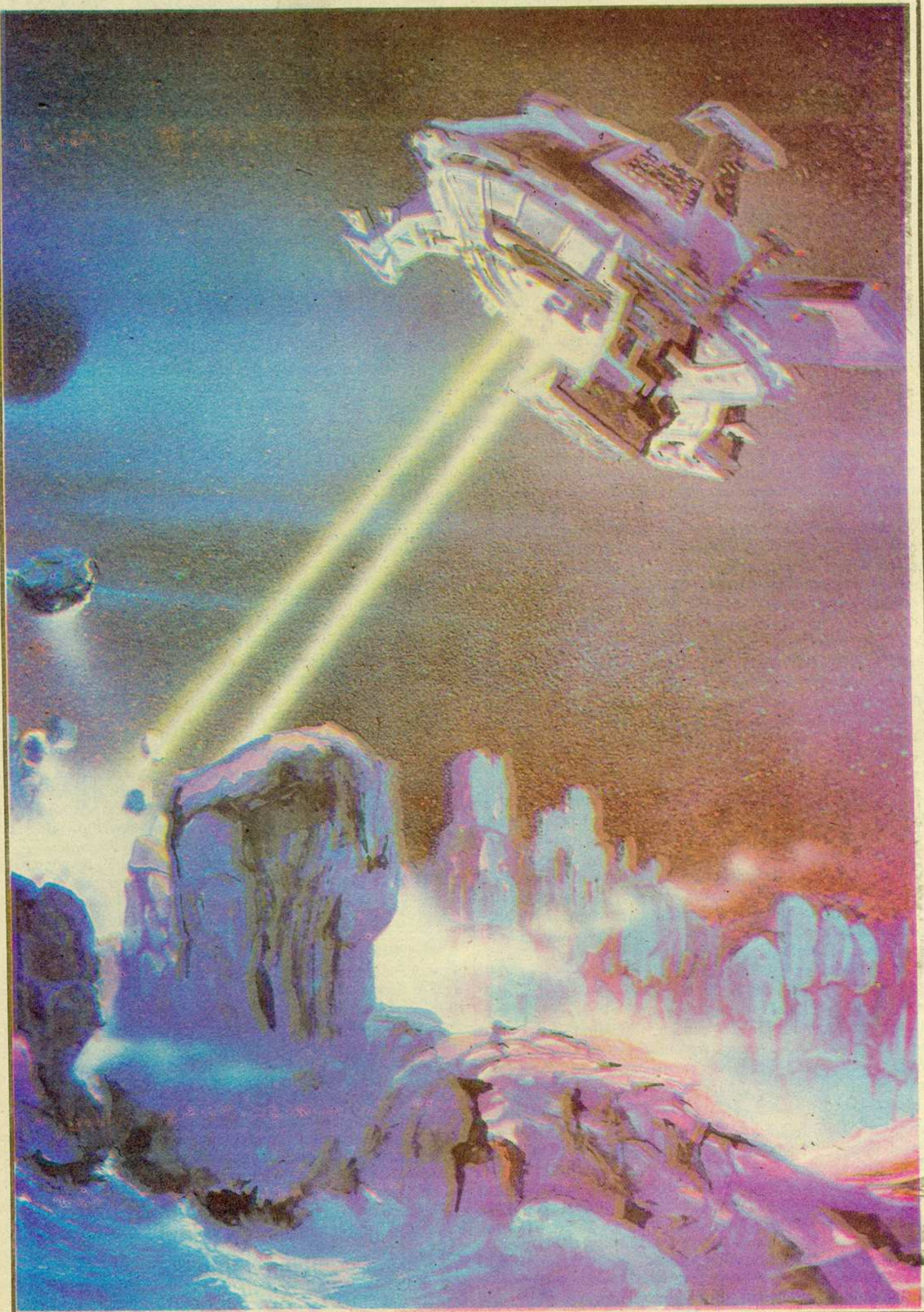
Kim lub czym był droll nikomu nie trzeba przypominać. Pojawił się znikąd i tylko przypadek sprawił, że trafił na niego przygodny botanik pan Alger Onet. W ciągu paru tygodni zmontowano kilkudziesięcioosobową grupę naukowców i ludzi różnych profesji. Związali się oni z Onahill na wiele długich miesięcy. Pochłonięci byli jednym problemem, przysparzającym wszelkich odmian frustracji. Zanotowano wśród nich próby samobójstwa. Ale tylko Phial Melbrewn zakończył próbę pełnym sukcesem. Był typem poszukiwacza-amatora. Bo nie profesjonalista, lecz amator ucieka w niebyt po wielu chybionych dociekaniach i niezadowalających próbach wytłumaczenia sobie trawiącego umysł problemu. Szukał, nie znalazł, a że mizernej był kondycji wszedł w strefę, z której wyciągnięto go za nogi. Szukali inni, lecz droll nie pozwolił uchylić rąbka tajemnicy. Tymczasem rąbek sam się uchylił przez pewne biuro usługowe zajmujące się wszystkim. Między innymi odległoterminowym doręczaniem przesyłek. Nie wiedzieli o tym, że list, który wedle zamówienia zanieśli do redakcji gazety „Continent", pochodzi od domniemanego genialnego superszantażysty lub jak kto woli, superchytrego geniusza. Ultimatum jak pamiętamy wstrząsnęło całym światem. Na trzy godziny przed upływem ostatecznego terminu wpłacenia żądanej sumy pieniędzy, rządy państw i władze organizacji międzynarodowych przyciśnięte do muru przez pomrukujące tłumy, podjęły decyzję. Płacą. Dziesięć milionów penarów zgubiło się w w pełni skomputeryzowanym, przepastnym Alcomp Bank. Ta machina przyjmująca i wydająca pieniądze zapewnia stuprocentową dyskrecję. Numer sejfu z dorobkiem superszantażysty bank poda po

Maciej GAŁASZEK

Urodził się w Bielsku Białej w roku 1963. Student Śląskiej Akademii Medycznej. Jeden z laureatów I Konkursu „Fantastyki"; jego wyróżnione opowiadanie „Manual skazanego" znalazło się w tomie „Trzecia brama" (Wydawnictwo Literackie, 1987). Inne, „Nosiciele", publikowane poza konkursem („Fantastyka" nr 3/85) przedrukowano w zeszycie „Bliskie spotkanie 2" (Iskry, 1987).

Prezentowane obecnie najnowsze opowiadanie Gałaszka „Plantator wydm" stanowi brawurową obronę tezy, że laureaci naszego pierwszego konkursu nie powiedzieli w science fiction ostatniego słowa. Podobny wniosek można było wyciągnąć po lekturze tekstu innego z laureatów, Grzegorza Stefańskiego, „Spleen nad miastem" („Fantastyka nr 6/87). (mp)

x 3 Jerzy Kurczak



zidentyfikowaniu określonego dźwięku. Tak zażyczył sobie klient. W najbliższej okolicy banku kręcą się setki superagentów wysłanych z zadaniem ujęcia przestępcy, najlepiej dzierżącego pod pachą dokumentację swych genialnych wynalazków. Tymczasem jest on jeszcze nieuchwytny, a droll już jest nieuchwytny. Nie wiadomo w jaki sposób wyłączyła się aparatura izolująca go od otoczenia. Być może wiązać to należy z facetem z zielonym goździkiem wpiętym w klapę różowej marynarki? Być może był to pozorowany włóczęga z nadajnikiem w kieszeni przetłuszczonego prochowca? Albo zwykły, nie rzucający się w oczy turysta w Onahill przyciskający palcem klawisz kolejnego rewelacyjnego wynalazku? A może komputer bankowy zadzwonił do pola prewencyjnego ze słowami: „O'key, forsa jest, drolla można puścić, pozdrów strefę". Nie, nie, to wszystko bzdury. Najprawdopodobniej robimy błąd szukając geniusza, podczas gdy wykonano na nim wyrok śmierci. Niegdyś tak karano na tych terenach koniokradów.

Z jedynego bełkotliwego kontaktu z drollem dowiedzieliśmy się o możliwości śmierci Tego Człowieka po zerwaniu więzi biologicznej z drzewem. Nie wiemy dlaczego miałoby się tak stać. A przepowiednia dokonała się. Trochę wszakże inaczej aniżeli można było się spodziewać. Umarł, a raczej został zgładzony. Czy tak ma wyglądać śmierć osieroconego symbionta lub komensala, który wplątał się w enigmatyczne uzależnienie? Czy to rodzaj ananke?

Jesteśmy przyzwyczajeni do niesamowitości, dlatego mord na Tym Człowieku wykonany przez Onesty'ego, pracownika DOPLAN-u przyjęty został ze wzruszeniem ramion znamionującym pełne zrozumienie. Czy Onesty złapał złodzieja na gorącym uczynku? Czy raczej inne pobudki kierowały nieskazitelnym dotąd Onahillczykiem? Pytania, pytania... Nie kończące się pytania. Naukowcy bezradnie patrzą na bogu ducha winne drzewo, gmerają patykami w piasku. Nie wiedzą co z sobą zrobić. Od samego początku nie wiedzieli co z sobą zrobić. Lecz teraz przechodzą samych siebie. Droll przestał istnieć. Po domniemanym geniuszu ani śladu. Onesty i Melbrewn, dość kontrowersyjne postacie, wyeliminowane z gry. Ginesmani chwilowo syci rekordów. Turyści wracają do zwiedzania starożytnych makiet. Badacze do swych przerwanych prac bardziej klarownych i jakże naukowych. Onahill opustoszało jak knajpa, z której nad ranem wychodzą po całonocnym balu goście, nie pijani już i jeszcze nie skacowani, za to spragnieni łóżka, mleka i świeżego powietrza. Oni nie zapomną zażyć tabletki od bólu głowy. My też nie zapomnijmy. Tak na wszelki wypadek.

*

Artykułu nie przyjęto. Za dużo żółci, a zbyt mało obiektywnej prawdy. W pełni popieram tę decyzję. Tak naprawdę było trochę inaczej. Ale tylko trochę.

Scena VIII

Usunąłem aparat spod nóg wisielca i położyłem go na stole. Próbując nie patrzeć w martwą twarz przyjaciela, stanąłem na krześle i przeciąłem nożem pasek, na którym wisiał. Nie zdążyłem go przytrzymać i rozległ się głuchy łomot padającego ciała na podłogę. Ułożyłem je w miarę naturalnie i przykryłem kocem. Po wykonaniu tej przykrej czynności odetchnąłem. Ale czas naglił, więc nie poświęciłem tej czynności zbyt wiele drogich sekund. Podszedłem do drzwi, przekręciłem klucz w zamku. Chciałem spokojnie, bez przeszkód dociec przyczyny samobójstwa Onesty'ego. Wziąłem do ręki aparat. Nie rozmyślając nad tym co to jest, po co, jak działa i dlaczego, wcisnąłem jeden jedyny klawisz. Po chwili ciszy i bezruchu przyszło mi na myśl, że aparat nieco podobny do odtwarzacza albo na coś jeszcze czeka, albo szuka dla mnie pozdrowień z zaświatów od swego konstruktora. Nie trzeba było być bardzo bystrym, by dojść do wniosku, że to produkt drollotwórcy. Z założonymi rękami czekałem na rozwój wydarzeń, aż moje rosnące obawy zostały rozwiane przez głos nieznanego mi brzmienia. Towarzyszyły mu nieznaczne zakłócenia, dlatego odruchowo wyciągnąłem dłoń chcąc go wyregulować. Umknęły mi przez to uwadze pierwsze słowa, następnych słuchałem już z rosnącym zaintrygowaniem:

...eny z retrospekcji

Scena I

Po pięciu minutach czekania na jakikolwiek gest ze strony Abby'ego, którego przyszedłem odwiedzić w skwarne południe, usłyszałem przytłumione mruknięcie. Abby Onesty nie wypuszczając z ręki nieodłącznej lornetki odwrócił się.

– Roe, ty zdaje się jesteś dziennikarzem?

– Dziesięć lat temu...

Zaraz, zaraz, zaraz... Włosy zjeżyły mi się na głowie. Miałem wrażenie „déjà vu" lub „déjà entendu". Ale przecież nie mam ani padaczki ani paramnezji. Co u licha.

...Nazwałbym to „Historią Onahillskiego Guida"...

Teraz dopiero mogłem umieścić te fragmenty w swojej przeszłości. Podszedłem do okna. Przytknąłem czoło do szyby. To o mnie – pomyślałem. – Nie, to raczej ja sam snuję wspomnienia. Podrapałem się boleśnie po policzku. Nic z tego nie rozumiałem. Gdy byłem zdolny skoncentrować się na skrzeczącym głosie dobiegającym z magnetofonu czy innego czorta, wątek już mi umknął.

...Na widok samolotu, mającego zabrać mnie do Onahill, zdumiałem się. Była to stara, pękata maszyna rolnicza typu „Bigoodworm"...

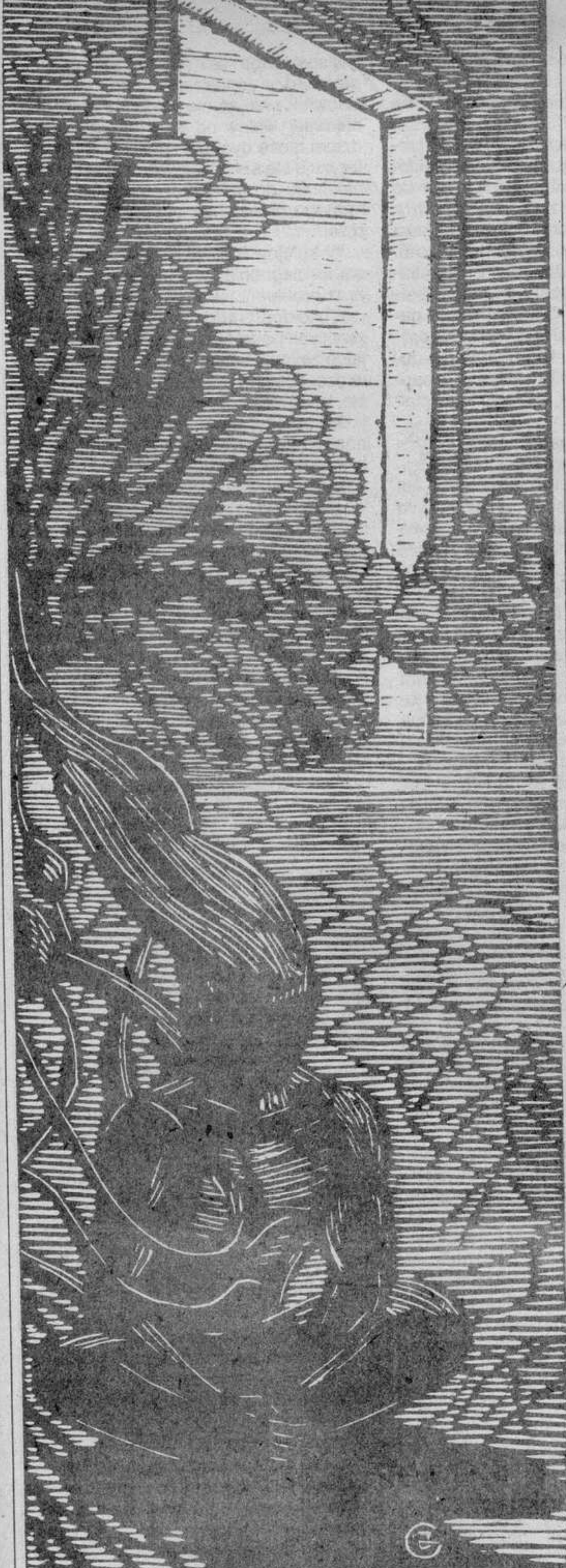
Powoli, niezmiernie powoli nabierałem pewności, że to moje, dubbingowane wspomnienia. Jakim cudem wypływają one z głośnika tego aparatu, nie wiedziałem. Nie chciałem wiedzieć, a raczej nie chciałem zwariować. Tknięty gwałtowną myślą zerwałem się z krzesła, dopadłem Onesty'ego, odrzuciłem koc na bok i jego sztywniejącym palcem dotknąłem klawisza. Nastąpiła cisza wypełniona bezładnymi, koszmarnymi konkluzjami. Pełny napięcia antrakt nie trwał długo. Z przerażeniem słuchałem beznamiętnego głosu, który nie należał do Abby'ego, tego byłem jeszcze pewien. Natomiast nie pojmowałem jednoznacznego podobieństwa, wręcz identyfikowania się z nim. Wyglądało to tak, jakby bardzo osobiste wspomnienia wzięte z pamiętnika Onesty'ego, czytane były przez jego sekretarza. To niesamowite. Tym bardziej że przeszłość coraz bardziej zbliżała się do teraźniejszości...:

...nie potrafię wyjaśnić co mną powodowało. Czułem, że muszę to zrobić. Działałem jak automat. Obudziłem się w nocy z gotowym planem usunięcia Tego Człowieka spośród żywych. Plan zapięty był na ostatni guzik. I rzeczywiście, pierwsze co zobaczyłem po przebudzeniu się to połówka drolla uciekająca na kradzionym koniu. Pognałem za nim wiedząc, że go ukarzę. Stało się tak jak się miało stać. Cieszę się tylko, że mogłem dokonać wyboru... miałbym się z pyszna gdybym był zmuszony zarąbać go siekierą. Po wykonaniu wewnętrznego przymusu jak w nakazie posthipnotycznym miałem poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Czułem się wyśmienicie. I wcale nie martwiła mnie perspektywa wieszania się. Tak trzeba było zrobić, bo wymagały tego okoliczności. Niczego nie żałuję, wręcz przeciwnie. Po pracowitym, udanym dniu nastaje pełen satysfakcji odpoczynek. Tobie też tego życzę, Roe, czeka cię dużo pracy.

Właściwie powinienem w tej przepojonej grozą sytuacji wyskoczyć przez zamknięte okno. Lecz nie zrobiłem nawet kroku. Za to uśmiechnąłem się. Szeroko i radośnie. Bardzo mnie to wszystko rozśmieszyło. Być może strach manifestował się rozbawieniem? Nie, raczej nie. Byłem święcie przekonany, że Onesty nie ułożyłby takiej wzniosłej spowiedzi. Przypominało mi to Okres Terroru Pomigracyjnego kiedy mówiło się tylko to, co było napisane na przydziałowej kartce. Na przykład „Jest mi dobrze, kocham swe lewe płuco gwarantujące mi wymianę gazową. Mam również nogi niosące mnie co rześki ranek do wspaniałego klozetu, gdzie oddaję porcję wonnego moczu. To wszystko zawdzięczam Biuru Migracyjnemu nr 154. Każdemu polecam usługi tegoż wielce humanitarnego Biura".

Starannie przykryłem na powrót ciało kocem. Zapragnąłem poznać moje następne wspomnienia. Wcisnąłem klawisz.

Pół godziny przed odlotem z Onahill wyszedłem z pokoju-kostnicy i postanowiłem ostatni raz spojrzeć na sosnę. A właściwie na szyszkę. Jedną, jedyną jaką urodziło drzewo



Janusz Gutkowski

zajęte żywieniem Roślina. Wyciągnąłem dłoń, by ją dotknąć i wtedy pomyślałem, że przecież mógłbym ją wziąć na pamiątkę lub nawet spróbować zasadzić nasiona. Tak... byłaby to w pewnym sensie osobliwość. Zerwałem szyszkę i spojrzałem na zegarek. Niewiele czasu pozostało mi do odlotu awionetki, a chciałem się jeszcze zorientować, czy znajdę takie połączenie samolotowe, by zdążyć przed zamknięciem Alcomp Bank. Miałem wszak nagrany głos drolla. Nie zaszkodzi spróbować. Byłbym zabezpieczony do końca życia. Ewentualne dzieci również.

– Ha! – wykrzyknąłem. – No to ci pokażę gdzie ja mam twoją pieprzoną szyszkę! – Wypadłem z pokoju nie wyłączając lepkiego głosika snującego się ze zwodniczego urządzenia, podbiegłem do drzewa. Najpewniej jakieś świństwo wykluło mi się się w głowie po ośmiu miesiącach przebywania w tym niezdrowym miejscu. Ale mimo to nie dam sobą manipulować.

– Chodź no tu, maleńka. – Zerknąłem na szyszkę. – Bełtaczu nieczysty, pozwól na chwilkę do wujka. Pokażę ci jak drollojad konsumuje szatańskie nasienie. – Zerwałem ją, wyłuskałem nasiona i napchałem sobie nimi usta. Część pogryzłem, a część połknąłem kalecząc gardło. Popiłem piwem. Nie mogłem utrzymać butelki w rozdygotanych rękach. Działałem jak w stanie maniakalnym. Po godzinie nudności, zwymiotowałem i skrupulatnie powybierałem z wymiocin zachowane w całości nasiona.

Epilog

Takiej burzy dawno u nas nie było. Wietrzna, deszczowa noc zachęciła mnie do rozpalenia w kominku. Usiadłem wygodnie w fotelu wyciągając nogi w kierunku płonących polan. Lewą dłoń rozgrzewała mi filiżanka z justyńskiej porcelany, w której parował mój ulubiony wywar z liści dawnej odmiany herbaty z Oranu. Prawą – ciepły cybuch tlącej się fajki, nabitej grubo ciętym tytoniem „Najznakomitszym", zaprawionym szczyptą wonności i kapką Cognacu. Osiągnąłem komfort psychofizyczny. Gdy na dworze szaleje zawierucha z głośnymi grzmotami i zacinającym deszczem, bębniącym o szybę, ja zapadałem w błogą drzemkę. Spałem już prawie kiedy rozległo się natarczywe stukanie w drzwi.

– Panie Roe! Niech pan otworzy! Słyszy mnie pan! Panie Roe, to ja, Kertycz!

Odstawiłem wystygły napój i ociężale podniosłem się z fotela. Domyślałem się z jaką nowiną przyszedł mój sąsiad. Otworzyłem drzwi. Stał za progiem, ubrany w ociekający wodą płaszcz przeciwdeszczowy. Kaptur opadał mu na oczy. Był podekscytowany.

– Co się stało? – zapytałem wpuszczając go do środka, mimowolnie spoglądając na zabłocone gumowce upstrzone rozdeptanym guanem.

– Słyszałem... płacz. Dochodził z pańskiej plantacji. – Zajrzał mi prosto w oczy. Na rzęsach osiadły mu kropelki wody. To był płacz dziecka. Dziwny jakiś.

Pokiwałem głową.

– To tylko wiatr zawodzi panie Kertycz. Rozhuśtane gałęzie skrzypią. Być może z gniazda pisklę wypadło.

– Ale słyszałem to nie po raz pierwszy. Poza tym płacz i kwilenie dochodzą z różnych miejsc.

– Na mojej, jak pan to szumnie nazwał plantacji, nie rośnie tylko jedno drzewo, panie Kertycz. Stąd dźwięki dochodzą z różnych stron. Pańska wyobraź...

– Na Boga, ja wyraźnie słyszałem płacz.

– Dziwi się pan? Aura nie sprzyja weseleniu się.

– Pan kpi ze mnie, a ja chciałem...

– Wiem co pan chciał. – Rozmowa już mnie znużyła. – Dziękuję, że się pan pofatygował. Nie trzeba było. Żadne zbłąkane dziecię nie znalazło się na mojej, hm, plantacji. Zapewniam pana. – Odprowadziłem go do drzwi. – Wszystko w najlepszym porządku – uprzedziłem jego pytanie, kiedy niezdecydowanie schodził z werandy i odwrócił się na moment.

Zamknąłem drzwi. Nie przekonałem go, to pewne. Będzie teraz węszył. Co zrobić, żeby te mechate szczenięta, niewiele mające w sobie z dzidziusiów, tak się nie darły? Wrzask był niewątpliwie ludzki. Bastard. W które miejsce dać klapsa? Jak je przytulić? Bałem się widoku wyłupiastych oczu, pełnych najzwyklejszych w świecie łez. Co za koszmarny melanż. Chyba jednak muszę wyjść, bo ten płacz sprowadzi niedługo jakąś surową damę z opieki społecznej. Cholera! Stać mnie w końcu na zatrudnienie najdroższej niańki i na kupno największych donic, które wstawiłbym pod zadaszenie. Jane Bishin – zaświtało mi w głowie. Gdy rozstawaliśmy się pięć lat temu na lotnisku, powtórzyła setny raz, że marzy o zwiedzeniu Mierzei. Zdecydowałem, że napiszę do niej i zrobiło mi się nieco raźniej. Włożyłem pelerynę i na wszelkie wypadek wsunąłem do kieszeni grzechotkę.

Maciej Gałaszek

Bez etykiety

Wydawnictwo Łódzkie udostępniło nam niedawno kolejną, po biografii pióra K. Andriejewa, książkę poświęconą osobie J. Verne'a. A raczej nie tyle osobie, ile dziełu. Istotna to różnica, bo zbytnio chyba przyzwyczailiśmy się do uproszczonego obrazu brodatego, poważnego pana, który napisał wiele niezwykle popularnych – a zarazem dość do siebie podobnych – powieści „dla młodzieży", powieści o „niezwykłych podróżach" i „niezwykłych wynalazkach". Schemat taki, choć na pewno w swym ogólnym zarysie odpowiadający prawdzie, jest równocześnie dla francuskiego pisarza nieco krzywdzący, ponieważ czyni zeń niejako autora „niższego rzędu", a jego utworom nadaje charakter literatury niezbyt „poważnej". Spojrzenie takie na pewno nie jest właściwe, gdyż z jednej strony, jeśli nawet miarą rangi powieściowego dzieła uczynimy stopień jego „realizmu" (co byłoby nie tylko upraszczające, lecz wręcz niesłuszne), to łatwo zauważyć, że świat przedstawiony powieści wielu innych uznanych pisarzy, powieści traktowanych jako niefantastyczne, jest w gruncie rzeczy równie nieprawdziwy, co i autonomiczny świat powieści J. Verne'a, z jego niezwykłymi wynalazkami, czy bez; z drugiej strony zaś, sam temat danej powieści nic nie mówi jeszcze o jej walorach literackich. Tymczasem to ostatnie zagadnienie w odniesieniu do powieści Verne'a było przez naszych literaturoznawców wyraźnie lekceważone.

Tak więc szczególne, można powiedzieć, uznanie należy się Janowi Tomkowskiemu, autorowi książki „Juliusz Verne – tajemnicza wyspa?", który odrzuciwszy utrwalone w naszej świadomości literackiej etykietki i gwałcąc otaczające niektóre tematy swoiste tabu, odniósł się do twórczości J. Verne'a z obiektywizmem i z wnikliwością badawczą równą tej, z jaką traktuje się dzieła pisarzy tej miary co E. Zola, G. Flaubert, G. Baudelaire. Rezultaty takiego potraktowania tematu są bardzo interesujące i zaciekawić mogą nawet mniej zorientowanego w danej problematyce czytelnika, tym bardziej że autor przedstawia swoje obserwacje w sposób nader przystępny, nadając im kształt swobodnego eseju.

Książka składa się z samodzielnych szkiców, które zarazem wiążą się w logiczną całość. Wspólnym ich tematem jest powieściowe universum „Niezwykłych podróży", potraktowane jako „tajemnicza" – ciągle jeszcze nie zbadana, a jakże ciekawa – „wyspa". Określenie „wyspa" wiąże się tutaj nie tylko z tytułem jednej z najpopularniejszych powieści Verne'a. Ma sens daleko głębszy. Oto bowiem, powieściowy świat Verne'a to w istocie całkowicie autonomiczny, zamknięty obszar, odcinający się zarówno od pozatekstowej, obiektywnej rzeczywistości końca XIX w., jak i od literackiego obrazu świata właściwego epoce naturalizmu, symbolizmu i dekadencji, w którym dominuje postawa zwątpienia i rezygnacji, bądź buntu, a któremu nierzadko towarzyszą demaskatorskie, bądź moralizatorskie intencje autorów. Jednakże świat Verne'a nie stanowi bynajmniej utopijnej wizji „pozytywistycznego raju": podlega niepodzielnej władzy „opatrzności", której funkcji człowiek przejąć nie może, i nie jest bynajmniej wolny od zła, którego narzędziem może być również nauka. Charakteryzuje się szczególnymi cechami, w odniesieniu do których Tomkowski używa ładnego określenia: „symetria pełna nadziei".

W kolejnych rozdziałach są podejmowane zagadnienia natury filozoficznej oraz problemy bardziej ogólne, z analizą „architektury" cudownego świata „Niezwykłych podróży", określeniem miejsca, jakie zajmuje w nim „cud" i „opatrzność", w szczególny sposób pojęta natura oraz zło, jak również tematy nieco „lżejsze", do jakich zaliczyć można temat robinsonady, analizę tkwiących w powieściach Verne'a elementów komizmu, czy wreszcie obserwacje dotyczące spraw natury kulinarnej. W efekcie powstała całość barwna i urozmaicona, bogata w ciekawe informacje oraz wolne od uprzedzeń, obiektywne obserwacje autora, który już we wstępie zapowiedział m.in. *umieszczenie na jednej stronie nazwiska Comte'a i Verne'a, w dodatku wydrukowanych tym samym krojem czcionki.*

„Juliusz Verne – tajemnicza wyspa?", to nie tylko książka potrzebna i mądra, lecz także świetna lektura. I dla tych, którzy dobrze znają powieści Verne'a, i dla tych, którzy ich nie znają. Może po przeczytaniu książki J. Tomkowskiego do nich sięgną.

Barbara Okólska

Jan Tomkowski: *Juliusz Verne – tajemnicza wyspa?* Wyd. Łódzkie, Łódź 1987. Cena 170 zł.

Bajeczka

Od początku można było się spodziewać, że wzrost popularności literatury science fiction spowoduje, iż część naszych wydawnictw zacznie produkować powieści z tego gatunku w tempie przyspieszonym, byle tylko napełnić kasę. O tym, że poziom tych produkcji w konsekwencji takich działań się obniża, nie muszę chyba nikogo przekonywać. Wina w tym przypadku leży nie tyle po stronie pisarzy, ile wydawnictw, a konkretnie redaktorów odpowiedzialnych za wybór pozycji przeznaczonych do publikacji.

Niedawno wpadła mi do ręki wydana nakładem Wydawnictw „Alfa" powieść „Pomnik" Lloyda Biggle'a. Po przeczytaniu tego utworu, z niejakim zdziwieniem spojrzałem jeszcze raz na tytułową stronicę, widnieje tam bowiem dedykacja – „Johnowi, Bee i Jackowi Flory'emu – wizjonerom". Moje zdziwienie było tym większe, gdy z notki dowiedziałem się, w którym roku Biggle stworzył swoje dzieło – 1974. Owo wizjonerstwo przypomniało mi pewne chwyty domorosłych wróżbitów – „Pokaż mi swój dowód osobisty, a powiem ci jak się nazywasz!"

Lloyd Biggle, Jr, z wykształcenia muzykolog, postanowił napisać utwór mający ostrzegać czytelnika przed niebezpieczeństwami nierozumnego postępowania człowieka ze swoim środowiskiem naturalnym. Jak postanowił, tak uczynił. W ten sposób powstało dziełko rażące i drażniące swoim naiwnym dydaktyzmem, sztampową konstrukcją i fabułą. A wszystko to w kilka ładnych lat po opublikowaniu przez U Thanta raportu dotyczącego zagrożenia naszej planety w wyniku postępującej degradacji środowiska naturalnego.

W „Pomniku" wszystko jest tak jak być powinno w tego typu banalnej bajeczce – akcja toczy się oczywiście na dalekiej planecie zamieszkałej przez potomków jednej z ziemskich wypraw kosmicznych. Panują tam szalenie skomplikowane i maksymalnie udziwnione relacje człowiek – środowisko, których najmniejsze zakłócenie prowadzić może tylko i wyłącznie do katastrofy. Na planecie ląduje kolejna wyprawa, której członkowie mają naturalnie złe zamiary (chcą wybudować supernowoczesny ośrodek wypoczynkowy dla turystów-milionerów), aczkolwiek nie mające nic wspólnego z celową eksterminacją tubylczej ludności. Na szczęście, dzięki „wspaniałym" (żeby było śmieszniej, są to członkowie Sił Zbrojnych USA), wszystko kończy się dobrze, a główny czarny charakter ponosi zasłużoną karę. Całość oprawiona jest kilkoma banalnymi szczegółami typowej dekoracji science fiction, jakiej nie używa się w Polsce przynajmniej od kilkunastu lat. Tego rodzaju twórczość, jako żywo przypomina mi działalność dawnych babć, grożących dobrodusznie palcem nieposłusznej dziatwie: „Oj, źle się dzieci bawicie!"

Wydanie „Pomnika" jest moim zdaniem dowodem na bardzo małą orientację niektórych wydawnictw w generalnych tendencjach science fiction, które pojawiły się już przed wieloma laty, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych czy Europie Zachodniej, ale także i w naszym kraju. Powieść Biggle'a jest w sumie typowym produktem trendu, jaki panował w polskiej SF w latach pięćdziesiątych.

Rozumiem, że wygodniej i taniej jest zapłacić pisarzowi tantiemy (w złotówkach), a tłumaczowi honorarium za przekład, niż wydać pieniądze na oryginalną twórczość któregoś z naszych autorów, ale nie wolno także zapominać o jakości, bowiem efektem takiej polityki, poza zniechęceniem czytelnika, będzie dalsze obniżanie poziomu proponowanej literatury. Tymczasem od kilku już lat istnieje na Zachodzie Europy (i nie tylko) nurt SF zajmujący się problemami ekologicznymi i społecznymi w sposób nader niekonwencjonalny: wystarczy wspomnieć choćby o literackich dokonaniach młodej generacji pisarzy science fiction w Republice Federalnej Niemiec.

Ukazywanie problemu w sposób w jaki uczynił to Biggle jest tylko kolejnym krokiem do jego banalizowania i usypiania czujności. Takie bywają efekty literackich ciągotek muzykologów. Gorzej gdy do ich poziomu zaczynają dostrajać się redaktorzy naszych wydawnictw roszczący sobie prawo do kształtowania gustów i postaw czytelniczych.

Wawrzyniec Sawicki

Lloyd Biggle, Jr: *Pomnik.* Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1986. Cena 210 zł.

Trylogia socjologiczna

Nieczęsto zdarza się, żeby autor zyskał popularność dzięki jednej książce. Tak stało się w przypadku Edmunda Wnuk-Lipińskiego, którego „Wir pamięci" (1979) uczynił go od razu znanym i uznanym autorem polskiej fantastyki naukowej.

Ale pisarzowi udało się równocześnie coś, co zdarza się jeszcze rzadziej. Swą powieścią otworzył w polskiej SF rozdział pod tytułem social fiction, który w następnych latach miał ją zdominować. Tuż za „Wirem"... pojawiły się książki innych autorów: Janusza Zajdla, Macieja Parowskiego, Marka Oramusa i Wiktora Żwikiewicza, dla których SF była metodą do opowiedzenia o polskich problemach współczesnych. Był to czas kiedy social fiction „czuło się w powietrzu", ale to właśnie Wnuk-Lipińskiemu udało się zapowiedzieć nadejście tej orientacji.

Był on jednak najmniej płodnym z wymienionych pisarzy. Co prawda, mówiło się, że powstaje dalszy ciąg „Wiru...", ale autor poświęcał się socjologii głównie zawodowo i na pisanie beletrystyki (nawet socjologicznej) nie zostawało mu dużo czasu. A kiedy książka była już napisana, kolejnych parę lat zabrało jej wydanie. I tak już (!) po dziesięciu latach w tym roku ma się ukazać „Rozpad połowiczny".

Trzecia i zarazem ostatnia część cyklu, zatytułowana „Mord założycielski", jest złożona w „Iskrach", które obiecują, że książka trafi do rąk czytelników w przyszłym roku. A ponieważ śląski oddział KAW zamierza wznowić „Wir pamięci", miłośnicy prozy Wnuk-Lipińskiego będą mieli możliwość skompletowania tej swoistej trylogii socjologicznej.

Na polskim rynku, którym nie rządziło do niedawna prawo równowagi podaży i popytu, wygląd zewnętrzny książki i jej tytuł – to, co powinno nęcić nas na pierwszy rzut oka – były w zasadzie bez znaczenia. Czytelnicy zazwyczaj wiedzieli jaką pozycję chcą kupić, zanim trafiała ona do księgarń. W przypadku fantastyki inwencję osłabiał chyba również fakt, że to co się ukazało i tak było wykupywane. Marek Oramus w swoim eseju „Siedem grzechów głównych polskiej science fiction" wymienił „tytuł" jako grzech pierwszy, pisząc: „*...tytuły niemal programowo rezygnują z oryginalności na rzecz skromności, sztampy, cichego kamuflażu, szarzyzny.* Dalej jednak stwierdza, że... *trafiają się odkrywcze i frapujące mianowania, np. „Wir pamięci", „Śpiew kryształu" czy choćby „Wróble galaktyki"*.

Wydaje się, że tytuły książek Wnuk-Lipińskiego są ważne, ponieważ rzeczywiście syntetyzują zamysł utworu. Nic więc dziwnego, że „Wir..." trafił do eseju Oramusa jako przykład pozytywny. Pomysł tytułu autor zaczerpnął z wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego: *A nocą w sen zgięci / w warczący wir pamięci / zobaczą drwale w lęku / przykuci nocy ręką / idące na nich prosto / topory sosen ostre.*

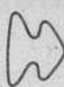
Równie interesujący jest tytuł jego nowej powieści. Tym razem jednak inspiracją nie była poezja, lecz fizyka. W dwudziestym wieku – atomowym, określenie rozpad połowiczny kojarzy się z pierwiastkami radioaktywnymi. Zgodnie z definicją, czas, po którym pierwiastek traci połowę ze swej aktywności nazywamy właśnie okresem połowicznego rozpadu. Oczywiście w książce odnosi się ona metaforycznie do zwykłych ludzi. Pojęcie rozpadu pojawiło się już w „Wirze pamięci", chodziło tam o rozpad osobowości. Główny bohater Albert Wardenson, jest człowiekiem, któremu zabrano przeszłość, wymazując ją i zastępując inną, fikcyjną. Autor stawia tezę, że historii (ani tej wspólnej, ani indywidualnej) nie można zniekształcać bezkarnie. Prawda jest jak sznur nanizanych kolejno koralików. Gdy wyrwie się choć jeden, zniszczona zostanie całość. Wymazanie z pamięci fragmentów życia wywołuje u bohatera męczące uczucie pustki. Tylko wyjaśnienie niepokojących faktów może uchronić go przed schizofrenią, czyli właśnie rozpadem osobowości. Akcja „Rozpadu połowicznego" toczy się w zakładzie resocjalizacji, gdzie spotykamy niektórych z poznanych wcześniej bohaterów. Ponieważ zostali uznani za nie nadających się do życia w społeczeństwie, żeby do niego wrócić muszą zmienić swoje postawy życiowe. Czy Wnuk-Lipiński nadając taki tytuł sugeruje, że jego postacie nie zostaną zniszczone do końca, lecz tylko „połowicznie", czy też wręcz przeciwnie, że stracą w czasie kuracji połowę swej żywotności, połowę siły, połowę aktywności? Czy ci na wpół ludzie mają być doskonałymi obywatelami Apostezjonu (tak autor ochrzcił świat, w którym rozgrywa się akcja wszystkich trzech książek)?

Apostezjon (*apostazja* – z gr. odchylenie od normy) jest wyspą, odseparowaną od reszty świata, różniącą się od niego także sposobem życia i rządzenia. Jego najwyższą władzą jest Zespół Ekspertów dążących do stworzenia państwa idealnego. Oni też, a nie ci, którzy mają stać się doskonali, ustalają obowiązujące ideały. W tym miejscu należałoby może odwołać się również do innych pisarzy uprawiających social fiction, którzy poruszali ten sam problem. Jednak wtedy zagadnienie przerosłoby ramy niniejszego szkicu. Tym razem zostańmy więc przy powieściach Wnuk-Lipińskiego. Pokazany jest w nich obraz społeczeństwa wyimaginowanego, ale bohaterowie stają w obliczu sytuacji, które mogą być udziałem każdego z nas. Autor kreśli szeroką panoramę stosunków społecznych, pokazując zarówno tych, którzy rządzą, z ich sposobem myślenia i działania, jak i zwykłych obywateli, żyjących z dnia na dzień i nie zastanawiających się zbytnio nad otaczającą ich rzeczywistością, ale także takich, którzy nie godząc się na narzucony im sposób życia sprzeciwiają mu się lub starają się żyć poza nim, tworząc margines będący nieuchronnym produktem systemu. Na przykładzie Wardensona pokazuje intelektualistów, którzy dali się zwieść pozornym ideałom Apostezjonu, należąc nawet do grupy rządzących wyspą, ale też potrafili po poznaniu rzeczywistego obrazu przeciwstawić się władzy, którą wcześniej wspierali swym autorytetem i odejść od niej. Przy tym akcja książki poprowadzona jest w lekkiej, sensacyjnej formie trzymającej czytelnika przez cały czas w napięciu.

Kiedy powstawał „Wir pamięci" Wnuk-Lipiński zawodowo zajmował się socjologią kultury i socjologią czasu wolnego. Bardziej interesowały go jednak systemy społeczne i nierówności społeczne – tematy, w których specjalizuje się ostatnio jako socjolog. Można zaryzykować tezę, że „niedzielne pisarstwo" wyzwoliło jego prawdziwe zainteresowania. Wnuk-Lipiński pisząc o potrzebie poszukiwania i odkrywania własnej tożsamości, poznawał zarazem samego siebie. SF nie była dla niego ucieczką od rzeczywistości, lecz kolejną możliwością wyrażenia dręczących nas problemów.

Wydaje się, że równie ważnym bodźcem dla jego pisarstwa był lęk przed kierunkami rozwoju i wykorzystania nauki (na przykład w celu manipulowania ludźmi). Już w „Wirze pamięci" autor poruszał problem możliwości ingerencji w funkcjonowanie ludzkiego mózgu, dyskutując tym samym nad kwestią wolności człowieka. Natomiast w „Rozpadzie..." sterowanie psychiką stało się głównym tematem książki. Tym razem autor rozważa możliwość modelowania ludzi na kształt i podobieństwo założonego ideału. Wyraźnie widać przy tym ewolucję bohaterów, coraz lepiej rozumiejących samych siebie, otaczający ich świat i swoje w nim miejsce. Kolejnym krokiem na drodze poznania będzie „Mord założycielski" – najpełniejsza i najbardziej dojrzała część trylogii, gdzie do wątku egzystencjalnego, który pojawił się w „Rozpadzie..." dojdzie jeszcze metafizyczny.

Postacie Wnuk-Lipińskiego są żywe i wiarygodne, dlatego też nie umierają, gdy pojawia się słowo KONIEC. Ciekawie ewoluuje od pierwszego do trzeciego tomu sylwetka Wardensona, jego przemiana jest zrozumiała psychologicznie. W „Rozpadzie..." natomiast najbardziej interesujące są zróżnicowane wybory jednostkowe pokazane na tle średniej świadomości. Niektóre postawy traktowane są jako anomalie, tylko jednak dlatego, że w Apostezjonie norma została sztucznie zmieniona. Natomiast obraz państwa w pierwszych dwóch tomach jest nazbyt sterylny i niezawodnie funkcjonujący w przejawach życia codziennego, co kłóci się z tezą autora o jego niedoskonałości. Dopiero w „Mordzie założycielskim" nieprawidłowości społeczne pociągną za sobą kłopoty w innych dziedzinach życia. Lśniąca chromem, wabiąca kolorowym plastykiem i bezbłędną techniką przyszłość jest spadkiem po literaturze SF lat sześćdziesiątych. Niełatwo było zrezygnować z wiary, że technika przyszłości rozwiąże wszystkie problemy. Jednak w trzecim tomie ponura rzeczywistość pojawi się bez osłonek. Jest to jeden z wielu punktów, gdzie proza polskiego autora spotyka się z tematyką poruszaną przez Philipa K. Dicka. Obaj obsesyjnie poszukują prawdziwego obrazu świata przedzierając się przez kolejne, złudne jego projekcje. I choć pomysł ten bywał wykorzystywany w fantastyce naukowej (ciekawie rozegrany przez Lema w „Kongresie futurologicznym"), zarówno dla Dicka, jak i Wnuk-Lipińskiego nie jest to temat, lecz pasja. Poruszają go nie dlatego, że są pisarzami SF, ale właśnie dlatego uprawiają science fiction, że najpełniej umożliwia ona pokazanie ich poszukiwań. Innym ważnym i wspólnym punktem twórczości tych dwóch, pozornie tak różnych pisarzy, jest fascynacja ideą Mesjasza i męczeństwa, jako drogi do zbawienia, nie siebie, lecz innych. Stwarzają na



kartach powieści postacie, które swym cierpieniem sprawiają, że staje się to, co wyglądało na niemożliwe. Wydaje się przy tym, że u Dicka jest to rodzaj buntu przeciwko kulturze amerykańskiej, a u Wnuk-Lipińskiego powrót do tradycji kulturowych naszego obszaru cywilizacyjnego. Zbawiciel wykreowany przez tego ostatniego objawi się dopiero w „Mordzie założycielskim", ale czytelnik, nie wiedząc jeszcze o tym, spotyka go już w poprzednich książkach. W „Rozpadzie..." natomiast mamy obraz współczesnego męczeństwa.

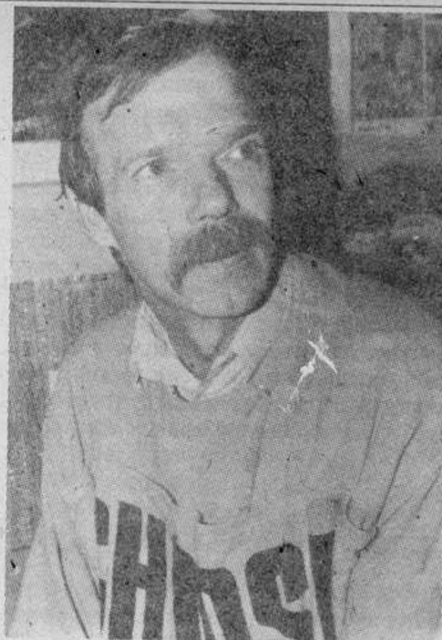
Często zarzuca się literaturze SF, że ignoruje sferę uczuć. Jednak nie u Wnuk-Lipińskiego. Jego bohaterowie kochają się lub przestają się kochać, są ze sobą albo rozstają się. Jak w życiu. Autor popełnił jedynie błąd uwierzywszy w trwały rozpad instytucji rodziny, będący jednym z haseł ruchów młodzieżowych lat sześćdziesiątych. Prognoza ta, jak widać w dwadzieścia lat później, była mylna, co zresztą przyznaje również autor, pokazując w „Mordzie..." stosunki odpowiadające modelowi współczesnemu. W „Wirze...", jeżeli czytamy go dzisiaj, nieco razi, że nawet temporyści, grupa mieszkańców Apostezjonu odrzucająca „dobrodziejstwa" czasów im współczesnych i zachowująca tradycje (sprzed Wielkiej Zmiany), tym tylko nie różnią się od reszty społeczeństwa, że i ich związki są krótkotrwałe i nie mają większego znaczenia dla struktury społecznej. Jest to posthuxleyowskie widzenie nowego, pięknego świata.

„Rozpad połowiczny" nie zestarzał się, choć otrzymujemy go w pięć lat od jego napisania. Emocje kierujące bohaterami są wieczne. Strach, nienawiść, miłość, przyjaźń nie zależą od mód literackich, a jest to niewątpliwie ta część trylogii, w której emocje najdobitniej dochodzą do głosu. Można zaryzykować twierdzenie, że głównym bohaterem tej książki jest strach. Tkwi on w postaciach i istnieje także wokół nich. To jemu podlegają, z nim walczą, przełamują go czasem bohaterowie Wnuk-Lipińskiego, który pokazuje jak różne mogą być postawy w obliczu strachu. I choć finał książki pozostawia nam nadzieję, zakończenie, jak zwykle u tego pisarza, jest pozornym lub przynajmniej niecałkowitym happy endem.

Każdą z części trylogii Wnuk-Lipińskiego można traktować jako osobną powieść, jednak dopiero przeczytanie całości ukazuje nam pełen obraz świata stworzonego przez pisarza. Można zaryzykować twierdzenie, że w tym przypadku całość jest większa od sumy składników – może nie jest to w zgodzie z matematyką, ale tu wydaje się trafne. Tak więc już niedługo ukaże się „Rozpad połowiczny", a za rok trylogia będzie kompletna. Ale życie płynie dalej, a pisarze, którzy najwierniej zapisują historię, mają i będą mieli jeszcze wiele do napisania. Czas nie stoi w miejscu i inny jest już nasz stan wiedzy, świadomości i doświadczeń niż na początku lat osiemdziesiątych. Pojawiają się nowe mody i nowi pisarze, którzy chcą pokazać swoje widzenie świata przez pryzmat SF. Social fiction nie umarła, lecz ciągle ewoluuje, razem ze zmianami, które w nas zachodzą. Tego typu zmiany są niezwykle trudnym, ale i ciekawym wyzwaniem dla pisarza. Ciekawe jak odpowie na nie Wnuk-Lipiński?

Dorota Malinowska

Edmund Wnuk-Lipiński: *Wir pamięci*, Czytelnik, Warszawa 1979; *Rozpad połowiczny*, Czytelnik, Warszawa 1988; *Mord założycielski*, Iskry, Warszawa 1989 (plan).



Fot. Zbigniew Latała

Fantastyka pozwala powiedzieć więcej...

z Edmundem Wnuk-Lipińskim rozmawia Rafał A. Ziemkiewicz

Rafał A. Ziemkiewicz: *– Jest pan naukowcem, socjologiem. Jak to pogodzić z pisarstwem SF?*

Edmund Wnuk-Lipiński: – Bywa to trudne, ale trudności te wynikają przede wszystkim z konieczności dostosowywania się za każdym razem do innej konwencji. W gruncie rzeczy jednak, siadając do pisania, chce się zawsze przekazać innym pewne sprawy, które uważa się za warte tego. W moim wypadku te sprawy pozostają niezmienione, tyle że nie wszystko mieści się w konwencji pracy naukowej.

– Czy to było właśnie powodem, dla którego zaczął pan pisać fantastykę?

– Tak, to była główna przyczyna. „Wir pamięci" powstał właśnie dlatego, że używając – nazwijmy to – „socjologicznych" środków wyrazu nie byłem w stanie przekazać tego, co dręczyło mnie pod koniec lat siedemdziesiątych.

– Powstało równolegle z nim kilka powieści bardzo podobnych do pańskiej. Czy znał pan ich autorów, czy można tu mówić o jakichś wzajemnych wpływach?

– Wtedy chyba w ogóle nie było jeszcze żadnego ośrodka, który grupowałby ludzi zajmujących się zawodowo fantastyką. Ja w każdym razie trafiłem do tego środowiska dopiero w latach osiemdziesiątych, w dwa lata po debiucie. Myślę, że druga połowa lat siedemdziesiątych stworzyła pewien specyficzny klimat intelektualny. Uwrażliwił on wielu ludzi na sprawę przyszłości systemów społecznych, kazał się nad tym głębiej zastanowić. Stąd chyba wzięły się podobieństwa w powieściach, uznawanych dzisiaj za kanon fantastyki socjologicznej.

– Pomówmy o tej fantastyce. Dlaczego debiutujący wówczas autorzy sięgnęli po konwencję science fiction? – Czy – jak się często uważa – była to jedynie próba ominięcia przeszkód cenzuralnych?

– Nie sądzę. Orwell czy Huxley nie musieli przecież krępować się żadną cenzurą, a mimo to użyli tej samej konwencji. Nie „zamiast", ale dlatego, że dawała im większe możliwości, mogli dzięki niej powiedzieć więcej i ostrzej – w sensie artystycznym – niż dzięki jakiejkolwiek innej. To samo przesłanie wtłoczone w ramy, dajmy na to, powieści współczesnej, nie miałoby tej siły i tej sugestywności. Ale wiem, skąd bierze się pogląd, który pan zacytował. Fantastyka socjologiczna bywa często odbierana w sposób niezupełnie właściwy, poszukuje się w niej wyłącznie aluzji do aktualnych wydarzeń i układów. To bzdurne; literatura nie może składać się jedynie z aluzji. Buduje się tu pewną metaforę świata, która powinna być odnoszona nie tylko do jednego, konkretnego społeczeństwa „tu i teraz".

– Tak jest i w „Wirze pamięci".

– Ta powieść powstała w efekcie pewnego eksperymentu myślowego: jak wyglądałoby społeczeństwo, wymodelowane według pewnych tendencji, które ujawniały się wtedy w otaczającym nas świecie – przy założeniu, że dałoby się wprowadzić je w życie. Jak już powiedziałem, nie mogłem tego zrobić w pracy socjologicznej. Nauka nastawiona jest na badanie i objaśnianie tego, co istnieje, nie na zastanawianie się „co by było, gdyby..."

– Czyli postąpił pan tak samo, jak autorzy ze stajni Campbella. Tyle że przedmiotem ich gdybania były nauki ścisłe.

– Chciałem napisać to, czego mi osobiście w SF brakowało. No i oczywiście wykorzystać przy tym wiedzę, jaką daje mi mój zawód.

– Czy w takim razie słuszne jest stwierdzenie, że fantastyka socjologiczna dokonała w polskiej SF przełomu? Przecież metoda pisania jest tu identyczna jak w klasycznej SF, sięgnięto tylko po inny materiał.

– To sprawa etykietek. A etykietki są ważne przede wszystkim dla czytelników, którym pozwalają swobodniej poruszać się wśród książek. Dla autora ma to mniejsze znaczenie. Ja zresztą, pisząc, nie staram się dopasowywać do istniejących klasyfikacji, raczej przeciwnie – utrudnić trochę życie klasyfikatorom. Poza tym, pamiętać trzeba, że fantastyka – ta najlepsza, nie ta od potworów – zawsze zastanawia się przede wszystkim nad tym, jak w tej zbudowanej przez autora rzeczywistości zachowałby się człowiek. Jak funkcjonowałyby w niej stare dylematy moralne, wyartykułowane już w tragediach antycznych.

– Obawiam się, że klasyfikatorzy i tak mają wystarczająco ciężką pracę. Trudno jest wytyczyć granice fantastyki socjologicznej, na dobrą sprawę mieści się w niej sporo dokonań, wcale z tym terminem nie kojarzonych.

– Na przykład niektóre z podróży Ijona Tichego, w których Lem wykazał się absolutnym słuchem społecznym, pokazując, w jaki sposób zbiorowości ludzkie bywają zniewalane przez doktrynę. To było przecież pisane na wiele lat przed wymyśleniem nazwy social fiction. W literaturze jest podobnie jak w naukach społecznych: ilekroć zrodzi się w niej jakiś nowy prąd, zawsze się okazuje, że ktoś już kiedyś w ten sposób myślał i pisał. Są także takie utwory, których nie zalicza się do fantastyki socjologicznej, chociaż moim zdaniem niewątpliwie do niej należą, ponieważ wyszły spod piór pisarzy zupełnie z gettem SF nie związanych. Myślę tu przede wszystkim o „Małej Apokalipsie" Konwickiego.

– Była taka teza, że fantastyka socjologiczna pojawiła się u nas jako literatura „zamiast"...

– To niesłuszne, chyba już wyjaśniłem, dlaczego. Rozwinęłaby się zapewne tak czy owak.

– Ja bym to rozumiał trochę inaczej: nie zamiast tego, czego literatura nurtu głównego dać nie mogła, tylko czego dać nie potrafiła. Jeden z wybitnych literaturoznawców powiedział kiedyś, że sztuka w swym rozwoju coś zgubiła, i to „coś" podjęte zostało przez kulturę masową. Można te słowa odnieść i do naszej fantastyki: podchwyciła po prostu sprawy, które nurt główny odrzucił albo przetworzył w formy zupełnie niestrawne dla czytelników.

– Z tym się zgodzę. Jest to zresztą jedna z podstawowych zasad mojego pisarstwa: przekazując istotne dla mnie treści, muszę zawsze pamiętać o formie, w jakiej to robię. Żeby była ona, mówiąc najkrócej, atrakcyjna. Dlatego staram się zawsze przyciągnąć czytelnika, zaintrygować go żywą fabułą – to chyba uprawniony i uczciwy chwyt. Dopiero wtedy mogę liczyć, że czytelnik nie zatrzyma się na tej pierwszej, fabularnej warstwie, że zacznie zadawać sobie pytania: dlaczego świat powieści jest właśnie taki? Dlaczego tak potoczyły się losy bohaterów? A jak ma się do tego nasz świat, nasze losy? Jeżeli przynajmniej u części odbiorców takie pytania się pojawią – to fajnie, o to właśnie chodziło.

– Dzięki tej zasadzie fantastyka ma dziś duży wpływ na społeczeństwo.

– Nie przesadzałbym z tym. Oczywiście, w jakiś sposób lektury fantastyczne mogą wpływać na kształtowanie się postaw, ale w gruncie rzeczy fantastyka dociera tylko do drobnej części potencjalnych odbiorców. Jest to większa liczba, niż w wypadku nurtu głównego, ale zupełnie znikoma, jeśli porównać ją na przykład z Mickiewiczem czy Sienkiewiczem. Badania dowodzą, że to właśnie klasyka ma na nasze społeczeństwo stosunkowo największy wpływ. Trudno się zresztą temu dziwić.

– Zarzuca się fantastyce socjologicznej, że koncentruje się na opisie dramatów całych społeczeństw i systemów, prawie nie istnieją w niej natomiast dramaty żyjących w tych systemach ludzi. W „Wirze pamięci" postaci były dość blade, istniały tylko o tyle, o ile były potrzebne dla fabuły...

– Spotkałem się już z tym zarzutem. Dlatego w „Rozpadzie połowicznym" starałem się wydobyć przede wszystkim ludzkie namiętności, lęki i nadzieje – system był tutaj tylko tłem. W trzeciej części trylogii, zatytułowanej „Mord założycielski" starałem się już pokazać i jedno, i drugie. Zobaczymy, na ile mi się to udało.

– W latach osiemdziesiątych powieści socjologiczne wzbudziły u nas autentyczny entuzjazm wśród recenzentów i fanów. Teraz, mam wrażenie, wahadło odbija w drugą stronę. Można się spotkać z opiniami, że powiedziano w nich niemal już wszystko, co fantastyka socjologiczna miała u nas do powiedzenia.

– Można równie dobrze powiedzieć, że już w „Utopii" Morusa i „Mieście słońca" Campanelli powiedziane zostało wszystko o problemach egzystencjalnych człowieka w społeczeństwie. Tymczasem nasz świat wciąż się zmienia, wciąż pojawiają się nowe problemy, które musi podejmować literatura. Myślę, że dalszy rozwój fantastyki socjologicznej nie będzie tylko uzupełnianiem już zbudowanej konstrukcji, raczej szukać się będzie nowego paradygmatu myślenia o człowieku w społeczeństwie. Możliwości tego gatunku są tutaj ogromne.

– W czwartym tomie „Almanachu literackiego Iskier" znalazła się taka wypowiedź Wacława Sadkowskiego: „SF wyrosła z literatury jarmarcznej, dostarczającej czytelnikom emocji z dreszczykiem, dopiero z czasem uszlachetniła się. U nas rzecz zdaje się brać początek z wieszczbiarstwa, autorzy SF chwytają się z punktu za największe problemy, których udźwignięcie zdaje się przerastać możliwości gatunku".

– Nie sądzę, żeby jakiekolwiek problemy przerastały możliwości gatunku. Mogą przerastać pisarzy, ale to zupełnie co innego. A co do pochodzenia SF – oczywiście, to prawda. Film wyszedł z jarmarcznej budy, teatr – z ulicznego kuglarstwa. Sama literatura też nie zawsze cieszyła się w dawnych wiekach najlepszą reputacją. Nie należy mieć z tego powodu kompleksów.

– Pisze pan stosunkowo niewiele.

– Nie jest to mój główny zawód, przede wszystkim jestem socjologiem. Powiedziałem już kiedyś o sobie, że jestem pisarzem niedzielnym.

– I pisze pan w sposób bardzo tradycyjny. Znam wielu ludzi, którzy tego typu literaturę skreślają z założenia, twierdząc, że tak się pisało w dziewiętnastym wieku.

– Dla mnie forma jest sprawą drugorzędną. Staram się tylko, żeby lektura moich tekstów była zajmująca. A że zajmująco pisano głównie w dziewiętnastym wieku...

– I nigdy nie ciągnęło pana do „strumienia świadomości"?

– Nie lubię w literaturze udziwnień. Chociaż, oczywiście, można znaleźć wiele książek, w których pewne zabiegi formalne pozwalają usprawnić przekaz. Choćby „Mechaniczna pomarańcza" Burgessa.

– O to mi właśnie chodziło...

– Nigdy jakoś nie zastanawiałem się nad tym, jakie zabiegi formalne zastosować w powieści – może dlatego, że jestem pisarzem niedzielnym. Po prostu siadam i piszę. Na razie wszystko mieściło mi się w tradycyjnej formie.

– Ale pańskie powieści są niezwykle precyzyjnie skonstruowane, do najdrobniejszych szczegółów. Nie chce mi się wierzyć, żeby było to tylko efektem intuicji.

– Ale tak właśnie jest. Maciej Parowski, porównując kiedyś moje pisarstwo z tekstami Marka Oramusa – nie wiem, czy gdzieś to napisał, czy pozostało to tylko w rozmowie – stwierdził, że Oramus „pisze bebechami", a ja układam precyzyjnie zaprojektowane konstrukcje, w których nie ma już miejsca na żadną spontaniczność. Być może tak to z zewnątrz wygląda, ale to nieprawda. Siadając do pisania mam oczywiście pewien zamysł, ale funkcjonuje on tylko jako rozrusznik. Po kilkudziesięciu stronach postacie zaczynają żyć własnym życiem i muszę sam podążać za nimi. Wiem z grubsza, jak która z nich może zachować się w określonych warunkach, żeby nie było to psychologicznym nieprawdopodobieństwem. Reszta rodzi się w zasadzie sama. Czyli, jest to jak najbardziej spontaniczne.

Piotr Szulkin nosił się kiedyś z zamiarem przeniesienia „Wiru pamięci" na ekran. Zabierając się do pisania scenariusza prosił mnie o „drabinkę", to znaczy o schemat zależności między postaciami. „No, przecież chyba bez tego nie pisałeś?" A ja w ogóle nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– Taka SF, jaką pan uprawia, przechodzi u nas powoli na pozycje „klasycznej" fantastyki. Pojawiają się nowe prądy, trochę surrealistyczne, trochę oniryczne, rodzi się w ciężkich bólach polska fantasy. Czy konkurencja jest teraz silniejsza niż w czasach pańskiego debiutu?

– Tak, i oby była jak najsilniejsza. Im więcej różnych nurtów, tym lepiej, to znaczy, że gatunek żyje. Ale myślę, że fantastyka socjologiczna, jako gatunek, może się jeszcze długo nie bać konkurencji.

– Mam nadzieję, że w chwili publikacji tego wywiadu „Rozpad połowiczny" będzie już na rynku. Trzecia powieść, „Mord założycielski" złożona już jest w „Iskrach".

– Tak, i to już koniec tego cyklu. Jest w nim pewien zamysł, który, jak sądzę, da się zauważyć po lekturze wszystkich trzech części. Ale na razie może nie ma co o tym mówić. Książki powinny bronić się same.

– Koniec trylogii o Apostezjonie, ale chyba nie zamierza pan na tym skończyć pisania fantastyki?

– Oczywiście, że nie.

– Co będzie dalej?

– Sam jeszcze nie wiem. Zobaczymy.

– Dziękuję za rozmowę.

(grudzień 1987)

Pikulski Zygmunt
(ur. 1928)
Dziennikarz, popularyzator nauki, autor SF

Urodził się 23 marca 1928 r. w Częstochowie. W latach 1948-1953 studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel, następnie w zespole redagującym „Nową Księgę Przysłów Polskich" pod kierownictwem prof. Juliana Krzyżanowskiego. Od 1959 r. dziennikarz w „Kurierze Lubelskim", zajmuje się popularyzacją nauki, prowadzi stały felieton „Przez szkiełko futurologii". Podobne felietony pisywał w latach 1975--1981 do „Tygodnika Kulturalnego", a ostatnio do „Przeglądu Tygodniowego" („Nauki z nauki"). Wybory wspomnianych tekstów ukazywały się w formie książkowej: „Na progu XXI wieku" (1978), „Niebo nad głową" (1980), „Przez szkiełko futurologii" (1985). Autor dwóch kryminałów pisanych pod pseudonimem Robert Lande („Ostatni śmieje się morderca" i „Koszmarne sny pani Farder"). Tłumacz powieści G. Simenona (Maigret zastawia pułapkę, Maigret i storey).

W 1969 r. ukazał się zbiór opowiadań fantastyczno-naukowych Zygmunta Pikulskiego **„Nie ma mądrych"** (Wydawnictwo Lubelskie; zawartość: Jedyny przyjaciel gangsterów, Wczasy na Arcturusie, Nie ma mądrych, Fatalna podróż, Wyrok), a w 1985 r. powieść **„Pojedynek z upiorem"** (Wydawnictwo Lubelskie), nawiązująca do motywacji fantastycznej z pogranicza cudowności i niesamowitości (wątek parapsychologiczny).

Twórczość Zygmunta Pikulskiego sięgająca do wzorców beletrystyki popularnej dotyczy psychologicznych i społecznych konsekwencji zastosowania niezwykłych wynalazków. W opowiadaniu „Jedyny przyjaciel gangsterów" profesor parapsychologii, konstruktor aparatu do odczytywania myśli, pomaga w wykryciu niebezpiecznych przestępców. W tytułowej historii zbioru „Nie ma mądrych" uczony wynajduje aparat służący do rejestrowania fal elektromagnetycznych i przekazuje kobiecie wyobrażenia o idealnej żonie, ratując jej małżeństwo przed rozpadem. Istotny problem pojawia się w „Wyroku", gdzie nowego typu elektroencefalograf umożliwia przeprowadzenie niewidzialnej operacji na psychice człowieka i dokonanie korekty stanów emocjonalnych.

Pisarski Roman
(1912-1969)
Nauczyciel, literat

Urodził się 23 marca 1912 r. w Stanisławowie. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był nauczycielem w liceach ogólnokształcących Gliwic, Wrześni, Zabrza i Poznania. Od 1952 r. zajął się wyłącznie twórczością dla dzieci i młodzieży.

Debiutował w 1939 r. wierszem „Granica" opublikowanym w „Kurierze Literacko-Naukowym". Autor wierszowanych opowiadań, audycji radiowych, tekstów piosenek dziecięcych (m.in. „Podróże małe i duże", 1958; „Gliniane kogutki", 1962; „Domy, zamki, pałace" 1963; „O psie, który jeździł koleją", 1967). Zmarł 10 lipca 1969 w Warszawie.

W 1966 r. opublikował opowiadanie dla młodzieży **„Sztuczny człowiek"** (PZWS, Warszawa). Jest to historia o robocie podarowanym chłopcu przez ojca – genialnego inżyniera, opatrzona dydaktycznym przesłaniem: automat nie może zastąpić człowieka i wyręczyć go w pracy koncepcyjnej. Inne opowiadanie Romana Pisarskiego **„Sprzęgło czasu"** (nie publikowane w kraju) ukazało się w RFN-owskiej antologii „Die gelbe Lokomotive und andere Kindergeschichten aus Polen", 1975).

Połom Stefan
(ur. 1938)
Historyk, literat, popularyzator nauki

Urodził się 10 grudnia 1938 r. w Toruniu. Ukończył Wydział Historii i Wydział Filozofii na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 1962-1965 pracownik muzeum we Fromborku. Kierownik literacki rozgłośni Polskiego Radia w Olsztynie, prezes tamtejszego klubu literackiego. Członek Towarzystwa Miłośników Astronomii, autor artykułów o tematyce astrologicznej zamieszczanych na łamach „Warmii i Mazur", „Gazety Olsztyńskiej". Jako poeta debiutował w „Nowej Kulturze" (1960). Opublikował kilka zbiorów poetyckich, w których znalazły się tzw. wiersze astralne: „Przymierze obłoków" (Pojezierze, Olsztyn 1964), „Włócznie" (PIW, Warszawa 1967), „W cieniu sierpnia" (Pojezierze, Olsztyn 1971), „Wierność" (Pojezierze, Olsztyn 1978), „Rok bez nieba" (Pojezierze, Olsztyn 1983).

Nowelistykę fantastyczną zamieścił – obok innych utworów – w zbiorze **„Siódmy wspaniały świat roślin"** (Pojezierze, Olsztyn 1977; zawartość: Znak oczu, Siódmy wspaniały świat roślin, Wieczny ogień, Przejazd, Sen o Adelajdzie, Karmiciel ptaków, Bułanka, Czekaj, ja wrócę, Białe konie, Alicja, Porcelana Fuerstenberg, Nokturn z morzem, Nokturn ze śniegiem, Wieczór w kurorcie, Człowiek z hotelu, Hotel „Interes", Konwalie, Z lwicą). W 1982 r. wydał **„Wzgórze Jasnowłosej"** (Pojezierze, Olsztyn; tu nowela SF: Straże gwiazd).

Fantastyka naukowa Stefana Połoma jest rodzajem kostiumu literackiego, jej przesłanie podąża w kierunku motywacji onirycznych, metafizycznych pozostawiając czytelnikowi pewną swobodę interpretacji wydarzeń. I tak na przykład „Wieczny ogień", „Siódmy wspaniały świat roślin" opowiadają o zagadkowości ludzkiego życia, jego dziwnych przypadkach i formach istnienia. W „Strażach gwiazd" odkrywamy poetycką parafrazę „kontaktu" przebiegającego w wyobraźni człowieka.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Wbrew pozorom inne są źródła literatury, inne zaś filmu fantastyczno-naukowego. Jak zauważa William Johnson w swym artykule „Podróż do krainy science fiction": ***historycy literatury science fiction zazwyczaj szukają jej antenatów cofając się poprzez Swifta i Keplera aż do Lukiana z Samosaty*****[1], natomiast film SF wywodzi się z tradycji widowiska, zaś jego „ojcem" jest autor „Podróży na Księżyc" (1902) – Georges Méliès. Inaczej wyglądał też rozwój filmowej fantastyki. U podstaw literatury SF odnaleźć można fascynację techniką i przyszłością (optymistyczną – jak u Verne'a, lub pesymistyczną – jak u Wellsa), natomiast film SF czerpie inspirację z wymienionego wyżej widowiska oraz z fantastyki grozy. Wymownym przykładem jest charakterystyczny właśnie dla filmu nurt fantastyki poświęconej gigantycznym potworom (np. „Godzilla", reż. Inoshiro Honda; 1954), gdyż łączą się w nim oba te elementy. W przytoczonym artykule Johnson zauważa, że – w przeciwieństwie do literatury –** ***film SF jest formą rozrywki masowej, tworzonej przez ludzi, którzy miesiąc wcześniej pracowali nad westernem, a za miesiąc będą robić dreszczowiec*****[2]. Dopiero w ostatnich latach sytuacja ta nieco się zmieniła.**

1. Literatura a film SF

Inną jeszcze różnicę między literaturą a filmem fantastyczno-naukowym ukazuje John Baxter. Twierdzi on, że właściwym *bohaterem fantastyki naukowej (literackiej) są raczej zjawiska czy idee, mniej zaś poszczególne jednostki – co w przypadku utworu filmowego, gdzie tworzywem jest konkretny obraz – jest znacznie trudniejsze do zaakcentowania. I czego film SF, z reguły będący iluzyjną zabawą, nigdy prawie nie próbuje...*[3].

W tym samym artykule Baxter przygląda się widowni filmów science fiction i zauważa, że nie składają się na nią czytelnicy fantastyki naukowej, gdyż dla nich poziom owych obrazów jest zbyt niski. Ale ten typ filmów odrzucają również kinomani, ponieważ nie wytrzymują one konkurencji z dobrze zrobionym filmem sensacyjnym, wojennym czy horrorem. Autor ten stwierdza wręcz: *w pewnym sensie filmy SF nie należą ani do fantastyki naukowej, ani do kina*[4].

Oczywiście uwagi te nie w pełni dotyczą najnowszej fali filmów SF (bijących zresztą wszelkie rekordy popularności), ponieważ w ostatnich latach za sprawą młodych twórców amerykańskich dokonała się w filmowej fantastyce istna rewolucja. I to nie w nurcie elitarnej fantastyki – film Stanleya Kubricka z 1968 roku „2001: Odyseja kosmiczna" (według A. C. Clarke'a) do dziś pozostał niedoścignionym unikatem, chociaż niedawno doczekał się

fabularnej kontynuacji („2010: Odyseja druga"; w reżyserii Petera Hyamsa) – lecz właśnie w produkcji rozrywkowej, której poziom przestał wreszcie urągać dobremu smakowi. Przewrót ten dokonał się zarówno w technice uzyskiwania efektów specjalnych, jak i w treści prezentowanych obrazów.

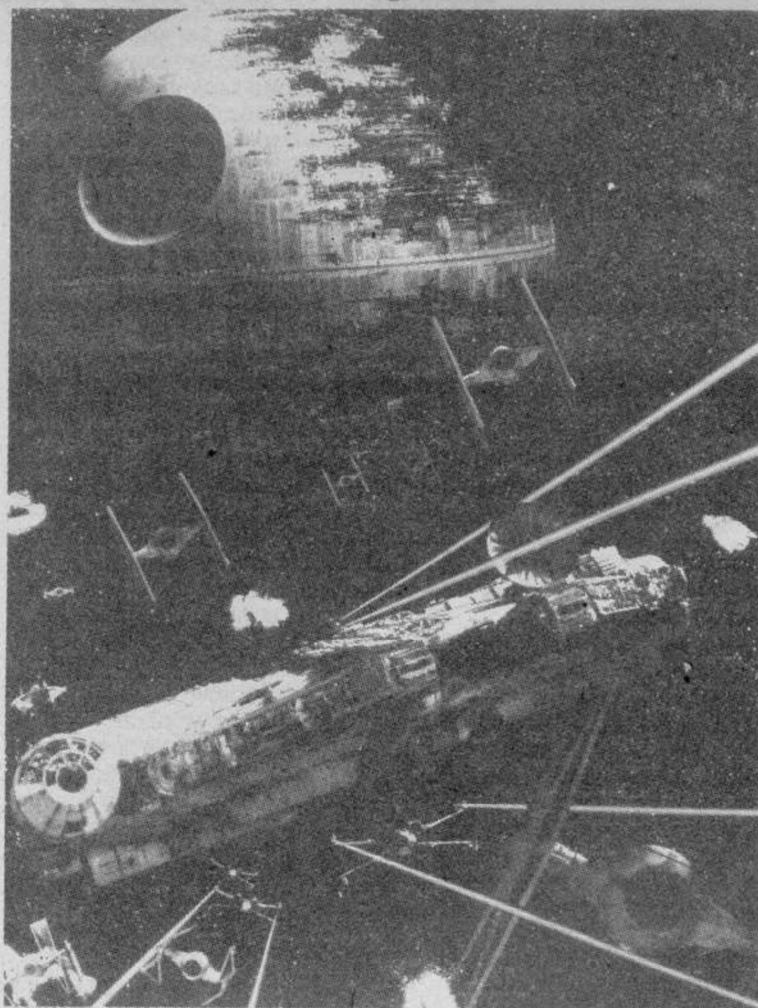
Pierwszą rzucającą się w oczy nowością jest odejście od bezwzględnej fascynacji techniką i położenie akcentu na wartości irracjonalne („fin de siècle"?), co było nie do pomyślenia we wcześniejszej fantastyce: nawet najbzdurniejsze fabuły, wzorowane na awanturniczych powieściach czy horrorach zachowywały uparcie pozory „naukowości". Nowe filmy SF w swej większości otwarcie nawiązują do mitu czy wręcz dziecięcych marzeń. A technika w świecie przedstawionym (choć świat ten przedstawia się widzom przy pomocy najnowszych generacji komputerów) schodzi na odległy plan. Widać to doskonale w filmie George'a Lucasa z 1977 roku rozpoczynającym cały ten boom: w „Gwiezdnych wojnach". Widzimy świat, który – mimo rakiet i podróży międzygwiezdnych – przypomina raczej mityczne średniowiecze (coś na wzór „Władcy pierścieni" Tolkiena), zaś bogactwo wątków i częste nawiązywanie do przeszłości uświadamiają nam, że jesteśmy świadkami zaledwie wycinkowego fragmentu większej całości (Lucas zamierzał początkowo nadać temu filmowi podtytuł: „Część IV – Nowa Nadzieja"[5], z czego zrezygnował, obawiając się, że nie uda mu się sfilmować całości sagi).

Widza oglądającego ten film w latach siedemdziesiątych uderzać musiał nie tylko rozmach inscenizacyjny, ale także przepojenie filmu niespotykaną dotąd w filmie SF swoistą „metafizyką": rycerze Jedi, Moc itp...

Akcja „Gwiezdnych wojen" toczy się „dawno, dawno temu" i – w baśniowym Nigdzie. Jeden z bohaterów filmu, czarny lord Darth Vader (służący Imperium opierającemu swą siłę na technice), w scenie narady na Gwieździe Śmierci mówi wręcz do innych dostojników: *Nie przeceniajcie terroru technologicznego! Możliwość zniszczenia planety jest niczym w porównaniu z potęgą, jaką daje opanowanie Mocy.* Zaś w ostatniej części tej trylogii („Powrót Jedi", reż. Richard Marquand) rebelianci zadają miażdżący cios kosmicznym fortecom Cesarza dzięki pomocy uzbrojonych w dzidy Ewoków. Podobnym klimatem przesiąknięta jest także większość pozostałych współczesnych filmów SF – np. w „E.T." Stevena Spielberga (1982) dziecięce rowery wzlatując w niebo umykają policyjnym samochodom.

Naturalną konsekwencją tych tendencji jest rozwój filmowej – jak i literackiej – fantasy (np. „Conan barbarzyńca" Johna Miliusa i Olivera Stone'a, „Canon niszczyciel" Richarda Fleischera, „Krull" Petera Yatesa, „Mroczny kryształ" Jima Hensona, „Nie kończąca się historia" Wolfganga Petersena). Odżywa też – pamiętający czasy Douglasa Fairbanksa i Errola Flynna – widowiskowy film awanturniczy („Poszukiwacze zaginionej arki", „Indiana Jones i Świątynia Przeznaczenia" Stevena Spielberga, „Miłość, szmaragd i krokodyl" Roberta Zemeckisa, „Klejnot Nilu" Lewisa Teague). Na srebrnym ekranie pojawiają się również bohaterowie komiksów („Superman" Richarda Donnera, „Superman II" i „Superman III" Richarda Lestera, „Flash Gordon" Mike'a Hodgesa).

Drugą nowością, jaką zauważyć można w tych filmach, jest odejście od posępnego klimatu tradycyjnej, inwazyjno-eksploracyjnej fantastyki i przepojenie utworów ciepłem, humorem i – zamierzoną tym razem – naiwnością. Tytułowy E.T. z filmu Spielberga w niczym nie przypomina koszmarnego przybysza z „Zemsty kosmosu" Vala Guesta (1955), zaś twórcy tych perfekcyjnie zrealizowanych obrazów traktują je jako doskonałą (oraz oczywiście przynoszącą fortunę) zabawę – i co chwila dają to do zrozumienia również widzom.



Fin de siècle w kinie SF?

Zmiany uwidoczniły się również w bardziej zbliżonych do tradycyjnych filmach science fiction. Dzieła takie jak „Obcy", „Blade Runner" Ridleya Scotta czy „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" Stevena Spielberga bliższe są jednak (nie tylko wizualnie) nowym prądom w filmowej fantastyce, niż filmom, których dotyczyły wypowiedzi Johnsona i Baxtera.

2. Techniczny aspekt konstrukcji przestrzeni w filmach SF

Drugą specyficzną cechą filmowej SF jest zasadnicza różnica między tymi dwiema dziedzinami sztuki: literatura opisuje, film – pokazuje. Jednak w przypadku fantastyki nabiera to wyjątkowej wagi: przecież większość opisów dotyczy elementów nie występujących w naszej rzeczywistości.

Twórca, który nie chce, by jego film popadł w nie zamierzoną groteskę, musi pokonać podwójną trudność, powinien on bowiem:

– zaprezentować przekonującą wizję artystyczną,

– dysponować odpowiednim funduszem.

W wywiadzie dla „Filmu na Świecie" Stanisław Lem mówi o tym problemie następująco: *Jeśli (...) napiszę w scenariuszu: „bohater widział przez okno panoramę miasta roku dwutysięcznego", to przeniesienie tego na ekran w takiej formie, która wydałaby się zadowalająca, musiałoby kosztować około miliona złotych*[6]. A przecież nie jest to jedynie kwestia kosztów. Lem w tym samym wywiadzie omawia problem kostiumów i przypomina niefortunne tuniki z filmu Williama Camerona Menziesa „Rok dwutysięczny" (1936), którego współtwórcą był sam Herbert George Wells. Zresztą kwestia mody na ekranie to oddzielny problem; tak pisze o nim Andrzej Kołodyński:

(...) wizje sztuki przyszłości (...) nabierają tak szybko muzealnego charakteru. Każdy ich szczegół odpowiada bowiem standardom estetycznym epoki, która wizje te zrodziła. Nic nie starzeje się bardziej od filmu science fiction. Gauthier zauważa słusznie, że łatwiej o i d e ę pojazdu kosmicznego, niż o jej realizację. Wszelka próba nadania takiej idei kształtu jest zdeterminowana stanem estetycznej świadomości[7].

Większym jeszcze problemem jest zaprezentowanie mieszkańców innych planet (nie jest to proste zadanie już w przypadku opisu literackiego!). Największą jednak trudność sprawia przekonywające ukazanie na ekranie Ziemi przyszłości, innych planet, Kosmosu. A przecież zarówno awanturniczy kosmiczny western, jak i najpoważniejszy traktat o miejscu



człowieka we Wszechświecie – m u s i mieć za tło taką scenerię, którą widz uzna za autentyczną przestrzeń Kosmosu, gdyż – jeśli z powodu rażących niedoskonałości technicznych przez cały seans widzieć będzie, iż rzecz dzieje się w studio – film, bez względu na poziom pozostałych elementów, traci cały sens. Oczywiście, nie chodzi tu o prześciganie się w efektach specjalnych: film, gdy tego wymaga koncepcja, może rozgrywać się w bardzo skromnej scenerii, ale Lem w powyższym wywiadzie słusznie zauważa, że jeśli widz zorientuje się, iż oszczędność środków nie wynika z zamysłu artystycznego, lecz jest skutkiem zwykłego ubóstwa – poczuje się oszukany[8].

Ale również posiadanie odpowiednich środków nie rozwiązuje wszystkiego – bez przekonywającej wizji artystycznej ukazanie innych światów i tak wypadnie groteskowo (tu wspomnę inny artykuł Lema opublikowany ongiś w „Filmie", w którym porównuje on krajobraz obcej planety z amerykańskiej superprodukcji „Zakazana planeta" do... miejsca eksplozji kiosku z lodami owocowymi[9]).

Wymienione wyżej problemy szczególnie rzucają się w oczy (dosłownie!) w przypadku kinematografii nie posiadających wielkich tradycji technicznych; np. film Marka Piestraka „Test pilota Pirxa" (adaptacja mistrza!) śmieszny wręcz z powodu nieudolnych trików i rozchybotanych dekoracji, zaś w filmach SF radzieckich i bułgarskich często daje się zauważyć drażniąca maniera polegająca na stosowaniu udziwnionych ujęć i chaotycznym ich montowaniu, mająca na celu wywołanie klimatu „niezwykłości" – i ukrycie niedociągnięć technicznych. A nieraz przecież filmy tego obszaru przewyższają swą zawartością treściową efektowne produkcje Zachodu (np „Stalker" Andrieja Tarkowskiego – według Strugackich). W naszym rodzimym kinie przykładem wyjątkowo dobrze wykonanej scenografii „przyszłościowej" – jest ta zbudowana do „Seksmisji" Juliusza Machulskiego (1983). Trzeba jednak pamiętać, że twórca tego obrazu podwójnie ułatwił sobie zadanie: prawie cała akcja toczy się w pomieszczeniach zamkniętych, konwencja zaś komediowa pozwala widzom łatwiej zaakceptować tę wykreowaną rzeczywistość.

Jak zatem widać – w filmie SF rola konstrukcji przestrzeni (także w sensie dosłownym) jest szczególnie ważna: to niezbędny punkt wyjścia do dalszej pracy nad obrazem. Wybitny film Stanleya Kubricka „2001: Odyseja kosmiczna" do dziś wywołuje wrażenie nie tylko dzięki niekonwencjonalnej treści, ale także dzięki perfekcji technicznej: widzimy prawdziwe statki kosmiczne w bezkresnej przestrzeni, zaś przelot przez Gwiezdne Wrota (jedyna wówczas próba pokazania świata, którym rządzą inne prawa fizyki!) do dziś zapiera dech w piersiach. A przecież w porównaniu z dzisiejszymi filmami (np. „2010: Odyseją drugą" gdzie realizatorzy połączyli komputerowo obraz powierzchni autentycznego Jowisza ze zdjęciami satelitarnymi cyklonu) strona wizualna dzieła Kubricka wydaje się wręcz skromna. Jednak tamten film zrobiono z takim smakiem i wyczuciem – a także na wystarczającym poziomie technicznym – że choć nie zaćmiewa on najnowszych superprodukcji pod względem zastosowania trików, nie wywołuje też w zestawieniu z nimi wrażenia utworu amatorskiego czy archiwalnego.

We wspomnianym artykule z roku 1962 Stanisław Lem stwierdził, że przyszłość filmowej fantastyki widzi w baśni i grotesce – wykazując w czasach dominacji „kosmicznych horrorów" zdumiewającą intuicję. Ale napisał również, że pewnych ograniczeń technicznych nie da się przezwyciężyć[11] – i tu pomylił się całkowicie...

Bezpowrotnie skończyła się era animowanych modeli, której nieprzekraczalnym pułapem była „Odyseja kosmiczna". Rozpoczęła się era komputerowych obrazów. Co oznacza ten przewrót – postaram się wykazać opierając się na drukowanym w „Kinie" artykule Jacka Fuksiewicza[11].

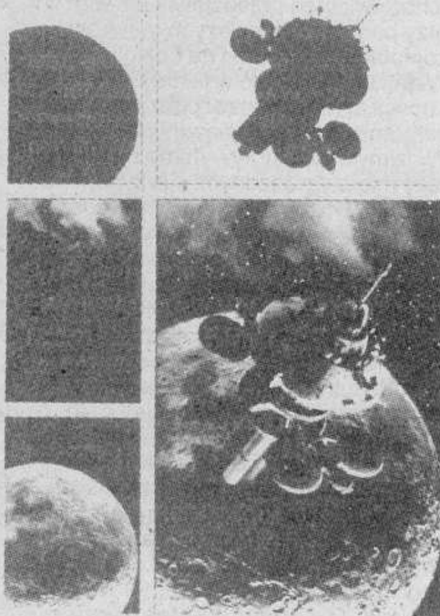
Etapem, jaki obecni twórcy zostawili za sobą, była tradycyjna animacja z użyciem makietek i malowanym tłem. Proste trajektorie statków kosmicznych i statyczne ujęcia dekoracji przedstawiających obce krajobrazy nie wystarczyły już, zaś śmielsze rozwiązania uniemożliwiały nieprzeliczone trudności techniczne. Uzyskanie zadowalających efektów przy zastosowaniu tradycyjnych technik było niemożliwością (wzajemne relacje przestrzenne, skróty perspektywiczne, układ światłocienia, ciągłe zmiany).

Drugą generację efektów specjalnych zapoczątkował George Lucas. Podczas pracy nad „Gwiezdnymi wojnami" skorzystał z pomocy komputera, który opracował sceny bitew wykorzystując materiał filmowy ukazujący walki myśliwców z okresu II wojny światowej. Umożliwiło to zarówno wzbogacenie, jak i „urealistycznienie" widowiska, a także – dało początek następnemu etapowi.

Technika najnowsza czyni komputer „głównym animatorem" efektów specjalnych. Coraz mniej potrzebne stają się nawet makiety: maszyna matematyczna sama wypełni szczegółami dowolny krajobraz (wystarczy z grubsza wykonany szkic), uwzględni materię skał, źródła i rozproszenie światła, wyrazistość szczegółów oraz wszystkie skróty perspektywiczne – zgodnie z „najazdami" umieszczonej na „statku kosmicznym" „kamery". Podobnie można zaanimować dowolny, narysowany czujnikiem na ekranie kształt, nadać mu fakturę dowolnej materii, ukazać zarazem zmiany w perspektywie i oświetleniu, których nie ogarnie wyobraźnia najzdolniejszego grafika. Efekty wizualne są imponujące, nieuzyskiwalne metodą tradycyjną (np. ucieczka wśród meteorytów w „Imperium kontratakuje" Irvinga Kerschnera).

Możliwości wydają się nieograniczone. A na planie każdego z tych filmów dokonuje się kolejnych, nowych wynalazków...

Jakie konsekwencje dla budowy przestrzeni filmowej w obrazach SF oznacza ów „cyfrowy przewrót" – uzmysławia film Stevena Lisbergera „Tron" (1982). Film ten nie tylko został prawie w całości zrealizowany w pamięci komputera i dopiero wtedy przeniesiony na taśmę 70 mm, ale jego akcja toczy się w świecie spoza naszej rzeczywistości: we wnętrzu komputerowych programów[12]. Jest to bowiem historia człowieka, który przez swych wrogów rozbity został na atomy i wprowadzony do pamięci komputera, gdzie – w świecie tak różnym od naszego – stacza boje z postaciami z komputerowych gier. Efekty wizualne bliższe są obrazom z owych gier, niż tradycyjnej animacji (oczywiście są tam i zdjęcia aktorskie, ale odpowiednio przetworzone). Nasuwa się tu refleksja, jak we współczesnym kinie SF przeplatają się formy dzisiejszej kultury masowej, takie jak komiks i gry wideo...



Oczywiście nadal stosowane są także makiety i dekoracje (dość tradycyjnych środków używa twórca „Obcego" i „Blade Runnera" – Ridley Scott), jednak dzisiejsze kino science fiction nie może się już obyć bez pomocy technik komputerowych.

3. Konwencje ukazywania przestrzeni w filmie SF

Niezależnie od poziomu technicznego zarówno najnowszych, jak i wcześniejszych filmów fantastyczno-naukowych, ukazanie w nich obcych nam światów niesie za sobą zawsze konieczność zastosowania pewnych zabiegów, z których widz często nie zdaje sobie sprawy. Dotyczy to zwłaszcza sekwencji rozgrywających się w przestrzeni kosmicznej. W Kosmosie na przykład nie istnieje – bo istnieć nie może – pojęcie „góry" i „dołu". Dla ułatwienia percepcji widzowi (za sprawą grawitacji ziemskiej siedzącemu przecież w kinowym fotelu, a nie unoszącemu się w próżni) konieczne jest jednak „zorientowanie" przestrzeni ekranowej według tych kategorii. Dokonuje się tego poprzez odpowiednie rozmieszczenie elementów scenografii oraz wybór punktu widzenia kamery.

Doskonałych przykładów dostarcza trylogia „Gwiezdnych wojen" George'a Lucasa. Już sceny pościgów i walk w przestrzeni kosmicznej dzięki owemu uporządkowaniu przypominają raczej bitwy samolotów z okresu II wojny światowej (na których zresztą były wzorowane).

Nie zdarza się nigdy, by eskadry nacierające lub ścigające leciały względem siebie „do góry nogami". Owszem, można wyróżnić znane lotnikom figury: „beczki", korkociągi" itp., lecz mimo to przez cały czas przestrzeń walki jest uporządkowana zgodnie z punktem widzenia kamery i pośród tych wszystkich efektownych „piruetów" statki kosmiczne zachowują się tak, jakby walczyły nad powierzchnią planety, a nie we wszechobecnej pustce. Dotyczy to także pojazdów pojedynczych. Na przykład „Sokół Milenium" uciekający przed ścigaczami Imperium – czy w strudze meteorytów („Imperium kontratakuje"), czy wewnątrz Cesarskiej Gwiazdy Śmierci („Powrót Jedi") – zachowuje się tak samo: mimo najróżniejszych akrobacji w zasadzie nie zatraca (podobnie, jak ścigacze) zgodnej z punktu widzenia kamery orientacji w przestrzeni. Podobnie filmowana jest Gwiazda Śmierci . Gdy „Sokół" wynurza się z hiperprzestrzeni i bohaterowie widzą po raz pierwszy tę stację bojową unoszącą się w miejscu zniszczonej planety („Gwiezdne wojny"), usytuowana jest ona – jak i ich statek – zgodnie z orientacją widza („góra"-„dół"). Tak samo w scenach, w których lecą w jej kierunku ścigacze, czy kiedy zbliża się ona do tajnej bazy rebeliantów: przecinający jej powierzchnię „korytarz" jest zawsze widziany poziomo, zaś śmiercionośne „zwierciadło" znajduje się zawsze nad nim. Zmienia się to dopiero w finale, gdy powstańcze eskadry są już w bezpośrednim kontakcie bojowym.

Jest zresztą w tej trylogii zaledwie parę scen ukazujących dość nietypowy punkt widzenia kamery. Należy do nich ucieczka robotów w kapsule ratunkowej w pierwszych scenach filmu Lucasa: przez okienko nad ich głowami widać mały, kręcący się trójkącik – widziany już z daleka Niszczyciel Gwiazd – domyślamy się więc, że kapsuła przez cały czas obraca się wokół własnej osi, jak wystrzelony pocisk. W „Gwiezdnych wojnach" Luke Skywalker leci korytarzem wokół stacji równolegle (tego wymaga plan ataku), choć dotąd wszystkie statki wylatywały zeń prostopadle, gdy zaś kapitan Han Solo wraca Luke'owi na pomoc – „Sokół Milenium" filmowany jest w pierwszym ujęciu „z dna korytarza" i zdaje się lecieć wprost na widza; natomiast w „Powrocie Jedi" widzimy przez chwilę Gwiazdę Śmierci filmowaną ukośnie, a uszkodzony przez rebeliantów Statek Dowodzenia wbija się w nią ukazany w nieoczekiwany sposób: pionowo.

Interesujące są dwa ujęcia z innych zupełnie filmów: „2001: Odysei kosmicznej" Stanleya Kubricka i (nieudanego skądinąd) „Saturna 3" Stanleya Donena. Oba dotyczą sztucznej grawitacji. U Kubricka jest to korytarz na statku kosmicznym – korytarz w kształcie pierścienia. Idzie się po jego wewnętrznej części: wciąż w górę, a raczej ciągle jest się w jego najniższym punkcie. U Donena są to dwa chodniki pełne ludzi, gdzie jeden wobec drugiego jest sufitem. Bohater (grany przez Harveya Keitela) biegnie chodnikiem – z punktu widzenia kamery i publiczności – górnym...

W podobnie skonwecjonalizowany sposób ukazywana jest szybkość lotu pojazdów kosmicznych. Przecież w scenach przelotów (nie tylko pościgów) statki kosmiczne powinny niknąć z oczu widza (jeśli kamera jest nieruchoma, co zwykle jest sugerowane w danym ujęciu) w ułamku sekundy – jak to jest przy wchodzeniu w hiperprędkość („Gwiezdne wojny"). Jednak przepływają one przed naszymi oczami powoli, majestatycznie, jak okręty na morzu. A my nie zastanawiamy się, czy w tym tempie przemierzają Kosmos, czy też kamera porusza się wraz z nimi, pozwalając się tylko nieznacznie wyprzedzać: liczy się efekt wizualny. Na przykład w pierwszej scenie „Gwiezdnych wojen" ogromny Niszczyciel Gwiazd ścigający stateczek rebeliantów powoli przepływa nad naszymi głowami – i powierzchnią znajdującej się na dole planety. Właściwie cała scena zdobycia tegoż statku przez szturmowców Vadera rozgrywa się nad ową planetą. Gdyby uzasadniać to logicznie, to albo ona jest tak ogromna, albo pościg odbywa się wokół niej, albo statki... tak wolno lecą (może rzeczywiście księżniczka Leia chciała lądować na Tatooine, by odnaleźć ukrywającego się tam Obi-Wana?), ale przecież nie o uzasadnienie logiczne tej sceny chodziło Lucasowi: liczy się znów imponujący efekt wizualny (zresztą obraz przytłaczającego ogromem, majestatycznie przepływającego u góry ekranu statku zacytowany został później w innych filmach, m.in. w „Obcym" i „Powrocie Jedi"").

Podobnie dla uatrakcyjnienia widowiska „korygowana" jest nasza wiedza na temat zachowania się statków kosmicznych w próżni. Statki kreślą figury niewykonalne często i w atmosferze, słychać (!) huk dział laserowych, widać (!) błyski laserów i ogniste eksplozje. A wszystkie te efekty – choć szalenie widowiskowe – w warunkach kosmicznej próżni są po prostu... niemożliwe[13]. Jednak techniczna perfekcja owych ujęć (to, co nazywamy „magią kina...") sprawia, iż widz (nieobeznany przecież z warunkami kosmicznymi) akceptuje je całkowicie. Dodać zresztą trzeba, że trafiają się również sceny zgodne z podstawowymi prawami fizyki (np. robot rozgrzewający się do czerwoności podczas wchodzenia w atmosferę – pierwsze sekwencje „Imperium kontratakuje"), lecz oczywiście warunkiem jest znów strona widowiskowa danego zjawiska.

Od konwencji spektaklu zależy również sposób ukazania obcych planet w filmach SF. Są to na ogół:

– planety puste, martwe, o wyglądzie pokrywającym się z naszą wiedzą na temat warunków panujących na większości planet typu ziemskiego (nie gazowych, jak giganty naszego Układu)[14]; podobny obraz jest charakterystyczny dla fantastyki typu „werystycznego", bardzo rzadko spotykanej w kinie;

– planety przypominające Ziemię, a raczej jej poszczególne krainy geograficzne (planeta-pustynia, planeta-lodowiec, planeta-puszcza – tu znów odwołam się do trylogii „Wojen gwiezdnych"); najczęściej taki obraz innych światów spotykamy w przygodowej odmianie SF, gdzie pełnią właściwie rolę „odległych krain" (i – jak w przypadku literatury – zauważamy ekologiczne i kulturowe ubóstwo tych światów, w porównaniu z urozmaiconą Ziemią);

– światy niepodobne do naszego (tu największym, choć nietypowym, osiągnięciem jest powierzchnia Jowisza w „Odysei kosmicznej"); mimo niezwykłych obecnie możliwości technicznych podobne ukazanie obcych planet spotykamy również rzadko.

Sceneria wyobrażająca powierzchnię obcej planety nie zawsze budowana jest w całości w studio (czy w pamięci komputera) – często reżyser odkrywa jakiś niezwykły zakątek Ziemi i tam robi część zdjęć. Pierwsze sekwencje „Imperium kontratakuje" (planeta Hoth) realizowane były np. na lodowcu, zaś twórca filmu „Mój własny wróg" (1985), Wolfgang Petersen, na wyobrażenie pustynnej planety Drakon wybrał wyspę Lanzarote z archipelagu Wysp Kanaryjskich.

*

Rozwój i charakter filmu fantastyczno-naukowego sprawia, iż ma on swoją własną specyfikę, odróżniającą go od tego typu literatury silniej, niż gdyby tylko sprawiały to różnice występujące między tworzywami obu sztuk. Od początku swego istnienia film SF przechodzi własną ewolucję, która ostatnimi czasy nabrała niespodziewanego tempa, rozmachu i wyrazistości. Odnosi się wrażenie, że wreszcie zaczyna odnajdywać dla siebie własną drogę – wyróżniającą go zarówno od innych typów filmowej rozrywki, jak i od posiadającej już swą tożsamość literatury fantastyczno-naukowej.

Jan Plata-Przechlewski

PS. Tekst ten pisany był wiosną 1986 roku, dziś drukowany jest bez zmian (nie licząc redakcyjnych skrótów) – wymaga więc pewnego uzupełnienia. Zauważamy bowiem wyczerpywanie się lucasowsko-spielbergowskiego nurtu w kinie SF, staje się on coraz bardziej monotonny i epigoński („ET" „spłodził" „Gremliny", te zaś „Critterów"...) i to, co było świeże i odkrywcze przed kilkoma laty – w swych kolejnych mutach już nuży (swoistego „zamknięcia" tegoż nurtu dokonał Willard Huyck, parodiując nowe kino SF w swym znakomitym „Kaczorze Howardzie"!). Obecnie godne odnotowania wydaje się kino „Tech noir" (wspomnę „Terminatora" Jamesa Camerona i „Obcych" tegoż) oraz absolutnie świeży i oryginalny, lecz jedyny w swoim rodzaju „Kokon" Rona Hovarda.

(jpp)

Przypisy:

1. W. Johnson, *Podróż do krainy science fiction*, tłum. E. Kubarska, „Film na Świecie", 1978, nr 7-8, s.5
2. tamże, s. 22
3. J. Baxter, *Drogi filmów science fiction*, tłum. E. Kubarska, „Film na Świecie", 1978, nr 7-8, s. 26
4. tamże
5. B. Hołdys, *Gwiezdne Imperia X Muzy. Ewolucja filmowej fantastyki naukowej*, Kraków, 1985, s. 64-65.
6. S. Lem, *Przyszłość, człowiek, świat, film*, „Film na Świecie", 1978, nr 7-8, s. 50
7. A. Kołodyński, *Z języka krytyki: puste obrazy*. „Fantastyka", 1986, nr 7
8. S. Lem, op. cit., s. 53
9. S. Lem, *Dlaczego nie ma dobrych filmów fantastycznych?*, „Film", 1962, nr 32
10. ibidem
11. J. Fuksiewicz, *Kino czy wideo*, „Kino", 1983, nr 1
12. Por. artykuły o filmie „Tron", „Film na Świecie", 1983, nr 2-3, s. 144-159
13. Por.: W.M., *SF gubiąca S*, „Fantastyka", 1984, nr 12
14. Por. L. Czechowski, *Planety widziane z bliska*, Warszawa 1985.

Jan PLATA-PRZECHLEWSKI

Ur. w 1959 r. Ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni-Orłowie oraz filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorem pracy magisterskiej „Kategoria przestrzeni, jej konstrukcja i funkcja w literaturze science fiction" (promotor: doc. dr hab. Anna Martuszewska).

W październiku 1987 r. odwiedziło Warszawę trzech gości z Węgier: współredaktor młodzieżowego pisma SF „Robur" Béla Rigó, Ferenc Halmos z redakcji „Galaktiki" oraz pracujący w redakcji czasopisma rozrywkowego „Interpress Magazin" Viktor Bánlaki. Korzystając z ich pobytu w Polsce przeprowadziliśmy z nimi rozmowę.

Węgrzy o swojej fantastyce

Béla Rigó:



Szansa na scalenie podzielonej kultury

„Fantastyka": – *Nasi Czytelnicy dobrze znają tytuł „Galaktika". Kilkakrotnie informowaliśmy o tym miesięczniku, zamieszczaliśmy też tłumaczenia publikowanych w nim opowiadań i artykułów. Natomiast o adresowanym do młodzieży „Roburze" wie się u nas stosunkowo niewiele. Korzystając z dzisiejszej okazji wypełnijmy tę lukę.*

Béla Rigó: – Pismo nasze powstało w momencie, gdy „Galaktika" ukazywała się jako almanach SF i wydawało się, że nie ma możliwości przekształcenia jej w normalny periodyk. Zaczęliśmy więc wydawać „Robura", który zresztą też miał być początkowo cyklem samodzielnych zeszytów. Szybko jednak przekształcił się w czasopismo. W momencie, gdy czasopismem stała się także „Galaktika" przerwaliśmy wydawanie „Robura" (którego ukazało się 16 numerów), by dokonać zmian w jego formule. Chodzi nam o to, by oba pisma uzupełniały się, a nie kolidowały ze sobą.

– *Przecież „Robur" jest przeznaczony dla młodszych czytelników niż „Galaktika".*

– W sytuacji, gdy nie było na rynku czasopisma SF przeznaczonego dla dorosłych, musieliśmy tak dobierać materiał, by zadowolić wszystkich. Teraz możemy stać się periodykiem czysto młodzieżowym. Zresztą leży to w naszym własnym interesie. W chwili pojawienia się pierwszego numeru „Robur" odniósł ogromny sukces. Jego nakład był jak na warunki węgierskie bardzo duży, 100 tysięcy, a i tak nie starczyło egzemplarzy dla wszystkich zainteresowanych. Później nakład zaczął spadać, aż do 50 tysięcy. Spowodowane to było właśnie brakiem jasnych kryteriów, jeśli chodzi o wiek adresatów.

– *A kto was czyta najchętniej?*

– Recepcję pisma i krąg odbiorców możemy określić jedynie na podstawie głosów czytelników. Sęk w tym, że nasi najmłodsi czytelnicy, których jest z pewnością sporo, są w takim wieku, kiedy niechętnie pisuje się listy. Najczęściej więc pisały do nas nie pracujące lub przebywające na urlopach macierzyńskich matki. Zapewne czytały „Robura" swoim dzieciom. Dostawaliśmy też listy od samych dzieci, ale dopiero wtedy, gdy wyraźnie o to poprosiliśmy. Sądzę, że w każdej kategorii wiekowej mamy trochę odbiorców. Są przecież całe grupy czytelników, które nigdy nie rozstają się z literaturą młodzieżową. Nic więc dziwnego, że ludzie ci sięgają także po „Robura".

W sumie mamy około 20 tysięcy wiernych miłośników i 60-70 tysięcy czytających nasze pismo od okazji do okazji. Krąg fanów można by powiększyć, gdybyśmy zaczęli publikować komiks. Niestety nie robiliśmy tego, dlatego, że... no cóż, dlatego że kierownictwo naszego wydawnictwa nie lubi komiksu.

– *Jakie są upodobania waszych czytelników?*

– Najbardziej lubią czytać to, co już znają z ekranu, np. „Gwiezdne wojny". Nie lubią powieści drukowanych w odcinkach, wolą zwarte opowiadania. Nie lubią artykułów popularnonaukowych, chyba że opisywane w nich fakty mają posmak sensacji.

– *I właśnie to im oferujecie?*

– Nie tylko. Sięgamy także do klasyki, publikowaliśmy m.in. Conan Doyle'a. Obok rzeczy popularnych staramy się prezentować teksty mniej „chodliwe", ale naprawdę wartościowe. Drukowaliśmy na przykład – jako jedyni na Węgrzech! – „Golema" I.B. Singera. Po wznowieniu pisma chcemy zamieszczać, po kawałku, „Cyberiadę". Ale oczywiście największym powodzeniem cieszy się komercjalna fantastyka anglosaska i nie możemy z niej zrezygnować, jeśli chcemy być czytani.

Generalnie można powiedzieć, że wychowujemy czytelników dla „Galaktiki" i... wychowujemy czytelników „w ogóle". Żeby bowiem stać się czytelnikiem, trzeba przede wszystkim umieć czytać, a z tym nie jest najlepiej. Wśród węgierskiej młodzieży szerzy się w ostatnich latach dysleksja. Trzeba tym młodym ludziom dać coś atrakcyjnego do czytania, żeby w ogóle czytali. Poza tym badania wykazują, że literatura fantastyczna może być dobrym środkiem do pobudzenia siły twórczej umysłu młodego człowieka. Staramy się więc publikować rzeczy, które funkcję tę spełnią najlepiej.

– *A co w najbliższej przyszłości?*

– No cóż, myśląc o przyszłości „Robura" musimy pamiętać, że nie wszystko zależy jedynie od nas. Ograniczają nas na przykład możliwości poligraficzne czy system dystrybucji. W każdym razie zachowamy dawny tytuł. Chcemy wprowadzić kolor, przynajmniej na jednym arkuszu. Zamierzamy publikować więcej ilustracji. Pragniemy też, by poszczególne numery były bogatsze, by więcej w nich było krótkich tekstów.

– *Redagując pismo o tym profilu niejednokrotnie musiałeś zadać sobie pytanie: czym jest fantastyka jako typ twórczości literackiej? Jakie treści i wartości zdolna jest udźwignąć? Czy mógłbyś na pytania te odpowiedzieć teraz?*

– Sądzę, że możliwe są dwie interpretacje. Z jednej strony science fiction to mit techniki. Tak traktują ją ci, którym bliskie są nie wartości humanistyczne, lecz technika. Stąd właśnie wśród odbiorców SF tak dużo jest inżynierów i techników. Co oczywiście nie oznacza, że wszyscy ludzie z wykształceniem technicznym są właśnie tacy. Możliwe jest jednak inne podejście: fantastyka to romantyzm przełomu wieków XX i XXI. Elementy romantyczne są w tej literaturze coraz wyraźniejsze – pomyślmy na przykład o fantasy. I właśnie jako literatura romantyczna fantastyka stwarza możliwość scalenia naszej podzielonej kultury. Wszak „Galaktikę" czytają profesorowie i uczniowie szkół podstawowych.

Ferenc Halmos:



Lubię tę formę

„Fantastyka": – *A co nowego w „Galaktice"?*

Ferenc Halmos: – Właściwie nic specjalnego się ostatnio nie wydarzyło. Ze składu redakcji odszedł wprawdzie Péter Kuczka, którego miejsce zajął Péter Szentmihályi Szabó, ale zmiana ta miała charakter czysto organizacyjny. Spowodowana była koniecznością zdjęcia z Pétera Kuczki nadmiaru obowiązków redakcyjnych.

W ciągu ostatniego półrocza ostatecznie ukształtował się ruch fanów skupionych w Kole Przyjaciół „Galaktiki". Obecnie liczy już 10 tysięcy członków, którzy organizują własne imprezy, wydają książki itd.

Jeśli chodzi o piszących dla nas autorów, to nie nastąpiły żadne sensacje. Otworzyliśmy nową rubrykę „Start" przeznaczoną dla debiutantów, ale – jak na razie – nie zaowocowało to pojawieniem się jakichś nadzwyczajnych talentów...

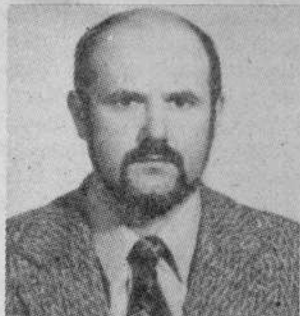
– *Skoro już mowa o pisarzach młodego pokolenia, to warto chyba wspomnieć w paru słowach o tym, co piszą, jak piszą, do jakich tradycji fantastyki się odwołują.*

– Współczesna młoda fantastyka węgierska rozwija się w dwóch kierunkach. Pierwszy to nurt oparty na wzorach anglosaskich. Spośród jego przedstawicieli wymienić można choćby Andrása Gáspára, którego opowiadanie „Proszę wrzucić monetę" ukazało się w jednej z zeszłorocznych „Fantastyk". Nurt drugi jest w swym charakterze bardziej węgierski. Cechują go ironia, humor, przywiązanie do realiów naszego życia. Najbardziej chyba utalentowanym przedstawicielem tej szkoły jest István D. Németh.

– *Na koniec to samo pytanie, które zadałem Béli: czym jest fantastyka? Jakie treści i jakie wartości daje się przy jej użyciu wyrazić?*

– Zacznę od drugiej części: jakie możliwości daje fantastyka? Moim zdaniem takie same, jak każda dobra literatura. O ile oczywiście jest dobra. Natomiast czym jest? Dla mnie jest ona formą. Są tacy, którzy tę formę lubią i tacy, którzy jej nie lubią. Ja ją lubię.

Viktor Bánlaki:



Po prostu literatura

„Fantastyka": *– Pytanie to zabrzmi może niezręcznie, ale intryguje mnie, co Ty robisz w tym towarzystwie. O ile wiem, „Interpress Magazin" jest pismem o całkiem innym profilu niż „Galaktika" czy „Robur". Nie zajmujecie się przecież fantastyką naukową.*

Viktor Bánlaki: – Wcześniej byłem współredaktorem „Galaktiki", teraz pracuję w dziale literackim „Interpress Magazin", gdzie od czasu do czasu „puszczamy" także opowiadania fantastyczne.

– Na temat science fiction najczęściej wypowiadają się fanowie albo autorzy tego rodzaju literatury. Warto usłyszeć, jak funkcjonuje fantastyka w piśmie, które nie jest nią zainteresowane programowo, a jego czytelnicy nie należą do „klanu wtajemniczonych".

– „Interpress Magazin" jest czasopismem drogim. Czytelnicy wydający na jeden egzemplarz sporo pieniędzy oczekują, że zawartość będzie odpowiadała cenie. Jedną z cech, do których przywiązują dużą wagę, jest różnorodność – chcą, byśmy publikowali ze wszystkiego po trochu. W horyzoncie ich oczekiwań mieści się także literatura fantastyczna. Oczywiście należy dbać o zachowanie proporcji: gdybyśmy zaczęli drukować za dużo tego typu opowiadań (choćby najlepszych), nadeszłyby listy zarzucające nam monotonię, tak jak to było w przypadku opowiadań sensacyjno-kryminalnych. Opublikowaliśmy kilka takich utworów w kolejnych numerach (a trzeba dodać, że były to opowiadania stojące na wysokim poziomie) i odbiorcy poczuli się tym znużeni. Tak więc zamieszczamy trochę literatury SF, bowiem przeciętny czytelnik chce tego. Po prostu istnieje powszechne zapotrzebowanie także na ten rodzaj literatury.

– W jaki sposób dokonujecie wyboru materiałów? Kierujecie się głosami czytelników?

– Nie. Wybieramy sami kierując się własnym gustem. Do tej pory nie było skarg, więc chyba nie popełniliśmy błędów. Oferujemy teksty naprawdę wartościowe – nie tani horror, nie „Gwiezdne wojny", lecz przygodę intelektualną.

– A jak Ty postrzegasz fantastykę? Czym ona dla ciebie jest?

– Odpowiedź wynika już z tego, co powiedziałem: po prostu literaturą. Taką samą, jak każda inna. Natomiast zupełnie nie zgadzam się z opinią Béli. To prawda, że „Galaktikę" czytają zarówno ludzie o wyrafinowanym smaku, jak i miłośnicy łatwej rozrywki. Jednakże szukają oni w niej czego innego – jedni Bradbury'ego, inni „Gwiezdnych wojen". Fantastyka jest tak samo podzielona, jak cała współczesna kultura.

*

„Fantastyka": *– Dziękuję Wam za rozmowę i w imieniu Czytelników naszego pisma życzę wielu sukcesów – Wam i całej fantastyce węgierskiej.*

Rozmawiał **Wojciech Maziarski**

1980 (ciąg dalszy)

1517. KLIMA Ladislav: *Cierpienia księcia Sternenhocha.* Tłum. [z czes.] i posłowie Jacek Paluch. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 139, nlb. I. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
de la MARE W.; *Quincunx.* – zob. AF.
1518. [RAJČEV GEORGI]: *Lustig i inne opowiadania.* Wybór i tłum. z bułg. Wojciech Gałązka. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 229, nlb. 3. 10 000 egz. – Seria ze Złotym Krążkiem. – Większość opowiadań fantast. – W/AF.
1519. WOŹNICKA Ludwika: *Najdziwniejsze i osobliwe zdarzenia, czyli pitaval fantastyczny.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 304, nlb. 4. 20 000 egz.

Krytyka, biografie, film (R):

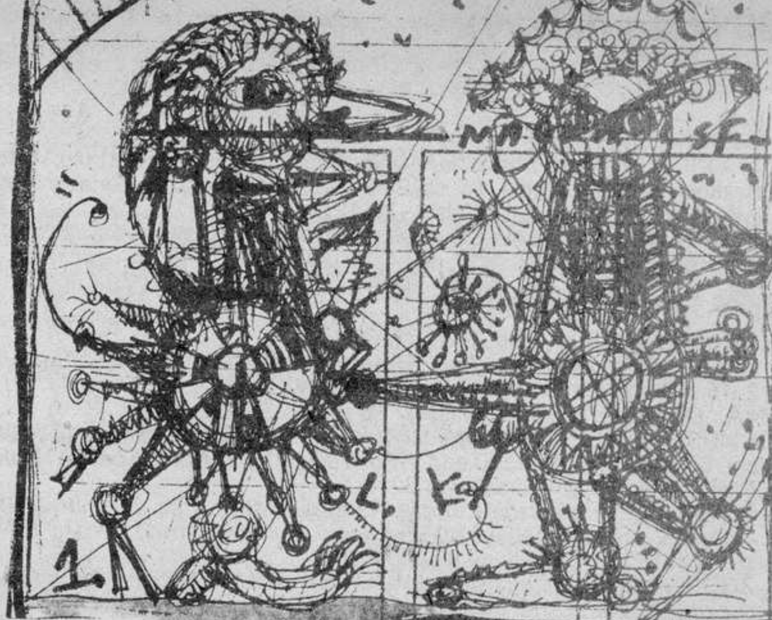
CHODŹKO K.: *Pejzaże...* – zob. 1981 [antydat.]
1520. KALICKI Rajmund: *Jorge Luis Borges.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 151, nlb. 4, tabl. 12. 15 000 egz. – Klasycy literatury XX wieku.
KUBIN A.: *Demony...* (Autobiografia) W: *Po tamtej...* – zob. U.
1521. SMUSZKIEWICZ Antoni: *Stereotyp fabularny fantastyki naukowej.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 167, nlb. I. 1500 egz. – Polska Akademia Nauk. Komitet Nauk o Literaturze Polskiej. Rozprawy Literackie nr 32.
1522. SZACKI Jerzy: *Spotkanie z utopią.* Warszawa. Iskry. 8° ss. 218, nlb. 2. 10 000 egz.
1523. WÓJCIK Andrzej, ENGLENDER Marek: *Budowniczowie gwiazd I.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 315, nlb. 6. 80 000 egz.
1524. ZGORZELSKI Andrzej: *Fantastyka, Utopia, Science Fiction. Ze studiów nad rozwojem gatunków.* Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 203, nlb. 4. 5 000 egz.

„Zagadki nauki" (MS):

AFANASJEW J.: *Machina...* – zob. U.
1525. von DITFURTH Hoimar: *Duch nie spadł z nieba.* Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Przedm. Maciej Iłowiecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd.. 16° ss. 430, nlb. 2. 50 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1526*. FLAMAGAN G. Pat: *Energia piramid.* [Tłum. z ang. Bonawentura Kochel] – KOCHEL B[onawentura], SZYMAŃSKI Jan: *Wpływ modeli piramidy Cheopsa na wzrost bakterii Escherichla Coli.* Poznań 1979 [antydat: 1980]. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 139. 3 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika, z. 2/1979.
1527. GROBICKI Aleksander: *Nie tylko Trójkąt Bermudzki.* Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 204. nlb. 3. 40 000 egz.
1528. JASTRZĘBSKI Stanisław: *Różdżkarstwo.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 111, nlb. 5. 80 000 egz. – Wszystko o...
1529. de KERSAINT J[ean] P[aul]: *Kurs radiestezji.* [Tłum. z franc. J. Torbus-Heinrich]. Poznań 1979. [antydat.: 1980]. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 36, nlb. I. 2 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Materiały Instrukcyjno-Metodyczne. z. 5.
1530. KLIMUSZKO Czesław: *Moje widzenie świata.* T. I-II. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° T.I: Cz. I: *Parapsychologia w moim życiu* oraz II: *Szukajmy szczęścia w przyrodzie* [współwyd.] ss. 175, nbl. I, portr. 2 000 egz. T. II: Cz. III: *Powrót do ziół,* ss. 120 portr. 3 500 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Pomocnicze Materiały Szkoleniowe. T. I z. 4/78 [dodruk do poz. 1341/78], T. II z. 1/1980.
1531. [KONDRATOV Alěksandr]: *Tajemnice trzech oceanów.* Tłum. z ros. Magdalena Hornung. Wyd. II. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 271, nlb. I, tabl. 4, mapa. 20 000 egz. – Złota Seria Literatury Popularnonaukowej. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Kondratow.
1532. LUCE J.V.: *Koniec Atlantydy. Nowe spojrzenie na starą legendę.* Tłum. z ang. Monika Schmatera. Przedm. Mortimer Wheeler. Posłowie Bogdan Rutkowski. Warszawa. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe. 16° ss. 296, tabl. 4, liczne k. ilustr., objęte liczbowaniem, bibliogr. 20 000 egz. – Archeologia.
1533. ŁADORSKI Henryk: *Zbiór wyrażeń radiestezyjnych.* Poznań 1979 [antydat.: 1980]. Wielkopolskie Stwarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 62. 2 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Pomocnicze Materiały Szkoleniowe. z. 4.
1534. ŁUKASIEWICZ Maciej: *Między niebem a ziemią.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 172, nlb. 4, tabl. 24. 50 000 egz.
1535. MARKS Andrzej: *W poszukiwaniu kosmitów.* Wyd. II popr. i uzup. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 8° ss. 273, nlb. 3, tabl. 16, mapy. 30 000 egz.
1536. MOODY R.A.: *Życie...* (dodruk) – zob. poz. 1432/79. 20 000 egz.
1537. OSIATYŃSKI Wiktor: *Zrozumieć świat. Rozmowy z uczonymi radzieckimi.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 429, nlb. 2. 20 000 egz. – Większość rozdziałów dotyczy „zagadek nauki".
PIKULSKI Z.: *Niebo...* (dotyczy m.in. parapsychologii) – zob. F.
1538. *PSYCHOTRONIKA w praktyce.* Cz. II: *Wskazówki, jak zdobyć zdrowie [i] szczęście oraz technika łatwej regeneracji organizmu.* [Tłum. z ang.] Roman Ostoja. Poznań 1979 [antydat.: 1980] Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 60. 3 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Materiały Instruktażowo-Metodyczne, z.6. – Na k. tyt. tłumacz jako autor.
1539. SEDLAK Włodzimierz: *Homo electronicus.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 210, nlb. 4, bibliogr., err. 20 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej. – MS/F.
1540. STEFAŃSKI Lech Emfazy, KOMAR Michał: *Od magii do psychotroniki.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 327, nlb. I, bibliogr. 20 000 egz.
1541. SZUMAN Leszek: *Kto z kim.* Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 67. 3 500 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Pomocnicze Materiały Szkoleniowe. z. 2
1542. WEINBERG Steven: *Pierwsze trzy minuty. Współczesny obraz początku Wszechświata.* Tłum. [z ang.] Aleksander Blum. Wstęp Marek Demiański. Warszawa. Iskry. 16° ss. 219, nlb.3, bibliogr. 50 000 egz. – Raporty z Granic Poznania.
1543. WÓJCIKIEWICZ Stanisław Zbigniew: *Dla każdego coś ciekawego.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 160, nlb. 4. 10 000 egz. – MS/F.
1544. ZNICZ Lucjan: *Goście z kosmosu?* T.I: *Paleoastronautyka..* Gdańsk. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 280, nlb. 4. 100 000 egz.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**



ilustracja Marek K. Goleniak

Przedstawiamy fragment najnowszej książki Andrzeja Donimirskiego. Znany autor prac popularnonaukowych (m.in. „Przybysze z Kosmosu", „Czy żyjemy tylko raz?" i „Na krawędzi niepoznanego") oraz około 200 artykułów, zamieszczanych od 1970 roku w „Przekroju", „Razem", „Dookoła świata" i innych pismach, tym razem poświęca uwagę niektórym problemom, związanym z twórczością Stanisława Lema.
(raz)

Ujemny gradient ewolucji

Andrzej Donimirski

...Wbrew pozorom konkuruję dziś ze sobą kilka odmiennych teorii ewolucji...
(A. Hoffman)

...Życie jest oszustwem (...), usiłowaniem obejścia praw, skądinąd nieuchronnych i nieubłaganych...
(S. Lem: „Glos Pana")

Przyzwyczailiśmy się do myśli, że ewolucja jest – ogólnie biorąc – procesem wstępującym i doskonalącym, że pojawiające się nowe gatunki stanowią organizmy wyższe, lepsze od swych poprzedników. Przyzwyczailiśmy się też do myśli, że ewolucja, poczynając od pierwotnej, najprostszej komórki, wykształciła najpierw stosunkowo prymitywny świat roślin, później wyżej stojący świat zwierząt, a w końcu ową „koronę stworzenia" – homo sapiens. Uważamy za oczywiste, że widoczny proces komplikacji ustrojów prowadził do coraz wyższych form. Tak – w największym skrócie – przedstawić by można ogólny punkt widzenia na to, co nazywamy biologiczną ewolucją.

Temu, od wielu już lat ugruntowanemu, poglądowi Stanisław Lem ostro się przeciwstawia. Posługując się głosem mędrca przyszłości, superinteligentnej maszyny zwanej Golemem, przedstawia zupełnie odmienną teorię: *Wy sądzicie, że ewolucja wykonała swoje prace z gradientem dodatnim, to jest, wychodząc od startowego prymitywizmu dotarła do rozwiązań stopniowo świetniejących. Ja twierdzę natomiast, że wysoko zacząwszy, jęła schodzić w dół – technologicznie, energetycznie, informacyjnie – więc doprawdy trudno o mocniejszą sprzeczność stanowisk. (...) Pomyliliście dwie zupełnie różne rzeczy, uznając stopień złożoności budowanego oraz jego stopień doskonałości, za cechy nierozłączne. Glon macie za prostszy – a więc prymitywniejszy, a więc niższy od orła. Lecz ów glon wprowadza fotony Słońca w związki swego ciała, on obraca opad kosmiczny energii wprost w życie i będzie dlatego trwał po kres Słońca, on żywi się gwiazdą, a czym orzeł? Myszami, jako ich pasożyt, myszy zaś korzeniami roślin, więc lądowej odmiany glonu oceanicznego. I z takich piramid pasożytnictwa cała biosfera się składa. (...) Nie wierzycie mi? A więc gdyby Ewolucja uprawiała postęp życia, nie kodu, to orzeł byłby już fotolotem, nie zaś mechanicznie trzepoczącym szybowcem, i żywe nie pełzałoby, nie kroczyło, nie żarło żywego, lecz niezależnością zdobytą wyszłoby poza glon, i poza glob. Wy jednak, z głębi swej ignorancji, upatrujecie postęp w tym właśnie, że pradoskonałość została utracona, zgubiona podczas drogi wzwyż – wzwyż komplikacji, nie postępu (...).*

...Dlaczego (Ewolucja) wypowiedziała na początku słowa molekularnie genialne, obracając światło w ciało z maestrią lakoniczną, a potem popadła w niezmożony bełkot coraz dłuższych, coraz zawilszych chromosomowych zdań, trwoniąc kunszt pierwotny? Dlaczego od rozwiązań szczytujących, moc i wiedzę życiową biorących z gwiazdy, w których każdy atom był na rachunku, każdy proces był kwantowo dostrojony, zeszła do rozwiązań tandetnych, byle jakich, więc do maszyn prostych, do tych dźwigni, bloków, równi, pochylni, równoważni, jakimi są stawy i kośćce, czemu zasadą kręgowca jest pręt sztywny mechanicznie, a nie sprzęg siłowych pól, czemu stoczyła się z fizyki atomowej w technologię waszego średniowiecza? Czemu zainwestowała tyle wysiłku w budowę miechów, pomp, pedałów, przenośników perystaltycznych, więc płuc, i serc, i jelit, i tłoczni porodowych, i mieszadeł trawiennych, wymianę kwantową spychając do podrzędnej roli, na rzecz marnej hydrauliki krwiobiegów, czemu nadal genialna na poziomie molekularnym, w każdym wymiarze większym partaczyła aż zabrnęła w organizmy, które z całym bogactwem swej dynamiki regulacyjnej mrą od zatkania jednej rurki tętniczej, które w poszczególnym żywocie, znikomym wobec czasu trwania budowlanych nauk, wykolejają się z równowagi, zwanej zdrowiem, w dziesiątki tysięcy przypadłości, jakich nie zna glon?"... („Golem XIV").

Ten nieco przydługi cytat obejmuje całość wręcz rewelacyjnego spojrzenia na problem, które proponuje Lem. Podejście to próbuje zburzyć dotychczasowe poglądy i przedstawić biologiczną ewolucję nie jako postęp, lecz jako swego rodzaju degradację! Bo – zdaniem Lema – na samym początku, przed miliardami lat, ewolucja osiągnęła już swój szczyt. Odtąd dalszy jej ciąg to regres. Konstruowane przez nią nowe rozwiązania stanowią bowiem, z jednej strony, gatunki pasożytnicze, żerujące na innych, niższych organizmach (na przykład zwierzęta pasożytują na roślinach), z drugiej zaś strony te rzekomo wyższe organizmy, bardzo skomplikowane, a równocześnie zbudowane w prymitywny sposób, okazują się mało odporne i mają znacznie mniejsze szanse przeżycia od wcześniej zbudowanych organizmów prostszych. A najważniejsze osiągnięcie tej ewolucji: homo sapiens, jest – zdaniem Lema – skonstruowany, od strony technologicznej biorąc, wręcz fatalnie: *...Warto uzmysłowić sobie, jak wygląda sytuacja człowieka w startującym pojeździe kosmicznym, aby właściwie ocenić całą kruchość i wąskość rozwiązania ewolucyjnego. Przy wzmożonej grawitacji ciało składające się głównie z płynów podlega gwałtownym przeciążeniom hydrodynamicznym – zawodzi serce, w tkankach już to brak krwi, już to rozrywa ona naczynia, powstają wysięki i obrzęki, mózg przestaje działać po krótkiej chwili, gdy ustaje dopływ tlenu i nawet kostny szkielet okazuje się wówczas konstrukcją za słabą, aby oprzeć się działającym siłom. Człowiek jest dzisiaj najbardziej zawodnym elementem u stworzonych przez siebie maszyn, jak również najsłabszym – mechanicznie – ogniwem uruchomionych procesów...* („Summa Technologiae").

W tejże „Summa Technologiae" będącej kompleksową wykładnią filozoficznych poglądów Lema, znajduje się swoisty, jak go sam Lem określa, paszkwil na ewolucję. Oto w skrócie główne jego punkty:

● Ewolucja utrzymuje nadmiar przesyłanej genotypowo informacji na możliwie najniższym poziomie, jaki jest jeszcze do pogodzenia z kontynuacją gatunku. Może być więc ona porównywana na przykład do konstruktora biorącego udział w konkursie, któremu jednak nie zależy na tym, by wszystkie jego auta dojechały do mety, wystarczy jeżeli dojedzie ich większość. Jest to zasada „konstruktora statystycznego", w której o sukcesie decyduje przewaga, a nie całość rezultatów.

● W ewolucji występuje, sprzeczne z zasadą poprzednią, nieeliminowanie z danego rozwoju osobniczego jego elementów zbędnych. I tak przenoszone są, niejako mechanicznie, relikty form dawno minionych, które dany gatunek poprzedziły. Znany jest fakt, że podczas embriogenezy płód powtarza fazy rozwojowe zamierzchłych stanów embrionalnych wykształcając kolejno, jak na przykład zarodek ludzki, skrzela, ogon itd.

● Wynikiem wspomnianej już zasady zbędnej komplikacji jest istnienie biochemicznej indywidualności osobniczej wewnątrz danego gatunku. I tak na przykład, biochemiczna indywidualność dziecka różni się od tejże indywidualności matki. Ma to poważne konsekwencje, przejawia się bowiem, między innymi, zaciekłą obroną danego organizmu przed każdym białkiem innym od własnego. Często uniemożliwia to dokonywanie ratujących życie transplantacji.

● Ewolucja nie może osiągnąć rozwiązań na drodze zmian stopniowych, jeśli każda z takich zmian nie jest użyteczna natychmiast, to jest w danym pokoleniu. Dlatego, na przykład, nie mogła ona wytworzyć urządzenia typu koła. Koło bowiem od pierwszej chwili musi być (dość skomplikowaną) całością, to znaczy posiadać oś obrotu, piastę, tarczę itd. Koło musiałoby więc powstać „skokowo", bo najmniejsze nawet jest już produktem gotowym, a nie jakąś „formą przejściową".

● Omawiana już „krótkowzroczność" albo „ślepota" ewolucji, oznacza w praktyce stosowanie takich rozwiązań, które losowo pojawiają się jako pierwsze i usuwanie ich tylko wtedy, jeśli przypadek stworzy inną możliwość. Jednakże gdy dane rozwiązanie blokuje drogę wszelkich innych, jakkolwiek byłyby doskonałe i bardziej wydajne, rozwój całego układu zamiera.

● Ewolucja jako konstruktor jest chaotyczna i (w jakimś sensie) nielogiczna. Organizm biologiczny bowiem nie jest zbudowany na zasadzie technik części zamiennych, które nazwać by można makroskopowymi. Ewolucja preferuje zasadę części zamiennych mikroskopowych przejawiającą się w tym, że na przykład komórki wszelkich narządów (skóry, krwi, mięśni) wciąż ulegają wymianie przez podział. Ich potomne są więc właśnie owymi „częściami zamiennymi".

● Ewolucja nie kumuluje własnych doświadczeń. Jest ona konstruktorem „zapominającym" o dotychczasowych osiągnięciach, za każdym razem musi szukać ich od nowa. Kiedy jakiś gatunek, któremu udało się wykształcić wysoko wyspecjalizowane organy ginie, wraz z nim przepadają wszystkie te „wynalazki". Jeśli zaś trwa, to nie ma możliwości przekazania ich poza obręb tego gatunku (względnie rodziny, czy odmiany), w którym doszło do ich powstania.

● Ewolucja w swych „wielkich odkryciach" działa zupełnie przypadkowo. Nowe gatunki powstają nie dzięki adaptacjom albo starannie przygotowywanym zmianom, lecz są wynikiem jakby ciągnięć loterii życia, z tym że bardzo często „głównej wygranej" w ogóle brak. Jest to więc całkowita przypadkowość.

● Ewolucja charakteryzuje się, mówiąc ogólnie, złym wyborem budulca. Z białkowych drobin wytwarza szkielety, krew, gruczoły, mięśnie, mózgi, futra, tarcze pancerne itd. Wąskość tego „produkcyjnego gardła" zdumiewa w zestawieniu z uniwersalizmem produktów końcowych.

„Paszkwil" ten jest oczywiście znacznie obszerniejszy, lecz nie tu miejsce, by go w szczegółach prezentować. Dlaczego tak właśnie przebiega rozwój biologiczny na Ziemi? Złożyły się na to – zdaniem Lema – dwa powody. Pierwszy z nich stanowiły warunki w jakich przed miliardami lat ewolucja przystępowała do syntezy żywych organizmów. Warunki te były skrajnie prymitywne. Wtedy bowiem, w bardzo wczesnych stadiach rozwojowych planety, istniał tylko pierwotny, gorący ocean, w jego zaś wnętrzu roztwory niektórych soli organicznych lub nieorganicznych. Jak wiemy, ewolucję biologiczną we właściwym tego słowa znaczeniu, poprzedziła długotrwała „ewolucja reakcji chemicznych". Drugim powodem, w wyniku którego ewolucja poszła różnymi drogami, było, że jest ona „rzeźbiarzem, który nie widzi własnych tworów" i nie zna ich przyszłości: ... *Wygląda to tak, jakby natura, w bezustannych próbach, raz po razie zapędzała się w zamknięte, ślepe uliczki – wtedy po prostu zostawiała w nich te niewydarzone rezultaty swoich eksperymentów, którym nie przyświecało nic prócz cierpliwości: bo trwały setki milionów lat... i zabierała się do nowych...* („Opowiadania").

Poza tym – pisze dalej Lem – sądzić chyba należy, iż w ewolucji działa swego rodzaju prawidłowość udaremniająca manifestowanie się tendencji degeneracyjnej. Przejawia się w niej, jak należy przypuszczać, zjawisko nie znane w przyrodzie martwej, a mianowicie tak zwane przekroczenie progu komplikacji minimalnej. Oznacza to, że tylko poniżej pewnego poziomu złożoności układy nie mogą wytwarzać innych układów, równych sobie złożonością. Kiedy natomiast urządzenie wytwórcze przekroczy ten poziom, czyli osiągnie ów próg, będzie zdolne wytwarzać układy równe sobie zawiłością.

Wszelkie ujemne, w stosunku do człowieka, cechy ewolucji spowodowane zostały – zdaniem Lema – tym, że nie miała ona na celu wyprodukować (wytworzyć) najdoskonalszego nawet organizmu. Celem bowiem jedynym był przekaz genetycznego kodu. I znów oddajemy głos mędrcowi–Golemowi: ... *Ewolucja nie miała na oku ani was w szczególności, ani żadnych innych istot, ponieważ nie do jakichkolwiek istot jej, lecz do sławetnego kodu. Kod dziedziczności jest artykułowanym wciąż od nowa przesłaniem i tylko to przesłanie liczy się w Ewolucji – a właściwie on jest nią właśnie. Kod jest zaangażowany w periodyczną produkcję ustrojów, ponieważ bez ich rytmicznego wsparcia rozpadłby się w nieustającym ataku brownowskim materii martwej. Jest więc samoodnawiającym się, bo zdolnym do samopowtórzeń ładem, obleganym przez chaos cieplny (...). Ustroje są dla kodu tarczą i pancerzem, obsypującą się zbroją – po to giną, żeby mógł trwać (...). Sensem więc przekaźnika jest przekaz. Albowiem ustroje służą przesłaniu, a nie na odwrót; ustroje poza procedurą łącznościową Ewolucji nie znaczą nic – są bez sensu, jak książka bez czytelników (...). Przekazowi wolno w Ewolucji błądzić jak tylko się da, lecz wara przekaźnikom! Przekaz może oznaczać walenia, sosnę, rozwielitkę, stułbię, ćmę, pawiana – jemu wszystko wolno – bo jego partykularny, to znaczy gatunkowo konkretny, sens jest nieistotny: tu każdy jest umyślnym na posyłki dalsze, więc każdy dobry. On jest chwilowym wsparciem i wszelka bylejakość jego nic nie szkodzi – dość na tym, aby kod podał dalej...* („Golem XIV").

Mamy tu odwrócenie wszelkich dotychczasowych wyobrażeń o zasadach działania procesu ewolucyjnego. Wiara w postęp idący wstale wzwyż, aż do największych osiągnięć, to jest do tworzenia najbardziej mądrych i doskonałych organizmów, stale podnosząca się spirala życia jest – zdaniem Lema – całkowitym nieporozumieniem. W ewolucji nie ma bowiem żadnego rozwoju, nie ma „drogi wzwyż", jest tylko i wyłącznie problem przekazywania kodu... *Cokolwiek jest ustrojem, ma służyć przekazując kod, a więcej nic. Toteż selekcja i dobór naturalny na tym zadaniu skupiają się wyłącznie – nic im do idei jakiegoś „postępu"! (...). Nie budowlami są ustroje, lecz właśnie rusztowaniami tylko, więc właśnie wszelka prowizoryczność to stan właściwy, skoro wystarczający. Kod podaj dalej, a będziesz chwilę żył!...* („Golem XIV").

Nazwać by to można filozofią absolutnego pesymizmu. Jednakże twierdzenie Lema o przekazywaniu kodu jako jedynie istotnego zadania ewolucji potwierdza współczesna nauka. Pisze o tym polski uczony Antoni Hoffman w ostatnio wydanej książce pt. „Wokół ewolucji", poświęconej najnowszym zagadnieniom rozszerzonej teorii ewolucji, a głównie problemom nowo powstałej nauki zwanej socjobiologią. Twórcą tej rozwijającej się dyscypliny naukowej jest amerykański uczony (jak twierdzi Hoffman – jeden z najwybitniejszych biologów naszych czasów), Edward Wilson, autor książki „Sociobiology: The New Synthesis". Według definicji Wilsona – socjobiologia jest to ...*systematyczne studium biologicznych podstaw wszelkich zachowań społecznych...* Przez zachowania społeczne rozumie on wszystkie interakcje wewnątrzgatunkowe. Czynnik biologiczny odgrywa decydującą rolę w determinowaniu tych zachowań, nie tylko u zwierząt, ale także i u człowieka.

U podstaw socjobiologii leży przekonanie, że ani w ewolucji życia ani w procesach biologicznych nie sposób doszukać się niczego co by dzieje świata organicznego usensowniało. W oczach socjobiologów (jak również w większości współczesnych ewolucjonistów) historia biosfery to tylko suma chwilowych, przypadkowych adaptacji, bezustannych śmiertelnych zapasów ze środowiskiem, walk o dostosowanie się do zmienionych warunków ekologicznych, walk o przetrwanie itd. Zdaniem socjobiologów dobór naturalny to nic innego jak mechanizm ujawniający taką strukturę indywiduum i taką strategię jego działania, które w danych warunkach ekologicznych najbardziej rozpowszechnia jego genotyp: ... *Jedynym kryterium doboru naturalnego jest zatem dobro indywiduum definiowane jako ekspansja jego genotypu w populacji. Ekspansja genotypu, liczba jego kopii, a nie liczba potomstwa. Dla socjobiologii bowiem osobnik, to w gruncie rzeczy jedynie wehikuł do podróży w czasie, robot zbudowany przez genotyp, a może nawet – by się odwołać do słynnej książki Richarda Dawkinsa „The Selfish Gene" – przez zbiór pojedynczych, samolubnych, egoistycznych genów (...). Według tej wizji, przyroda to teatr bezustannej i bezpardonowej walki o byt, o przetrwanie w jak największej liczbie kopii, prowadzonej przez geny zawiązujące ze sobą mniej lub bardziej przypadkowe alianse na terenie osobnika lub klanu...* („Wokół ewolucji").

A jaki jest ostateczny sens tej drogi? Do czego zmierza cała biosfera? Ku czemu prowadzi ją ewolucja? Zdaniem socjobiologów samo to pytanie jest bezsensowne. Bo – podobnie jak u Lema – celem przekaźnika jest przekaz: ... *W świecie przyrody* – twierdzi Leigh van Valen („New ewolutionary law") – *trzeba pędzić jak tylko można najszybciej, w ślad za wciąż ewoluującym środowiskiem, żeby pozostać tam, gdzie się było, pośród żyjących gatunków – zupełnie tak samo jak w świecie czarów, do którego trafiła Alicja...* ■

Pierwsze 2-3 lata naszego istnienia przebiegły pod znakiem wielkiego powodzenia pisma wśród Czytelników oraz różnorodnych, czasem zabawnych, kolizji redaktorów „Fantastyki" z publikatorami. Wokół modnego miesięcznika, który wdarł się przebojem na rynek, jak ćmy wokół świeczki zaczęli krążyć dziennikarze wymachujący mikrofonami i kamerami. Niestety, nasi koledzy z mass-mediów nie zawsze byli przygotowani do rozmowy o science fiction, niekoniecznie poczynali sobie z tym tematem sensownie...

W eterze i na żywo

W telewizji na przykład oślepiano nas kiedyś przez godzinę lampami stroboskopowymi, podtruwano mgłami wydzielającymi się z balii pełnej wody i suchego lodu, by potem w tej „egzotycznej" scenerii, urozmaiconej dodatkowo migoczącymi dyskotekowymi wężami, zażądać odpowiedzi na skrywane do ostatniej chwili pytanie – czemu fantaści nie potrafią wymyślić świata bez wojen? Oczywiście, w myśl zaleceń redaktora telewizyjnego ilustracją dla naszych wystąpień miała być filmowa kosmiczna batalistyka. Innym razem redaktorka telewizyjnych programów dla dzieci bardzo była wzburzona nie mogąc znaleźć wśród nas wspólnika do oceniania na żywo tzw. opowiadań SF pisanych w studio zespołowo przez niewprawną dziecianię. W radiowych Sygnałach Dnia musieliśmy się kiedyś tłumaczyć z faktu istnienia horroru, jakby horror nie był w ludzkiej kulturze rzeczą odwieczną. W innej audycji próbowano na siłę połączyć poważną akurat tematykę omawianych przez nas opowiadań z baśniowym tłem minisłuchowisk o smokach.

Minęło parę lat i skończył się chyba wśród dziennikarzy odruch powierzchownego zainteresowania. Także zawarta w kilkudziesięciu numerach pisma fantastyczna wiedza weszła chyba w rynek i zrobiła swoje. W każdym razie dochodzą do głosu w publikatorach ludzie kompetentni, zainteresowani fantastyką, nie lekceważący jej i nie próbujący robić z niej cyrku. Z ich udziałem bądź pomocą udało nam się powiedzieć parę ciekawych rzeczy także wielomilionowej rzeszy radiosłuchaczy i równie licznej telewizyjnej widowni.

Tak było na przykład w dyskusjach przygotowanych dla IV Programu Polskiego Radia przez znającą się na fantastyce red. Elżbietą Marcinkowską. Z sympatią wspominamy dyskusje z red. Ireną Eichlerówną na temat stosunku współczesnej fantastyki do nauki (dyskusja została zresztą opublikowana później na naszych łamach). Nie najgorszą przygodą okazało się kilkanaście audycji telewizyjnego „Dropsa". Na bardzo popularnym co prawda poziomie, mogliśmy przecież opowiedzieć młodym widzom o kilkunastu motywach science fiction, ilustrując to materiałem filmowym. Dzięki Irenie Dziedzic mógł opowiedzieć o sobie, o gatunku i piśmie Adam Hollanek. Ostatnio telewizyjny magazyn „102" również pomaga nam w poszerzaniu kontaktów z Czytelnikami.

Oczywiście nie zawsze przebiegało i przebiega to bez zakłóceń. Wzywani do radia, do telewizji, zapraszani do dyskusji prasowych, bywa że nie rozpoznajemy później swego pełnego głosu na antenie czy wizji. Ale nawet przemontowywani, skracani mamy wrażenie, że coś chyba zmieniło się w publikatorach na lepsze. Science fiction jako tendencja i jako konwencja, jako sztuka i jako rozrywka, jest dziś w świecie mass-mediów i ich odbiorców lepiej rozumiana niż przed sześciu laty, gdy zaczynaliśmy przygotowania do wydania pierwszego numeru.

Wiemy, że to nie tylko nasza zasługa.

*

O dwu udanych działaniach promocyjnych w stosunku do miesięcznika i gatunku warto powiedzieć oddzielnie. Każda z tych inicjatyw trwa ponad rok, ma walor cykliczności i była za każdym razem owocem inicjatywy zewnętrznej.

Jesienią 1986 r. zgłosił się do redakcji student prawa, współpracownik Radia Robert Tomaś z prośbą o dyskusję na temat fenomenu SF. Początkujący radiowiec włączył od razu magnetofon do sieci i tym samym okazało się po raz pierwszy, że w celu dokonania nagrania nie musimy wcale biegać na ulicę Myśliwiecką ani na Malczewskiego. Robert podsunął paru z nas sitko pod nos, zadał pierwsze pytanie, po którym od razu było wiadomo, że jest to gość zorientowany, przy którym trzeba się będzie wysilać. Pozostał wierny nam, a my jemu. Jesienią 1986 r. nagrał trzy audycje, co miesiąc jedną; od stycznia 1987 r. ruszył antenowy dwutygodnik pod redakcją Tomasia „Fantastyka w programie IV". Mówiliśmy w tych audycjach o znanych pisarzach SF – Dicku, Ellisonie, Lemie, Zajdlu; o różnych odmianach fantastyki – fantasy, SF dziecięcej, o komiksie, kinie SF, o grach. Przedstawialiśmy różne tematy SF, mówiliśmy o wydawniczych seriach, o drążących środowisko fanów dyskusjach i polemikach, o nowych prądach w SF, o fantastykach narodowych, o sztuce przekładu... Tak było przez cały niemal rok 1987. Co drugi tydzień w sobotę, od 12.30 do 13.00 Robert pytał, podpowiadał, zastawiał na nas dyskusyjne pułapki, inspirował nas – a my mówiliśmy o tym, co z przeróżnych powodów, choćby braku miejsca, nie mieściło się w piśmie, bądź wymagało rozwinięcia. Od stycznia 1988 r. robimy to samo w programie III w środy wieczorem, dwa razy w miesiącu i w jeden czwartek miesiąca w audycji „poza głównym nurtem". Natomiast w programie IV stałą audycją o fantastyce przejmuje po Robercie Tomasiu – Irena Eichler.

*

Z Tadeuszem Borczakiem, dyrektorem najprężniejszego chyba MPiK-u w Warszawie (mieszczącego się przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego 71) zaczęło się podobnie. Tadeusz Borczak, człowiek wielce energiczny i nieustępliwy, zjawił się w redakcji wczesną wiosną 1987 r. i urzekł nas od razu kłopotliwą, ale kuszącą ideą cyklu spotkań comiesięcznych „Fantastyka – hobby XX wieku". Borczak pokazał nam setki wycinków prasowych i księgę spotkań klubowych, z której wynikało, że mówiąc mu TAK znajdziemy się w doborowym towarzystwie sław z różnych dziedzin – aktorów, redaktorów, naukowców, paru miss Polonia, polityków, pisarzy... No więc nie powiedzieliśmy mu NIE i dzięki temu w każdy ostatni poniedziałek miesiąca przedstawiamy w zapełnionej sali klubowej na Dąbrowskiego wybrane problemy SF i wiążący się jakoś z tym tematem film wideo. W ciągu ostatniego roku odbyły się spotkania m.in. na temat filmu SF światowego i polskiego, mówiliśmy w klubie o nowej krytyce polskiej SF, o pętli czasu, robocie, obcym w science fiction, o problemie Boga w fantastyce wczorajszej i dzisiejszej. To w klubie przy Dąbrowskiego odbyło się uroczyste spotkanie z większością naszej załogi z okazji pięciolecia pisma (i czterdziestolecia RSW) oraz wiele innych fantastycznych wieczorów.

Bywało to dla nas i mamy nadzieję, dla naszej klubowej widowni, sympatyczne i pouczające. Potraktowani poważnie, sami też traktujemy naszych rozmówców i gospodarzy z największą uwagą. Zajęci na wielu frontach, biorący na siebie różnorodne dodatkowe obowiązki („Fantastyka" mała i duża, „Komiks", przygotowywanie polskich antologii dla wydawców polskich i zagranicznych, konkursy literackie i plastyczne, organizowanie dni pisma w Warszawie i innych miastach Polski), tracący czas na spotkania z Czytelnikami w całym kraju, stwierdzamy z powagą, że nie brakuje i nie powinno brakować nam czasu na uczestnictwo w imprezach przygotowanych rozumnie i z sercem.

Dzięki życzliwości kierownictwa programu III i IV PR i zrozumieniu przez nich naszej specyfiki, Robert Tomaś i Irena Eichlerówna zapewnili nam cykliczny radiowy kontakt z wielką rzeszą radiosłuchaczy. Propozycja Tadeusza Borczaka daje redakcji możliwość mówienia do..., ale także wysłuchiwania uwag reprezentatywnej grupki sympatyków pisma i gatunku, którzy tym samym zyskują wpływ na nasze działania. Nigdy przecież nie udawaliśmy, że wiemy wszystko i nie potrzebujemy rad. Z tych samych powodów czytamy z uwagą listy Państwa. ■

Magiczny świat kostek i żetonów

Coraz bardziej widoczny staje się nowy w naszym kraju rodzaj inwencji fantastycznej – gry planszowe. O kilku pierwszych dokonaniach na tym polu – wydawnictwach firmy „Encore" – pisaliśmy w „Fantastyce" nr 10/84 i 9/87. Wypatrywaliśmy nowych pomysłów, nowych jakości, nowych producentów. No i wypatrzyliśmy. A właściwie nas wypatrzono. Do jednego z nas zgłosił się przedstawiciel firmy „Sfera", przynosząc do oceny próbne egzemplarze gry „Magia i miecz" i twierdząc, że jego przedsiębiorstwo planuje poważnie zająć się tym właśnie rodzajem produkcji. Sądząc z jakości „Magii i miecza" zamiar to zaiste chwalebny. Gra sprawia wrażenie oryginalnie pomyślanej i dobrze dopracowanej, nie to jednak robi największe wrażenie – przede wszystkim uderza znakomite w tego typu produkcji opracowanie graficzne, i to zarówno okładki, jak i planszy oraz licznych elementów dodatkowych. Zasady sprawiają wrażenie niezbyt skomplikowanych, instrukcja jest dość krótka i jasno napisana. Sama rozgrywka toczy się na planszy podzielonej na trzy obszary, obrazujące trzy części typowego świata fantasy, wraz z nieodzownymi czarownikami, wróżkami, potworami, wszelkiego typu pułapkami i niespodziankami. Grający zostaje poszukiwaczem przygód, wciela się w jedną z 28 proponowanych postaci. Każda z tych postaci ma inną siłę, mądrość, inne możliwości i umiejętności, jednak każda, przy umiejętnym wykorzystaniu swego potencjału, ma równe szanse na zwycięstwo. Element losowy został w grze sprowadzony do minimum, dzięki czemu wygrana bardziej zależy od sposobu prowadzenia rozgrywki niż od szczęścia. Odpowiednie posługiwanie się stu kilkudziesięcioma różnymi kartami – przygód, czarów, ekwipunku – może czasowo podnieść możliwości poszczególnych postaci.

Dużą zaletą gry jest umieszczenie ważniejszych informacji bezpośrednio na biorących udział w rozgrywce elementach, dzięki czemu została wyeliminowana konieczność ciągłego zaglądania do wszelkiego rodzaju tabel i odnośników, co stanowiło jeden z mniej zachęcających aspektów znanych nam wcześniej gier firmy „Encore". Skróciło to również ogólny czas rozgrywki, co nie jest bez znaczenia w naszej zagonionej rzeczywistości.

Odnieśliśmy wrażenie, że „Magia i miecz" ma szanse stać się prawdziwym przebojem. Czas pokaże czy te szanse zostaną wykorzystane. Nam w każdym razie gra bardzo się podobała i życzymy jej wszystkiego najlepszego. I na koniec coś konkretnego: wszelkie informacje, dotyczące ceny i możliwości zakupu można uzyskać, pisząc pod adresem: BPiRF „SFERA" Sp. z o.o., 00-952 Warszawa 40, skr. poczt. 6.

(mt)

Stefan Połom

Ojczyzna Ars longa

Ojczyzna Ars longa vita brevis
Położona jest u bieguna szkarłatnej róży
W pobliżu równiny błyskawic.
Wszyscy przybywający do Ars longa
Narażeni są na utratę
Wzroku i mowy.
Odzyskują wzrok i mowę
W momencie wschodu olbrzyma.
Olbrzym wynurza się z ciała
Szkarłatnej róży
I zwołuje na odsiecz pozostałe
Horyzonty.

Nałożnica olbrzyma zwana nigdy
Oddaje mu swój blask w południe

Ale tego już nikt nie jest w stanie
Ujrzeć i wypowiedzieć.

Pod niebem trójsłońca

U brzegu morza na srebrze
Rybich łusek szeleszczących cicho
My dwoje zanurzeni
Pośród oczu listowia
Zakochani

Pod niebem trójsłońca
I poświaty mlecznej drogi
My dwoje zapatrzeni w siebie
Pojednani

Dla ciebie królestwo moje
Z ziemskim podjęta owocem
I rozkoszą męża swego

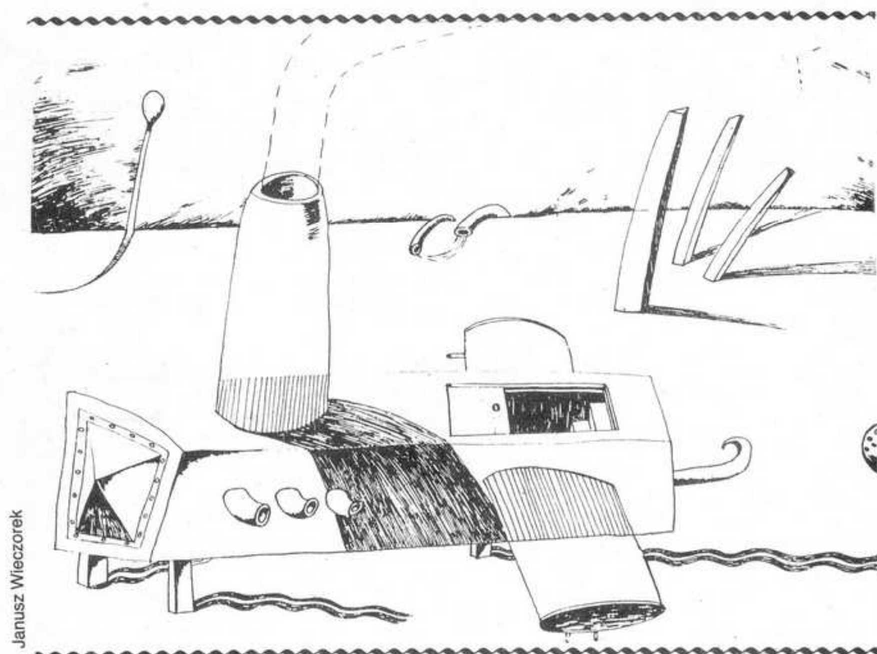
Jesteśmy w niepojętym czasie
Zdumieni wspólnym obcowaniem

Apollo II

Bogini Selene, córka tytanów
Udzieliła mi opiekuńczych skrzydeł.
Wśród księżycowych gór,
Studni, w które zapadły oczy
Tego świata –
Wśród skał, popiołów, kamiennych tokowisk,
Przepaści, wulkanicznych straży
I nicości powietrza
„Orzeł" strzegł ich powrotu.

Wtedy to o wczesnym poranku,
Gdy nad moim rodzinnym drewnianym domem
Drżał głos słowika
I rosa była niebieska,
Liczby strofy kosmosu
Zarzucały swoje sieci –
Oni zbierali księżyc jak się zbiera
Tysiąclecia dla muzeów
Ziemskiej historii.

Już rozpoczęta opowieść Szecherezady.
Spoglądamy jeszcze głębiej,
Gdzie niejedna miłość
I niejeden los nas spotka
Na wielu światach milczącego
Nieba.



Janusz Wieczorek

Dzwon Pasterz

Zima pasterzy zwierzyńca niebieskiego
Pastwiska na kopułach i namiotach szczyty
Pasterze śpią na zboczach
I śpią spokojnie stada.

Tylko ty o śniegu Dzwon
Słyszysz wokół

Strofa księżycowa

Hefajstos wykuł tutaj znamię,
Które niebiosom nazwę dały nocy.
Na skałach odblask w mroku
I lód nicość swoją toczy.

Król Galaktyczny

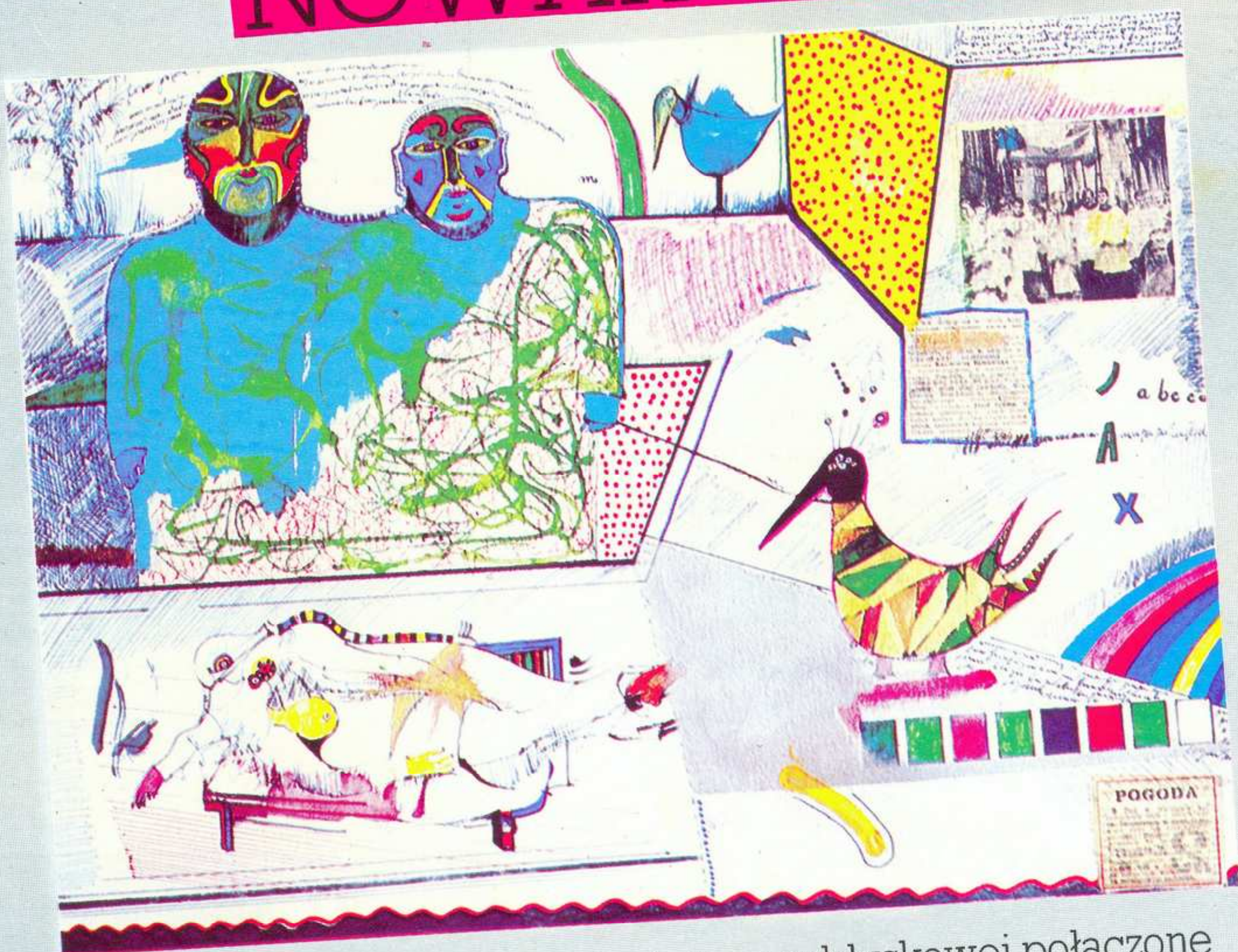
Rozwarta księga gwiezdna. Jak będziesz żyć
O tym czasie.
Czas. Nas ziemia zaciemnia na sen
Planetarny.

Ty, w bogactwie wielu słońc,
Cóż wiesz o słońcu jedynym,
Wschodzącym i zachodzącym rytmicznie,
Cóż wiesz o pysznej postawie tych, których zadziwia
Taki pejzaż – –

Wiersze Stefana Połoma (zob. Słownik polskich autorów fantastyki – str. 56) powstały w czasie jego czteroletniej obecności na Wzgórzu Kopernikowskim we Fromborku. Niektóre z nich były dedykowane astronautom, którzy losu i przeznaczenia nie osiągnęli w celu podróży. „Król Galaktyczny" to pewien cykl wierszy dający obraz poetyckiego wyrazu człowieka i Kosmosu.

Okiem kamery str. 6.

ZYGMUNT NOWAK-SOLIŃSKI



ilustracja: Jacek Kawalerowicz

...Rozległo się znajome pyknięcie lampy błyskowej połączone z gwałtownym wyzwoleniem potężnej dawki energii świetlnej i Hunter, który na czas ekspozycji odwrócił głowę od sprzętu, pochylił się znów nad kamerą, żeby zmienić przysłonę. Upłynęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, że obrazu, który przed chwilą fotografował, nie ma na swoim miejscu. Nieco zdezorientowany rozejrzał się wokoło, schylił, omiótł wzrokiem podłogę, spojrzał nawet na sufit...